

Savanah Carleton

Małżeńska kampania

Prolog

27 grudnia 1812

Uciekał w kierunku granicy. W gęstniejącym zmroku pędził rzadko uczęszczanymi drogami hrabstwa Gloucestershire jak złodziej przemykający się ukradkiem bocznymi uliczkami albo jak lis ścigany przez nieustępliwe psy gończe.

Żaden z jego prześladowców nie podejrzewał, że właśnie dziś wieczorem zdecyduje się na ucieczkę. Nikt zresztą nie spodziewał się tego ani tej, ani żadnej innej nocy. A on tymczasem coraz bardziej oddalał się od miasta, licząc, że w ciemnościach nikt go nie dostrzeże.

Z podniesionym wysoko kołnierzem płaszcza, w kapeluszu naciągniętym głęboko na oczy i z twarzą osłoniętą szalikiem dla ochrony przed przenikliwym chłodem bardziej przypominał rozbójnika niż salonowego lwa. Podróżni, których napotkałby po drodze, nie musieli jednak obawiać się o swoje kiesy i klejnoty. Jego misja miała inny charakter.

Jeszcze dwa tygodnie temu Robert w najdroższych sklepach w Londynie szukał prezentów gwiazdkowych dla ojca i ciotki Lavinii. Ojciec przebywał wówczas na wsi, gdzie ujeżdżał nowego ogiera. Nikt dokładnie nie wie, co wydarzyło się podczas skoku przez przeszkodę, w każdym razie koń i jeździec nie wylądowali na ziemi razem. Wierzchowiec skręcił sobie nogę, a markiz kark.

Po tym wydarzeniu Robert odziedziczył tytuł markiza i, co za tym idzie, stał się najbardziej prześladowanym mężczyzną w Gloucestershire.

Życie zaczęły mu uprzykrzać szukające męża panny i ich pozbawione skrupułów matki. Nie miał ani chwili spokoju. Ciągłe któraś z dziewcząt przymilała się do niego albo flirtowała z nim - nawet w kościele w Boże Narodzenie! W ciągu ostatnich dziesięciu dni Elston Abbey zaszczyciło swoją obecnością więcej dam niż podczas ostatniej dekady. Młode kobiety, które nigdy nie pomyliły kroków w tańcu, przewracały się na schodach i skręcały sobie kostki. Przed bramą rezydencji Elstonów psuły się niezawodne do tej pory powozy. Robert znosił to wszystko z wymuszonym uśmiechem i zaciśniętymi zębami.

Dziś jednak, gdy odprowadzał ciotkę do jej pokoju, przyłapał córkę hrabiego Dinwoody, jak wkrada się do jego sypialni. Dlatego

właśnie postanowił uciec do swojej najodleglejszej posiadłości - żeby nie dać się zmusić do małżeństwa podstępnej damulce, która bardziej interesowała się jego majątkiem niż nim samym. Gdy nadejdzie czas, sam znajdzie sobie odpowiednią żonę.

Dotarłszy do głównej drogi, skręcił na północ i spiął konia do galopu, ale nawet przy takiej prędkości nie potrafił pozostawić za sobą dręczących myśli.

Zgodnie z testamentem ojca właściwy czas nadszedł. Robert osiągnął wiek, w którym miał się ożenić. Ojciec zostawił mu listę kobiet, spośród których musiał wybierać. Czternaście z nich było jeszcze pannami. Trzy spośród nich uczęszczały do szkoły. Z pozostałych jedenastu Robert znał cztery i nie wyobrażał sobie, że z którąkolwiek z nich mógłby zaznać małżeńskiego szczęścia. Musiał wobec tego zdecydować się na jedną z siedmiu nieznanym mu kobiet. Kto by pomyślał, że Robert Edmond Alexander Symington, markiz Elston, jeden z najbardziej pożądanym kawalerów w królestwie, znajdzie się w takich tarapatach?

Rozdział 1

Brough, Cumberland 28 lutego 1813

Robert Symington, piąty markiz Elston, przesunął wzrokiem po dwójce gości towarzyszących mu podczas kolacji w Hallack Grange, najmniejszym z jego majątków, po czym zrobił coś nieoczekiwanego.

- Mam pewien problem i byłbym wdzięczny, gdybyście mi pomogli - powiedział.

Prośba ta, choć wypowiedziana dość niespodziewanie, nie była nieprzemyślana. Dżentelmen siedzący po lewej stronie Roberta, George Winterbrook, książę Weymouth, był jego bliskim przyjacielem od niemal dwudziestu lat, a dokładnie od dnia, gdy obaj przybyli do Eton, by rozpocząć tam naukę: dwaj zagubieni, dziesięcioletni chłopcy zaskoczeni, że szkoła ani trochę nie przypomina domu. Ich przyjaźń była tak silna, że książę zwracał się do Roberta na ty. Oprócz niego jedynie nieżyjący już ojciec i ciotka Lavinia cieszyli się tym przywilejem.

George spojrział na przyjaciela spod oka.

- Po tym, przez co razem przeszliśmy, Robercie, nie musisz mnie o nic prosić. Oczywiście, że ci pomogę.

Elston odwrócił się do siedzącej po jego prawej stronie kobiety. Panna Beth Castleton ocaliła go przed małżeństwem z pewną pozbawioną skrupułów osobką. Zapłaciła za to słoną cenę - została postrzelona z broni palnej. Robert znał ją zaledwie od dwóch tygodni, ale poczytał sobie za zaszczyt, że może zaliczyć ją do grona swoich przyjaciół.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, lordzie - oznajmiła dama.

Jej akcent zdradzał, że dorastała w Ameryce. Robert odetchnął z ulgą.

- Dziękuję, dziękuję wam obojgu. Ale... - uśmiechnął się do panny Castleton - skoro jesteśmy przyjaciółmi, nie musimy zwracać się do siebie tak formalnie. Proszę mówić do mnie Robercie.

Dama uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- A pan będzie zwracał się do mnie po imieniu?

- Taka poufałość mogłaby zostać źle odebrana w towarzystwie.

Beth Castleton spoważniała, ale kiwnęła potakująco głową. W Anglii kawalerów i panny obowiązywały zasady znacznie surowsze niż w Ameryce.

- Czy wciąż chodzi o ten sam problem, który miałeś w Stranraer?
- wrócił do głównego tematu George.

Na obrzeżach tego miasta znajdowała się posiadłość Elstona, Hawthorn Lodge, w której Robert zatrzymał się po wyjeździe z Gloucestershire. Po brawurowej ucieczce Beth z rąk porywaczy także książę ukrywał się tam razem ze swoją siostrzenicą Isabelle, panną Castleton i dwojgiem służących.

- Tak.

- Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią twojego ojca? Robert wzdrygnął się, słysząc zadane łagodnym głosem pytanie, i spojrzał na Amerykankę. Jej przenikliwość mogłaby go poważnie zaniepokoić, gdyby nie byli tylko przyjaciółmi. Traktował ją jednak jak siostrę i w ich stosunkach nie było miejsca na bardziej romantyczne uczucia.

- Tak.

Wypił łyk wina i, zaczerpnąwszy oddechu, opowiedział o testamencie ojca i zawartym w nim warunku. Po tym wyznaniu zapanowała cisza.

- A więc ojciec nawet po śmierci próbuje wtrącać się w twoje życie? - skomentował George.

Beth spojrzała na księcia zaskoczona.

- Czy pana ojciec miał władczy charakter, Robercie?

- Do tej pory tylko pod jednym względem. - Na widok zaskoczonej miny panny Castleton wyjaśnił: - Mój ojciec odziedziczył tytuł, gdy studiował na uniwersytecie, i dlatego w młodości nie mógł korzystać ze swobody, jaką w jego wieku cieszy się większość chłopców. Ojciec zapewnił mi tę wolność, podczas gdy ja pragnąłem odpowiedzialności. Często się kłóciliśmy, bo on nie rozumiał, że chcę przyjąć na siebie obowiązek zarządzania jedną z posiadłości. W końcu rozgoryczony wstąpiłem do wojska.

- Chciał pan zająć się czymś istotnym, nie tracić czasu i, jak sądzę, wykorzystać wiedzę, którą markiz mógł panu przekazać na temat kierowania majątkiem.

- Właśnie.

- Ale - ciągnęła Beth - ojciec wolał pozwolić synowi się bawić, zamiast obarczyć go obowiązkami.

Robert przytaknął.

- Dał panu to, czego sam w młodości nie miał i za czym tęsknił...

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, ale ma pani rację, Beth.

- A teraz znalazł się pan w tej samej sytuacji co on. Ma pan posiadłości, którymi musi się zająć, i żadnego doświadczenia w tej dziedzinie.

Robert westchnął.

- Właśnie.

Po krótkim zastanowieniu Beth zadała trzy pytania, w których zawarła sedno sprawy.

- Dlaczego pana ojciec zawarł ten warunek w testamencie? Zamierza go pan uhonorować? I jakie będą konsekwencje, jeśli go pan zlekceważy?

- Od dwóch miesięcy zastanawiam się nad tym i nadal nie wiem, dlaczego ojciec w ten sposób sformułował testament. Doszedłem do wniosku, że zrobił to z miłości, a nie ze złości, ale są dni, gdy wydaje mi się, że była to po prostu ostatnia próba pokierowania moim życiem.

- Robert umilkł na chwilę, by uspokoić wzburzone nerwy. - Podczas pobytu w Szkocji postanowiłem spełnić życzenie ojca, ale nie mogę związać się z kobietą, której ani nie kocham, ani nie szanuję.

- Bardzo mądra decyzja - pochwaliła go Beth. George skwapliwie przytaknął. Robert pociągnął łyk wina z kieliszka.

- Nie zawrę małżeństwa z wyrachowania i nie chcę mieć żony, którą interesuje jedynie mój tytuł i majątek.

- Żaden mężczyzna by tego nie chciał. Żaden rozsądny mężczyzna - uściślił George.

Robert nie był pewien, czy przyjaciel ma na myśli małżeństwo z wyrachowania, czy związek z kobietą, której zależy jedynie na bogactwie. Pewnie jedno i drugie. Cały Londyn wiedział, że Winterbrookowie zawsze żenili się z miłości. Robert obawiał się, że on sam nie będzie miał tyle szczęścia. Powinien być zadowolony, jeśli wraz z przyszłą małżonką będą się nawzajem darzyć choćby sympatią.

- Rozumiem, że liczysz na to, iż jedna lub więcej z kobiet z listy ojca zasłuży sobie na twoją życzliwość i szacunek?

Robert podziwiał szczerść Beth, ale czasem jej prostolinijność zbijała go z tropu.

- Ależ Beth! - wykrzyknął oburzony George. - To pani amerykańskie wychowanie!

Urażona Beth opuściła wzrok.

- Przepraszam.

- Nie ma powodu, Beth - powiedział łagodnie Robert, ale w spojrzeniu, które rzucił George'owi, błysnęła stal. - Ma pani całkowitą rację. Właśnie na to liczę.

Weymouth patrzył chwilę na spuszczoną głowę kobiety, po czym zapytał:

- A jeśli żadna z tych dam nie przypadnie ci do gustu?

Robert wzruszył ramionami.

- Wówczas nie spełnię warunków testamentu.

- Jakie... - zaczęła Beth i spojrzała na George'a. Książę uśmiechnął się i dokończył pytanie.

- Jakie będą konsekwencje takiego kroku?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Jak to?

- W testamencie nie ma o tym mowy. Nawet adwokat nie dostał żadnych instrukcji na taką okoliczność. Ma za to list od mojego ojca, który przekaże mi w rocznicę jego śmierci. Prawdopodobnie tam znajduje się wyjaśnienie.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Weymouth.

- A więc musi pan żyć aż do grudnia z tym mieczem Damoklesa nad głową? - spytała ostrożnie Beth.

- Nie jest aż tak źle. Ani tytułu, ani posiadłości nikt nie może mi zabrać. W najgorszym razie jedynie osobisty majątek ojca zostanie przekazany w inne ręce. - Robert utkwiał wzrok w kieliszku z winem. - Na pewno utrudniłoby mi to życie, ale bez przesady. Nie muszę unieszczęśliwiać się tylko po to, żeby zachować te pieniądze.

Beth dotknęła dłoni Elstona w pocieszającym geście.

- Co możemy dla pana zrobić?

Robert podniósł wzrok. Świadomość, że ma przyjaciół gotowych przyjść mu z pomocą, dodawała mu siły.

- Przede wszystkim możecie mi powiedzieć, co wiecie o tych damach.

- Wątpię, żebym знаła którąkolwiek z nich - oznajmiła Beth. - Chyba że mieszkają niedaleko Castleton Abbey.

Robert uśmiechnął się przepaszająco.

- Czasem zapominam, że mieszka pani w Anglii zaledwie od roku.

Co więcej, Beth przez ten czas miała żalobę po dziadkach, którzy wychowywali ją po śmierci rodziców i rodzeństwa.

- Przede wszystkim - wtrącił George - musisz nam powiedzieć, o jakie damy chodzi.

- A niech to! - Robert oparł łokcie na stole i ukrył twarz w dłoniach. - Myślałem, że już to zrobiłem.

Po krótkim zastanowieniu podniósł głowę.

- Przejdziemy do salonu? - zaproponował. Wstał i podał ramię Beth.

- Nie zamierzacie teraz pić porto i rozmawiać o... o tym, o czym mężczyźni rozmawiają, gdy kobiety odchodzą od stołu?

Robert uśmiechnął się.

- Owszem, napijemy się porto, ale porozmawiamy wspólnie.

- Dziękuję panom uprzejmie - odparła wesoło Beth i wdzięcznie dygnęła.

W salonie panna Castleton usiadła na sofie obitej materiałem w czarno - białe pasy. Robert spostrzegł, że mebel był już dość zużyty, i postanowił dodać kupno nowej sofy do dosyć już długiej listy napraw, których wymagała posiadłość. Przeszedł na drugą stronę pokoju i sprawdził zawartość karafek. Porto nie było.

- Napijesz się brandy, George? Czy wolisz porto?

- Nie, poproszę brandy.

Robert nalał do dwóch kieliszków ciemnobrązowego napoju.

- Beth, ma pani ochotę na szklaneczkę sherry?

- Nie, dziękuję. Poczekam na herbatę.

- Poprosić Hodge'a o nią już teraz?

Robert wręczył przyjacielowi kieliszek i sięgnął po sznurek od dzwonka. Beth potrząsnęła głową i uśmiechnęła się lekko.

- Nie trzeba. Poczekam, bo może zrezygnujecie z brandy i przyłączycie się do mnie.

Robert pochwycił pytające spojrzenie George'a i kiwnął głową potakująco. Tak, obaj napiją się herbaty z Beth.

Elston usiadł na krześle naprzeciwko sofy i założył nogę na nogę. Nie przebrali się do kolacji, bo George i Beth nie mieli ze sobą wielu ubrań. Beth została porwana podczas próby ratowania siostrzenicy George'a z rąk złoczyńców i miała ze sobą jedynie suknię, w którą była wówczas ubrana. Pokojówka uszyła jej jeszcze jedną suknię z materiału znalezionej na strychu w Hawthorn Lodge. George'a

uprowadzili ci sami przestępcy i choć miał ze sobą małą walizkę, nie znalazł się w niej strój wieczorowy. Weymouth musiał więc zadowolić się kilkoma koszulami i ubraniami Roberta, które na niego pasowały. Obaj byli podobnej postury, ale George był pięć centymetrów wyższy. Na szczęście za krótkie rękawy koszul przeszkadzały mu jedynie przy powożeniu.

- Miałeś nam podać nazwiska tych dam - przypomniał Robertowi przyjaciel.

- Tak. W testamencie jest dwadzieścia nazwisk, ale sześć kobiet już wyszło za mąż, a trzy są jeszcze w wieku szkolnym.

- Ile znasz z pozostałych jedenastu? - spytał George, wchodząc w słowo Beth, która chciała zadać to samo pytanie.

- Cztery, ale nie wyobrażam sobie małżeństwa z żadną z nich.

Robert z trudem opanował zimny dreszcz, który zawsze nim wstrząsał, gdy pomyślał o wspólnej przyszłości z jedną z tych dam.

- Powiedz wreszcie, o kogo chodzi!

- O córkę Greenwicha, Chesterfielda, najstarszą córkę Wintona i najmłodszą Montrose'a.

- Robercie - wtrąciła Beth przepaszającym tonem - jeśli mam się do czegoś przydać, musi pan podać mi ich nazwiska. Wiem, że lady Christina Fairchild jest córką księcia Greenwich - poznałam ją na przyjęciu z okazji urodzin królowej - ale pozostałych nie znam.

Do diabła. Znowu popełniłem gafę, zdenerwował się Robert. Tak bardzo zaprzyjaźnili się z Beth, że miał wrażenie, iż znają się od lat. Łatwo zapominał, że ona za krótko mieszka w Anglii, by znać całą śmietankę towarzyską.

- Przepraszam, Beth. Lady Sybil Chesterton jest najstarszą córką księcia Winton, Faith Monroe najmłodszą córką wicehrabiego Montrose'a, a Amelia Forbes - Symthe jest córką lorda Chesterfielda.

- Dziękuję. - Beth uśmiechnęła się ponuro. - Nie znam żadnej z nich.

- Wszystkie zostały wprowadzone w towarzystwo co najmniej rok temu i żadna z nich nie mieszka w pobliżu posiadłości pani wuja - wyjaśnił George. - Nic więc dziwnego, że ich pani nie zna. Ja za to znam wszystkie i w zupełności zgadzam się z oceną Roberta.

Robert spojrział na przyjaciela z ulgą.

- Pozostałe siedem to: lady Deborah i lady Diana Woodhurst, córki markiza Kesteven, lady Mary Foster, córka księcia Foxton, lady

Sara Mallory, córka księcia Tregaron, Karolina Lane, najstarsza córka wicehrabiego Padbury...

- Świętej pamięci wicehrabiego - poprawił George.

- Na pewno? Padbury był jednym z najbliższych przyjaciół mojego ojca. Gdyby zmarł, ojciec z pewnością by mnie o tym poinformował.

Księżę zmarszczył brwi. Po chwili zastanowienia odparł:

- Nie jestem całkowicie pewien. Wydaje mi się, że mój ojciec wspomniał o jego śmierci, ale mogę się mylić.

- Mam nadzieję, że tak właśnie jest, bo zamierzałem właśnie odnowić naszą znajomość. Zostały jeszcze Clarissa Merrick, córka lorda Merricka, i Harriett Broughton, której nieżyjący już ojciec był członkiem Izby Gmin.

- Znam jedynie dwie z tych pań, ale postaram się poznać wszystkie - obiecała Beth.

Robert uśmiechnął się, słysząc to serdeczne zapewnienie.

- Dziękuję. Bardzo mi pani w ten sposób pomoże.

- Które z nich? - spytał George. - Ja też znam dwie. Robert i Beth spojrzeli spod oka na przyjaciela.

- Lady Sara i panna Broughton zostały wprowadzone w towarzystwo na tym samym przyjęciu co lady Christina i ja. Przedstawiła mi je - i ich matki oczywiście - ciotka Julia. Podobno wszystkie trzy mają talent muzyczny.

- Naprawdę? - Ta wiadomość bardzo zainteresowała Roberta, który sam grał na altówce. - Mam nadzieję, że mi je pani przedstawi, gdy przyjadę do Londynu.

Beth uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Robert opróżnił kieliszek i odstawił go na stolik.

- Wie pani, czy one śpiewają, czy grają?

- Panna Broughton śpiewa. Chyba gra też na fortepianie, ale woli śpiewać. Lady Sara gra na harfie, a lady Christina na fortepianie.

- Dziękuję, Beth. To bardzo ważna informacja.

- A ty które z nich znasz? - spytał Robert George'a.

- Lady Mary i pannę Broughton, ale nie wiedziałem, że Harriett ma talent muzyczny. Ani że lady Christina gra na fortepianie. - George podniósł do góry swój kieliszek. - Świetnie się pani spisała, Beth.

Robert zdziwił się, że tak istotne informacje umknęły uwagi przyjaciela. Jako wiolonczelista George znał większość muzyków w wyższych sferach, a jego ojciec, skrzypek, znał dosłownie wszystkich. Robert wiele godzin spędził w towarzystwie przyjaciela i jego ojca, muzykując, i wysłuchał wielu skarg starszego pana na brak talentu muzycznego wśród młodzieży. Według Roberta obaj Winterbrookowie byli wyjątkowo uzdolnieni, a George twierdził, że Beth - także skrzypaczka - jest geniuszem.

Beth wstała i uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wybaczcie, że was opuszczę, ale jestem zmęczona, a wiem, że Weymouth będzie chciał jutro bardzo wcześnie zacząć dzień.

Robert zbeszał się w myślach za brak taktu i wstał, by odprowadzić Beth na górę. George też zerwał się na równe nogi. Pochylił się z szacunkiem nad dłonią Beth i zapewnił ją, że może spać jak długo zechce.

- Będę gotowa o dziewiątej jak zwykle. Jutro mogę spać w powozie.

Gdy Robert wrócił do salonu, George ponownie napełnił kieliszki. Elstona zastanowiła zaszępiła mina przyjaciela.

- Co się stało?

- Obawiam się, że Beth jeszcze nie czuje się na siłach, by wyruszać w tę podróż.

- Ja też się o nią martwię, ale ona z pewnością sama najlepiej wie, w jakim jest stanie.

George wzruszył ramionami. Odstawił karafkę z brandy na stolik i usiadł.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

Robert z ulgą przyjął zmianę tematu. Było dla niego oczywiste, że przyjaciel zakochuje się w pannie Castleton, choć sam George sprawiał wrażenie zupełnie nieświadomego tego faktu.

- Spotkaj się z tymi damami, których nie znasz. Gdy przyjadę do Londynu, powiesz mi, co o nich sądzisz.

- Dobrze. Coś jeszcze?

Robert zastanowił się chwilę, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Nie. Muszę je po prostu poznać, zanim podejmę decyzję.

George opróżnił swój kieliszek i wstał.

- Ja też pójdę się położyć. Dobranoc, Robercie.

- Dobranoc, George. Dziękuję za pomoc.

- Według mnie lady Mary nie nadaje się na twoją żonę - powiedział jeszcze na pożegnanie Weymouth i opuścił salon.

- Żebyś wiedział - westchnął z rezygnacją Robert. Wypił brandy, po czym podążył za przyjacielem na górę.

Następnego ranka po śniadaniu Elston odprowadził Beth do powozu. Na schodach kobieta podziękowała mu za pomoc.

- Będzie mi brakowało naszych rozmów... i pana przyjaźni.

Robert pochylił się nad jej dłonią.

- Zawsze będę pani przyjacielem, nawet jeśli nie będzie mnie przy pani. Natomiast rozmowy będą musiały poczekać, aż przyjadę wiosną do Londynu. Liczę, że zarezerwuje pani dla mnie taniec na pierwszym balu sezonu.

Beth uśmiechnęła się nieśmiało, gdy Robert pomógł jej wsiąść do powozu, w którym siedziały już jej pokojówka i trzyletnia siostrzenica George'a.

- Będę zaszczycona i szczęśliwa.

Robertem miotały sprzeczne uczucia, gdy machał przyjaciółom na pożegnanie. Rozumiał, że oboje muszą wrócić do Londynu, by uspokoić rodziny i opowiedzieć im o przeżyciach ostatnich dni. Mimo to już za nimi tęsknił. Przez ostatnie dwa tygodnie zajmował się kłopotami przyjaciół, teraz pozostał sam na sam z własnymi.

Następnego dnia przed południem po kilku spotkaniach z gospodynią, kamerdynerem i zarządcą Robert mógł wreszcie zająć się tym, co nie dawało mu spokoju od śmierci ojca - poszukiwaniem żony. Zdecydowanym krokiem wyszedł z gabinetu na korytarz.

- Higgins! - zawołał głosem, którym wydawał rozkazy w wojsku.

- Tak, majorze... to znaczy lordzie Elston? - U szczytu schodów pojawił się były adiutant Roberta, obecnie jego oddany lokaj, ze stertą świeżych koszul.

- Rano wyjeżdżamy do Londynu.

- Do Londynu? Nie do Gloucestershire ani do Abbey? Robert zmrużył oczy. Do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

- Po drodze do Londynu zatrzymamy się w kilku miejscach, między innymi w Abbey.

Służący uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie i skinął głową.

- Natychmiast idę pakować rzeczy. Jakie ubrania mam zabrać?

- Strój do jazdy konnej, popołudniowy i wieczorny.

- Tak jest, lordzie.

Gdy lokaj odszedł, Robert wrócił do gabinetu. Do kolacji udało mu się przygotować plan podróży równie dokładny jak plan bitwy pod Wellington. Co prawda nie podjął jeszcze żadnych strategicznych decyzji, ale ustalił wytyczne kampanii.

Następnego ranka Robert i Higgins wyjechali z Hallack Grange. Ranek był chłodny, ale słoneczny. Wszystko wskazywało na to, że wiosna zbliża się wielkimi krokami, choć był dopiero trzeci marca. Dzisiejsza wyprawa, dość krótka, miała mieć swój kres u lorda Merricka. Robert nie znał go dobrze, ale córka lorda, Christina, znalazła się na liście ojca i dlatego właśnie zamierzał odwiedzić wiejską rezydencję Merricków.

Po obiedzie w pobliżu zamku Barnard i zmianie zaprzęgu Robert zastąpił Higginsa na koźle. Higgins jako jedyny służący został wtajemniczony w plan podróży i powoził aż do Stranraer, gdzie pełnił obowiązki lokaja. Teraz był i woźnicą, i lokajem.

Siedząc na koźle z lejcami w dłoni, Robert rozmyślał nad słusnością swojej wcześniejszej decyzji, by przyjechać do Darlington bez uprzedzania gospodarzy. Z jednej strony wizyta wyglądałaby na przypadkową, a nie zaplanowaną z góry, z drugiej jednak rodzina mogła już wyjechać do Londynu.

Robert wzruszył ramionami i strzelił batem ponad głowami koni. Wszystkie panie i tak przybędą do Londynu wcześniej czy później. Jeśli nie zobaczy ich teraz, spotka je w stolicy.

- Witamy, lordzie Elston - ucieszyła się lady Merrick na widok gościa, którego kamerdyner wprowadził do przytulnego, choć nieco zaniedbanego salonu.

- Proszę wybaczyć, że zjawiam się tak nieoczekiwanie, ale...

- Bzdury. Jest pan tu zawsze mile widziany.

Lord Merrick, krzepki mężczyzna o posiwiałych włosach, przypieczętował powitanie klepinięciem Roberta w ramię.

- Właśnie - dodała lady Merrick i poprosiła kamerdynera o herbatę. Posłała także po dzieci. - Proszę się rozgościć, lordzie.

Robert usiadł na krześle, które wskazała mu gospodyni, i uprzejmie wysłuchał kondolencji, które Merrickowie złożyli mu z powodu śmierci ojca. Gdy kamerdyner wszedł z herbatą, lord Merrick spytał, co sprowadza Roberta do hrabstwa Durham.

- Objężdżam posiadłości ojca i staram się odwiedzać osoby, o których mi opowiadał przed śmiercią. Teraz wracam do Gloucestershire.

Robert stwierdził, że nie ma potrzeby wspominać o warunkach testamentu ojca. Merrick uśmiechnął się, ale zanim zdążył się odezwać, ktoś wtrącił się do rozmowy.

- Czy wybiera się pan do Londynu na sezon towarzyski?

Robert wzdrygnął się na dźwięk piskliwego głosu. Pytanie zadała wyjątkowo urocza dziewczynka ubrana w różową muślinową suknię z mnóstwem falbanek i dekoltem ozdobionym koronką.

Baron przedstawił córkę, a Robert w tym czasie zastanawiał się, czy ten podłotek często zadaje obcym mężczyznom tak impertynenckie pytania. Do salonu, powłócząc nogami, wszedł syn i dziedzic lorda Merricka.

I on został przedstawiony gościowi. Był to mniej więcej czternastoletni chłopiec o wyglądzie mola książkowego.

Korzystając z zamieszania, panna Merrick zajęła miejsce ojca tuż obok gościa. Gdy lady Merrick naląła wszystkim herbaty, młoda dama powtórzyła swoje pytanie:

- Czy wybiera się pan do Londynu na sezon towarzyski, lordzie Elston?

- Na jego część. Przyjadę do stolicy pod koniec kwietnia.

- Dopiero? - skrzywiła się panna Merrick.

Robert zacisnął zęby, gdy trzepnęła go wachlarzem po ramieniu.

- Ależ to za późno. Nie zdąży pan na...

- Cicho, Clarisso - zdenerwowała się lady Merrick i rzuciła córce groźne spojrzenie.

- Rzeczywiście nie będę mógł uczestniczyć w początkowych imprezach, ale mam inne zobowiązania.

Robert marzył, żeby córka barona przestała drażnić ten temat.

- W takim razie proszę nam opowiedzieć najświeższe ploteczki, lordzie.

- Nie słyszałem żadnych.

- Ach, tak. Wobec tego proszę nam zdradzić, co modne damy noszą w tym sezonie.

- Nie byłem w Londynie od grudnia, panno Merrick. - Och.

Zanim dziewczyna zdążyła zadać pytanie o pogodę, Robert przejął inicjatywę.

- Co pani zamierza robić w Londynie? Paplanina panny Merrick brzmiała jak beczenie owcy na farmie w Elston Abbey.

- Chodzić na zakupy, bawić się, tańczyć i... Temat ten wyjątkowo spodobał się młodej damie. Jej monolog na temat przyjemności, jakie czekały ją w czasie jej pierwszego sezonu towarzyskiego, zdawał się nie mieć końca. Zanim zdążyli wypić herbatę, Roberta bolało ramię od uderzeń wachlarzem, których nie szczędziła mu panna Merrick. Stwierdził, że lepiej byłoby wysłać dziewczynę jeszcze na rok do szkoły, zamiast wprowadzać ją w towarzystwo. Pannie Clarissie Merrick, nie obdarzonej szczególną inteligencją, na pewno przydałby się jeszcze rok nauki... i surowa guwernantka.

Robert żałował, że przyjął zaproszenie gospodarzy, by zatrzymać się u nich na noc. Obawiał się, że nieustanna paplanina dziewczyny, jej piskliwy głos i zuchwałe pytania poważnie nadszarpną mu nerwy.

Noc miał niespokojną, aż do rana przewracał się z boku na bok. Po wczesnym śniadaniu z baronem pożegnał się i czym prędzej opuścił Darlington. W myślach skreślił Clarissę z listy ewentualnych narzeczonych.

Mimo deszczu, który znacznie spowalniał podróż, przyjechali do Thirsk po południu tego samego dnia. Twelve Oaks należało do jednej z większych posiadłości Roberta. Spędzili tam trzy dni, podczas których Robert zwiedzał majątek w towarzystwie zarządcy, dawnego przyjaciela z dzieciństwa. Łączyli przyjemne z pożytecznym, dyskutując o tym, jak należy zarządzać posiadłością. Robert ucieszył się, gdy odkrył, że dzięki poczcie zawsze będzie mógł liczyć na pomoc doświadczonego przyjaciela.

Wyjechał z Thirsk pełen optymizmu, przekonany, że poradzi sobie z czekającymi go obowiązkami. Na pewno na początku będzie popełniał błędy, ale to przecież naturalne. Wystarczy tylko uczyć się na własnych pomyłkach i nie powtarzać ich. Dobrze, że chociaż tę jedną dziedzinę życia miał pod kontrolą.

Kolejnym przystankiem był Paddington Court w pobliżu Selby, dom wicehrabiego Padbury, przyjaciela ojca z Eton, i jego córki. Padbury miał kilkoro dzieci, ale na liście znajdowała się tylko Karolina Lane, najstarsza córka wicehrabiego. Robert co prawda zaliczył ją do grupy kobiet, których nie znał, ale wiele lat temu miał okazję spotkać Karolinę, i to nieraz. Pamiętał jasnowłosego chochlika o wielkich, błękitnych oczach i radosnym uśmiechu. Zastanawiał się,

czy teraz ta dwudziestotrzyletnia dama zrobi na nim tak samo przyjemne wrażenie.

Dla Roberta pozostawało zagadką, dlaczego ojciec umieścił na liście jedynie najstarszą córkę Padbury'ego. Dobrze pamiętał, że wicehrabia ożenił się ponownie po śmierci pierwszej żony. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego ostatnie spotkanie z panną Lane miało miejsce w dniu drugiego ślubu wicehrabiego. Karolina, którą ojciec i służący pieścili nazywali Karłą, przywykła do znajdowania się w centrum uwagi i nie wyglądała na szczęśliwą, gdy okazało się, że sielanka nie potrwa długo. Zamiast jednak urządzać awantury, zamknęła się w sobie i posmutniała.

Robert wiedział, że czułby się podobnie, gdyby jego ojciec ponownie się ożenił, więc mimo dzielącej ich różnicy wieku, zaprzyjaźnił się z Karłą. Sześciolatka i dwunastolatek wyjeżdżali na wspólne wycieczki konne, Robert uczył ją łowić ryby i wspinać się na drzewa. Ten ostatni wyczyn na pewno nie spodobałby się macosze Karli, ale Robert był wówczas za mały, żeby umieć ocenić, co jest stosowne, a co nie dla młodej damy.

Zastanawiał się, czy Karla go pamięta. Przyszło mu do głowy, że ojciec nie umieścił na swojej liście przyrodnych siostr Karli, bo ich matki nie lubił niemal od pierwszego spotkania. Przypomniał sobie, jak jego zwykle spokojny i opanowany rodzic określił drugą lady Padbury jako „chciwą harpię, która zniszczy Padbury'emu karierę”. Wicehrabia był wówczas członkiem korpusu dyplomatycznego Anglii. Robert nic o nim nie słyszał w ostatnich latach, ale to niekoniecznie oznaczało, że świętej pamięci markiz miał rację.

Wkrótce sam przekona się, jaka jest prawda, i dowie się, czy Karla zachowała go w pamięci. Podczas ostatniej wizyty wyglądał jak niezdarne pająk z długimi, chudymi odnóżami, a głos załamywał mu się w najmniej odpowiednich momentach. Tamten poważny, rozsądny chłopak wyrósł na opanowanego, dystyngowanego mężczyznę, bardzo podobnego do markiza. Do domu Elstonów śmiech wprowadzała matka Roberta. Nawet dziś, ponad dwadzieścia lat po jej śmierci, wciąż za nią tęsknił.

Myśli Elstona skierowały się w stronę znaczenia charakteru i osobowości w małżeństwie i rodzinie. Chciał, żeby jego żona miała

tak samo radosny temperament jak jego matka. W przeciwnym razie istniały przesłanki, że on sam zmieni się w starego zrzędcę.

Na palcach wyliczył cechy, jakie powinna mieć jego przyszła żona.

- Musi być atrakcyjna. Dobrze wychowana. Dość inteligentna. Muzykalna. Wesoła i serdeczna.

Jaka jeszcze powinna być?

- Musi być dobrą gospodynią.

W tym momencie powóz zwolnił, po czym skręcił na podjazd przed gospodą i zatrzymał się. Stajenny coś krzyknął, ale Robert nie zrozumiał, o co chodzi. Odpowiedź Higginsa wszystko wyjaśniła. Zatrzymywali się jedynie na posiłek i nie będą zmieniać koni. Dopiero teraz Robert zorientował się, że południe już dawno minęło. Szybko wciągnął rękawiczki, założył kapelusz i wysiadł z powozu.

Czekając, aż Higgins skończy wydawać polecenia stajennym, Robert rozejrzał się dookoła. Zaskoczony uświadomił sobie, że są w mieście George w hrabstwie York. Pogrążony w myślach nie zorientował się, że zajechali tak daleko.

- Wszystko w porządku, lordzie?

- Tak. Po prostu zdziwiłem się, że przejechaliśmy tak długą drogę.

- Na pewno zasnął pan, lordzie - zauważył wesoło Higgins. - A ja i konie wykonaliśmy kawał dobrej roboty.

- Nie, nie spałem. Zastanawiałem się nad tym, jak teraz zmieni się moje życie.

- Na pewno bardzo.

- O, tak - odparł ponuro Robert.

Rozdział 2

Po nocy spędzonej w gospodzie znajdującej się mniej więcej w połowie odległości między Yorkiem i Selby oraz po spożytym spokojnie śniadaniu ruszyli w dalszą drogę do Paddington Court. Robert nie spieszył się z wyjazdem, bo chciał przybyć do posiadłości wicehrabiego około drugiej po południu. Była to najodpowiedniejsza pora do składania wizyt zarówno w mieście, jak i na wsi. Gdy zbliżyli się do majątku, z zadowoleniem, ale i z lekkim niepokojem zauważyli, że na podjeździe stoi już jakiś powóz. Z jednej strony Elston ucieszył się na ten widok, bo najwyraźniej nie był jedynym gościem w majątku, ale z drugiej zdawał sobie sprawę, że w większym towarzystwie będzie mu trudniej porozmawiać z panną Lane.

Nie miał jednak zbyt dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo zanim jeszcze zatrzymali się przed głównym wejściem, masywne drzwi otworzyły się i wybiegł z nich służący. W mig znalazł się przy powozie, by pomóc Robertowi wyjść. Markiz podał mu wizytówkę.

- Dzień dobry. Nazywam się Elston. Czy lady Padbury i panna Lane są dziś w domu?

- Tak, lordzie. Proszę za mną.

Robert rozejrzał się dookoła. Paddington Court wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał: dobrze utrzymana wiejska posiadłość. Dom był wybudowany za czasów królowej Elżbiety, a od tamtej pory dodano kilka przybudówek. Nie wszystkie pasowały stylem do głównego budynku.

W korytarzu oddał lokajowi płaszcz, rękawiczki i kapelusz, po czym ruszył za kamerdynerem do ogromnego salonu znajdującego się po wschodniej stronie domu.

Kamerdyner oznajmił jego przybycie bez wcześniejszego zaprezentowania gospodarzom wizytówki. W urządzonym na ciemnopurpurowo salonie znajdowali się jedynie piętnastoletni młokos, szesnastoletnia brunetka i dwie starsze kobiety. Robert od razu rozpoznał lady Padbury. Jej niegdyś brązowe włosy posiwiały i znacznie przytyła, ale blisko siebie osadzone oczy i zaciśnięte usta pozostały niezmienione. Robert podszedł do niej i uklonił się.

- Dzień dobry, lady Padbury.

- Bardzo mi miło pana poznać, lordzie Elston - odparła gospodyni, zmarszczywszy brwi.

- Właściwie poznaliśmy się już wiele lat temu na pani ślubie. Nosilem wówczas tytuł wicehrabiego Wrextona.

Mina lady Padbury wskazywała, że go nie rozpoznała, ale mimo to odparła:

- Ach, tak. Był pan wtedy z ojcem. Lordzie, pozwoli pan, że mu przedstawię moją przyjaciółkę i sąsiadkę, lady Blackburn. A to moja najstarsza córka, Lydia, i mój syn, Charles, wicehrabia Padbury.

Hrabina Blackburn była atrakcyjną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat, ale wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej mimo wąskiego pasma siwych włosów pośrodku głowy. Robert znał jej syna. Ukłonił się i wyraził zadowolenie ze spotkania. Potem przywitał się z Lydią, która bardzo przypominała matkę, i młodym wicehrabią, który odziedziczył urodę po ojcu.

Robert zastanawiał się, kiedy właściwie zmarł wicehrabia.

- Lady Padbury, proszę pozwolić mi wyrazić spóźnione kondolencje z powodu śmierci męża.

- Dziękuję, lordzie Elston. Mineły już cztery lata, a nam go wciąż brakuje - odparła lady Padbury i podniosła rąbek chustki do suchych oczu.

Kres tej nieco sztucznej scenie położyło wejście kamerdynera i pokojówki z przekąskami. Lady Padbury sięgnęła po filiżankę z herbatą i omal jej nie upuściła, gdy uświadomiła sobie swój brak wychowania.

- Och, lordzie Elston, proszę usiąść. Krzesło przy Lydii jest wyjątkowo wygodne.

Ponieważ wszystkie krzesła były identyczne, Robert od razu zorientował się, czego się od niego oczekuje: by zapoznał się bliżej z panną Lydią. Usiadł na wyznaczonym miejscu i kątem oka dostrzegł rozbawione spojrzenie lady Blackburn,

Gdy wszyscy poczęstowali się herbatą, Robert zapytał:

- Czy panna Lane nie przyłączy się do nas? Wicehrabina spojrzała na niego tak zaskoczona, jakby nagle wyrosła mu druga głowa.

- Przecież moja córka siedzi obok pana.

- Chodziło mi o pani pasierbicę.

- Caroline? - zdziwiła się lady Padbury. - Nie, Caroline raczej się do nas nie przyłączy.

- Szkoda. Ostatni raz widziałam Karolinę wieki temu.

Robert zauważył, że lady Blackburn podkreśliła prawidłową wymowę imienia panny Lane, ale wicehrabi na nie zwróciła na to uwagi.

- Caroline... hmm.... wyszła do znajomych.

- A ja myślałam, że... - odezwała się Lydia.

- Caroline wyszła do znajomych - szybko przerwała córce lady Padbury i zwróciła się do syna: - Prawda, Charlesie?

Chłopiec spuścił wzrok.

- Tak, mamó.

Lady Blackburn zmarszczyła brwi. Robert nie miał wątpliwości, że wicehrabina i jej syn kłamią. Poczł nagły przyplływ niechęci do gospodyni.

- Może gdybym przyjechał z wizytą jutro, zastałbym ją w domu?

- Dlaczego chce się pan zobaczyć z Caroline, lordzie? - chciała wiedzieć Lydia.

A dlaczego nie? pomyślał Robert.

- Bo miałem zaszczyt poznać pannę Lane wiele lat temu i chciałbym odnowić naszą znajomość.

Lady Blackburn kiwnęła głową z aprobatą.

- Bardzo słusznie. Czy zatrzyma się pan dłużej w okolicy, lordzie?

- Niezupełnie, choć zostanę do jutra. Byłem w mojej posiadłości w Thirsk, a ponieważ jechałem przez Selby, postanowiłem odwiedzić rodzinę.

- Musi pan zatrzymać się u nas, lordzie - wtrąciła szybko wicehrabina.

Dla jej córki była to niezwykła okazja, by oczarować majątnego kawalera z wyższych sfer.

- Koniecznie - zawtórowała jej Lydia.

- Och, nie. Bardzo dziękuję za propozycję, ale nie chciałbym się narzucać.

Robert nie chciał doprowadzić do niezręcznej sytuacji, gdy musiałby zawieść oczekiwania i matki, i córki.

Nie zamierzał dać się zmusić do małżeństwa z panną Lydią, co najwyraźniej zaczęła planować wicehrabina. Po pierwsze, Lydia nie znajdowała się na liście ojca. Po drugie, zachowywała się jak ładna, ale pusta lalka. Jeśli nawet była inteligentną dziewczyną, na razie nie udało jej się tego pokazać.

- Ależ nie narzuca się pan, lordzie. Będziemy zaszczycone, jeśli zechce pan zatrzymać się u nas na kilka dni. - Serdeczności w głosie lady Padbury zaprzeczała głęboka zmarszczka, która pojawiła się na jej czole.

- Naprawdę - skwapliwie przytaknęła Lydia.

- Ta okolica świetnie nadaje się na polowania, jeśli lubi pan takie rozrywki, lordzie - dodał Charles.

Robert szybko rozważył za i przeciw. Jeśli zostanie i zamknie drzwi sypialni na klucz, będzie względnie bezpieczny i może nawet uda mu się porozmawiać z panną Lane. Jeśli wyjedzie, nie będzie miał żadnej szansy się z nią spotkać.

Lady Blackburn, widząc wahanie Roberta, skinęła lekko głową. Zachęcony w ten sposób przyjął zaproszenie.

Robert wyszedł przez oszklone drzwi prowadzące z jadalni na taras z kieliszkiem porto w dłoni. Gdyby wiedział, jak potoczy się popołudnie, z pewnością odrzuciłby zaproszenie. Zaskakujące wydarzenia następowały jedno po drugim i nic nie wskazywało na to, że szybko zapanuje spokój.

Pierwszą niespodzianką była prośba lady Blackburn, by odprowadził ją do powozu. Na zewnątrz zdradziła mu z troską w głosie, że od miesiący nikt nie widział Karoliny nawet w kościele. Hrabina poprosiła Roberta, by przed wyjazdem odwiedził ją i powiedział, co słyhać u Karli.

Potem, idąc za radą matki, Lydia zabrała go na spacer do ogrodu. Ponieważ był dopiero początek marca, niewiele mogli obejrzeć. Robert był czujny, ale Lydia nie próbowała żadnych sztuczek. Cały czas paplała o zbliżającym się sezonie towarzyskim. Robert obawiał się, że dziewczyna nie wzbudzi tyle zachwyty, ile się spodziewała, ale nic nie powiedział, żeby nie tłumić jej entuzjazmu. Znudziła go swoją paplaniną, ale wolał to niż omdlenia i skręcone kostki.

Panna Karolina nie pojawiła się na kolacji. Gdy spytał, kiedy należy oczekiwać jej powrotu, usłyszał, że dziś je na plebanii.

Oczywiście nie uwierzył.

Coś podejrzanego działo się w tym domu. Nie wiedział co - na razie przynajmniej - ale zamierzał się dowiedzieć.

Postawił kieliszek na balustradzie i zapalił krótkie cygaro. Zaciągnął się głęboko, oparty wygodnie o kwiaton. Podniósł wzrok i zapatrzył się w gwiazdy.

Stłumione westchnienie, które rozległo się niespodziewanie gdzieś niedaleko, zdradziło mu, że na tarasie nie jest sam. Z trudem zachowując spokój, spojrział w lewo i w prawo, ale nikogo nie dostrzegł. Przeklinając w myślach zasłaniające księżyc chmury, odwrócił się i obejrzał trawnik, ale nikogo nie zauważył, żaden cień się nie poruszył. Szósty zmysł, który nieraz uratował go z opresji podczas służby w wojsku, ostrzegł go, że intruz znajduje się za jego plecami. Niemal czuł na sobie czyjś wzrok. Gwałtownie odwrócił się i spostrzegł nieruchomą kobiecą postać siedzącą na ławce przy ścianie domu.

Karla z trudem stłumiła okrzyk zdumienia, gdy rozpoznała wysokiego, barczystego, ciemnowłosego mężczyznę stojącego przy balustradzie. To znaczy niezupełnie go rozpoznała. Bardzo się zmienił przez ostatnie siedemnaście lat, ale nie miała żadnych wątpliwości, że to był on. Wicehrabia Wrexton, chłopiec, z którym się zaprzyjaźniła wiele lat temu, który pomógł jej zrozumieć, że ojciec, żeniąc się powtórnie, wcale nie przestał jej kochać.

Zafascynowana patrzyła, jak mężczyzna powoli wypuszcza nabrane w płuca powietrze. Musiała go mocno wystraszyć.

- Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Przepraszam za najście.

Robert uklonił się, po czym upuścił cygaro i przydeptał butem niedopałek.

- To ja przepraszam, że pana przestraszyłam. Nie przeszkadza mi pana obecność ani cygaro. Wprost przeciwnie, woń tytoniu przypomina mi ojca.

Robert podszedł do niej bliżej i schylił głowę.

- Ponieważ nie ma tu nikogo, kto mógłby nas sobie przedstawić, musimy to zrobić sami. Nazywam się Elston.

A więc nie jest już wicehrabią Wrextonem. W każdym razie nie tylko. Stał przed nią markiz Elston, wicehrabia Wrexton, baron Symington.

Karla nie wiedziała, jak powinna zareagować. Z jednej strony pragnęła dowiedzieć się, czy markiz ją pamiętał, ale z drugiej za nic nie chciała, by poznał przykre warunki, w jakich przyszło jej żyć. Przez chwilę zmagala się ze swoim sumieniem, ale w końcu Karolina Ingrid Catherine Lane, córka świętej pamięci wicehrabiego

Padbury'ego i jego pierwszej żony, Ingrid Lindquist, pochyliła głowę na powitanie i po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat skłamała:

- Jestem zaszczycona, lordzie Elston. Nazywam się Catherine Lindquist.

- Czy jest pani krewną świętej pamięci wicehrabiny?

- W rzeczy samej. Czy znał pan pierwszą lady Padbury?

- Tak. - Elston uśmiechnął się na wspomnienie wicehrabiny. - Pamiętam ją z czasów, gdy odwiedzałem ten majątek jako młody chłopak. Piękna blondynka, która pachniała różami i zawsze miała czas, by słuchać dziecięcych opowieści.

- Ja nie pamiętam jej tak dobrze, ale chyba... przypominam sobie woń jej różanych perfum.

- Rozumiem więc, że mieszka pani w Paddington Court od wielu lat.

Karla przytaknęła.

- Od ponad dwudziestu.

- Ale nie zeszła pani na kolację - zauważył Robert.

- Nie. Jestem krewną, ale nie uważa się mnie tu za członka rodziny.

- To przykre.

Karla zamrugła oczami, żeby nie pozwolić zebranyemu nagle pod powiekami łzom spłynąć po policzkach.

- Być może.

- Ja osobiście bardzo tego żałuję. Mam wrażenie, że byłaby pani wspaniałym partnerem do rozmowy.

- Dziękuję, lordzie Elston. Bardzo to uprzejmy komplement z pana strony.

Karla wyciągnęła chusteczkę z kieszeni peleryny i odchyliła głowę w cień, żeby obetrzeć wilgotne policzki. Lord najwyraźniej zorientował się, co się dzieje, bo spróbował ją rozweselić.

- Uprzejmość nie ma z tym nic wspólnego. Jestem pewien, że rozmowa z panią byłaby o wiele bardziej interesująca niż wysłuchiwanie skarg Charlesa na temat prac domowych, które zadaje mu nauczyciel, czy paplaniny panny Lydii o ludziach, których nawet nie znam.

- Och, nie. Nie wierzę, że lady Padbury nie ma do zaoferowania nic ciekawszego.

- Ośmielę się zauważyć, że zależy to od tego, czy zadaje się pytania, czy trzeba na nie odpowiadać. Ona była ewidentnie zadowolona ze swojej roli i zupełnie nie starała się wczuć w moją.

- Cóż, przykro mi, że gospodarze nie podjęli pana życzliwą pogawędką. Gdyby ta... - przerażona Karla ugryzła się w język. - Gdyby Padbury wciąż żył, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

- Nie wątpię. Wydaje mi się, że i pani sytuacja byłaby inna.

- O, tak.

- A przecież lady Padbury pozwala pani mieszkać u siebie. Na pewno bardzo panią szanuje.

Karla starała się odpowiedzieć głosem pozbawionym gorczy, która przepełniała jej serce.

- Nie, lordzie Elston, ona mnie nie szanuje. Pozwala mi tu mieszkać, bo jestem jej potrzebna. Poza tym boi się, że sąsiedzi się od niej odsuną, jeśli mnie stąd wyrzuci.

Markiz zacisnął pięści i groźnie zmrużył oczy, ale jego głos nie zdradził złości.

- Jest jej pani potrzebna? Do czego?

- Jestem guwernantką młodszych dzieci, lordzie.

- Czy była pani również guwernantką panny Karoliny i panny Lydii?

- Nie. Do śmierci Padbury'ego traktowano mnie jak członka rodziny. Potem wicehrabina zaledwie mnie tolerowała. Dopiero odkąd Lydia zaczęła nosić długie suknie i upinać wysoko włosy, wyznaczono mi rolę guwernantki.

- Och! - wykrzyknął olśniony Elston. - A więc przyćmiewa pani pannę Lydię?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jak rozumiem, panno Lindquist, lady Padbury obawia się, że swoją urodą przyćmiłaby pani pannę Lydię.

Karla potrząsnęła głową.

- Lydia i ja nie jesteśmy do siebie ani trochę podobne, lordzie. Nie da się nas porównać.

- Porównać nie da się uniknąć, często robimy je podświadomie. Niewątpliwie fakt, że różnią się panie od siebie, stanowi przyczynę troski lady Padbury.

Karla zmarszczyła brwi.

- Co ma pan na myśli, lordzie?

- Nie mam pojęcia, jak pani wygląda, panno Lindquist, księżyc jest ukryty za chmurami. Ale gdyby była pani dziś po południu w salonie, na pewno uznałbym panią za wyjątkowo inteligentną osobę i najchętniej rozmawiałbym właśnie z panią. Podobnie zachowały się każdy rozsądny mężczyzna.

- Hmm - mruknęła Karla, wracając myślami do czasów, gdy jeszcze należała do rodziny.

Gdy Lydia skończyła szkołę, rezydencję zaczęli odwiedzać miejscowi młodzieńcy, najpierw z matkami, potem sami. Początkowo obie miały mniej więcej tyle samo adoratorów, ale po dwóch tygodniach okazało się, że coraz mniej chłopców interesuje się Lydią, a wszyscy przychodzą do Karli. Kroplą, która przepełniła czarę goryczy, był bal, na którym Karla przetańczyła całą noc, a do Lydii nikt nie podszedł. Następnego ranka lady Padbury zwolniła guwernantkę i skarciła pasierbicę za „bezczelne zachowanie”, które przyniosło wstyd całej rodzinie. Postawiła Karłę przed trudnym wyborem: albo przejmie obowiązki guwernantki i będzie uczyła przyrodnie rodzeństwo, albo ma się wynosić z domu. Karla wybrała to pierwsze - nie miała innego domu.

Pograżona w myślach nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Jej uwagę zwróciło zniecierpliwione przestępowanie markiza z nogi na nogę. Karla podniosła głowę i uśmiechnęła się, choć Elston nie mógł tego dostrzec w ciemności.

- Chyba ma pan rację, lordzie. Biorąc pod uwagę, jak znalazłam się w obecnej sytuacji, pana spekulacje mogą być słuszne.

- Czy to nie zadziwiające - zauważył markiz - jak niektóre sprawy nabierają sensu, gdy patrzymy na nie z perspektywy czasu?

Karla roześmiała się.

- Rzeczywiście - przyznała i wstała. - Dziękuję, lordzie Elston. Miło mi było z panem porozmawiać.

- Mnie również - odparł Robert i ukłonił się. Po dwóch krokach Karla odwróciła się.

- Czy mogłabym pana prosić o przysługę, lordzie?

- Tak, ale jeśli chodzi pani o to, bym nie wspominał o naszej rozmowie lady Padbury i pannie Lydii, proszę się nie kłopotać. Nie zamierzam opowiadać im o tym przyjemnym zdarzeniu.

Karla dygnęła.

- Dziękuję, lordzie.

Podeszła do tylnych drzwi i rzuciła przez ramię:

- Dobranoc, lordzie Elston.

- Czy ja również mógłbym mieć do pani prośbę?

Karla przystanąła.

- Oczywiście, ale jak pan wie, ja niewiele mogę.

- Czy mogłaby pani przekazać ode mnie pozdrowienia pannie Karolinie, a także przekazać jej, że byłbym zaszczycony, gdyby zechciała jutro przyłączyć się do rodzinnego śniadania albo obiadu? Po naszym ostatnim spotkaniu pozostały mi bardzo przyjemne wspomnienia i chciałbym ją ponownie zobaczyć.

Och, nie! Karla przekłęta w myślach swoje oszustwo.

- Przekażę jej pańską wiadomość, ale nie obiecuję, że przyniesie to oczekiwany skutek. - Zaciekawiona, dodała: - Dlaczego Karolina nie przyszła dziś na poobiednią herbatę i kolację?

- Po południu była u znajomych, a kolację jadła na plebanii.

Markiz powiedział to spokojnym głosem, ale Karla wyczuła, że nie wierzył w te tłumaczenia.

- Przekażę Karli pana prośbę, lordzie Elston, ale...

- Wrexton. Ona będzie mnie pamiętała jako wicehrabiego Wrextona.

Karla kiwnęła głową i sięgnęła do klamki.

- Karla otrzyma pana wiadomość, ale nic więcej nie mogę obiecać.

- Rozumiem, panno Lindquist. Dziękuję. Robert uklonił się, pożegnał i wszedł do jadalni. Uśmiechnięta Karla pobiegła po schodach na górę.

Radość dodawała jej skrzydeł. Pamiętał ją! Z ich spotkania pozostały mu przyjemne wspomnienia!

Następnego ranka Robert obudził się dość wcześnie i pospiesznie zszedł na śniadanie, mając nadzieję, że panna Karolina jada na dole, a nie w swoim pokoju.

Zjadł dokładkę, wypił filiżankę kawy, przeczytał całą London Gazette, ale ona się nie zjawiała. Ani ona, ani nikt inny. Po dwóch godzinach wstał w końcu od stołu i w drzwiach zderzył się z Charlesem. Robert, zawsze uprzejmy i dobrze wychowany, wrócił na swoje miejsce i wysłuchał nieskładnej paplaniny chłopaka na temat jego prac domowych, wysiłków matki, by zaprezentować Lydię przed nim w jak najlepszym świetle i planów kolegów młodego Padbury'ego

na najbliższe wakacje. Robertowi udało się wtrącić kilka pytań w potok słów Charlesa i dowiedział się, że panie nie zjedzą na dół przed południem. Okazało się także, że w stajni jest koń, na którym mógłby wybrać się na przejażdżkę. Robert udał się więc na górę, by założyć strój do konnej jazdy, po czym ruszył do stajni, by dosiąść konia.

Ponieważ nie znał dobrze okolicy, poprosił stajennego, by mu towarzyszył. Od chłopaka dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o rodzinie Padburych: młody wicehrabia dobrze jeździł konno, panna Lydia bała się wierzchowców, panna Karolina jeździła konno, jakby urodziła się w siodle, a malcy ledwo ledwo utrzymywali się na grzbiecie nawet najłagodniejszych zwierząt. Robert miał ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o Karolinie, ale ugryzł się w język. Nie dlatego, że nie chciał spoufalać się ze służbą - w wojsku nauczył się cenić informacje pochodzące z każdego źródła - ale bał się, że niedyskretny służący może wszystkim wokół rozpowiedzieć o zainteresowaniu markiza Elstona Karoliną Padbury.

Gdy wrócił z przejażdżki, panie wciąż pozostawały w pokojach na górze, a Charles miał lekcje ze swoim nauczycielem. Robert przebrał się więc i napisał list do ciotki Lavinii. Potem przejrzał półki z książkami w poszukiwaniu jakiejś lekkiej, dowcipnej lektury, innej niż rolnicze traktaty, które czytywał ostatnio. Znalazł Rozważną i romantyczną i zasiadł wygodnie w fotelu przed kominkiem. Gdy zadzwonił gong wzywający na lunch, Robert zdziwił się, że czas tak szybko minął.

Posiłek niewiele różnił się od wczorajszego. Charles skarżył się na nudne lekcje, Lydia opowiadała anegdoty o sąsiadach, a Karolina się nie pojawiła podobnie jak panna Lindquist. Robert nawet nie musiał pytać o pannę Lane. Gdy tylko usiedli, lady Padbury oznajmiła, iż pasierbica wyszła do znajomych.

Robert oczywiście jej nie uwierzył. Pomijając fakt, że unikanie gościa byłoby wysoce niegrzeczne, lady Blackburn powiedziała, że Karoliny nikt nie widział od wielu miesięcy.

Ciekawe dlaczego? Dlaczego Karolina nie przychyliła się do jego prośby przekazanej zarówno rodzinie, jak i guwernantce? Dlaczego lady Padbury kłamała? Dlaczego Karolina nie bywała u znajomych ani w kościele? Można było znaleźć kilka przyczyn, na przykład chorobę czy poważny wypadek, ale takie wytłumaczenie pozbawione było sensu w świetle zuchwałych kłamstw wicehrabiny. Jedyne

rozsądny wniosek był taki, że lady Padbury nie chciała, by poznał jej pasierbicę. Ale dlaczego?

Popołudnie ożywiła wizyta kilku miejscowych młodzieńców, którzy rzekomo przyszli odwiedzić pannę Lydię, ale większość czasu spędzili, konwersując z Robertem. Lydia była wściekła z tego powodu, ale w końcu wpadła na pomysł, jak wybrnąć z tej sytuacji. Zaczęła ignorować gości i faworyzować Elstona. Nie udało jej się jednak wywołać zazdrości u chłopców. Ponieważ oni i tak nie zwracali na nią uwagi, nie spostrzegli różnicy w jej zachowaniu. Jeśli natomiast jej zamierzeniem było zirytować Roberta, plan powiódł się całkowicie. Każde jego słowo witała westchnieniami zachwyty, jakby czytał Biblię. Dobrze, że nie przeziębził się od przeciągu, jaki powstawał od trzepotu jej rzes. A na ramieniu na pewno miał już siniaka od ciągłych uderzeń wachlarza.

Panna Karolina Lane nie pojawiła się w salonie. Robert był rozczarowany, ale nie zaskoczony.

Po wyjściu gości namówił Charlesa do gry w bilard. Młody wicehrabia odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się w drugim pokoju. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

Robert stłumił uśmiech.

- Nie lubisz kolegów? A może nie lubisz się z nimi spotykać w domu?

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę tego robić tak często. Zwykle odwiedzają nas tylko w wakacje, ale teraz szkoła jest zamknięta z powodu epidemii grypy. W każdym razie nie muszę składać wizyt towarzyskich razem z mamą, co jest dużą ulgą. - Charles uśmiechnął się łobuzersko. - Jeśli chodzi o Croydena, Willoughby'ego i innych, to nawet ich lubię. Niektórych nawet podziwiam. Ale jeśli w pokoju jest jakaś młoda dama... - chłopak przewrócił teatralnie oczami - albo tak interesujący człowiek jak pan, ja się w ogóle nie liczę. Oczywiście - dodał szybko - gdybym to ja był gościem, też wolałbym rozmawiać z panem.

- Dziękuję. - Robert uklonił się lekko. - Ty zaczynasz czy ja?

Wicehrabia ustąpił pierwszeństwa Elstonowi. Robert uderzył bilę i spytał jakby od niechcienia:

- Twoja siostra lubi przyjmować gości. A panna Karolina?

- Karla lubi i przyjmować gości, i jeździć w odwiedziny, tylko... - Charles urwał, jakby się czegoś przestraszył. Po chwili jednak

wyprostował się odważnie. - Mama uważa, że panowie nie będą zwracać uwagi na Lydię, jeśli będzie jej towarzyszyła Karla. I chyba ma rację. Ale to przecież nie wina Karli, że Lydia ma pstro w głowie.

Robert położył chłopcu dłoń na ramieniu.

- Zgadza się z tobą, że to niesprawiedliwe, ale takie jest życie.

- Wiem. - Ton wicehrabiego zrobił się bardzo wojowniczy. - Ale mnie się to wcale nie podoba.

- Tak, ale przecież i tak nic nie możesz zrobić, żeby matka zmieniła zdanie.

- Chyba nie - przyznał chłopiec i pochylił się nad stołem.

Po rozmowie z Charlesem Robert nabrał pewności, że Karolina nie pojawi się w jadalni. Miał rację. Nie padło też żadne usprawiedliwienie jej nieobecności, dopóki panie nie poszły do siebie na górę. Wicehrabia przyznał wtedy, że matka kazała pasierbicy zostać na górze i zjeść z młodszymi dziećmi. Robert pogratulował Charlesowi prawości charakteru. Chłopak najwyraźniej kochał i szanował przyrodną siostrę - może nawet bardziej niż matkę - i jako jedyny w tej rodzinie poprawnie wymawiał jej imię. Choć na początku wydawało się to niemożliwe, Robert bardzo polubił tego młodzieńca. Wierzył, że przyniesie rodzinie zaszczyt, gdy dorośnie i odziedziczy tytuł i majątek ojca.

Robert nie potrafił znaleźć wytłumaczenia dla zachowania lady Padbury, która w tak oczywisty sposób lekceważyła prośby swojego gościa. Miała przecież córkę, która w tym sezonie zostanie wprowadzona w towarzystwo. Wizyty markizów nie zdarzały się wszak w tym domu często. W całym królestwie markizów było zaledwie kilkunastu i żaden nie mieszkał w okolicy. Biorąc pod uwagę fakt, że młody wicehrabia miał tylko piętnaście lat, wizyty zamożnych, nieżonatych i wysoko postawionych arystokratów musiały zdarzać się w Paddington Court najwyżej raz na dziesięć lat.

Z kieliszkiem porto w dłoni Robert wyszedł na taras. Panna Lindquist nie siedziała na ławeczce pod ścianą, więc zapalił cygaro. Z lubością zaciągnął się dymem. Lady Padbury będzie musiała zmienić taktykę, gdy przybędzie do Londynu. Nie mogła przedstawić w stolicy tylko jednej córki, bo arystokracja odwróciłaby się od niej. Matka Karoliny była córką księcia, matka Lydii jedynie mało znaczącego baroneta.

Robert zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy Karolina miała już swój debiut towarzyski. Jako dwudziestotrzylatka powinna była zadebiutować w tysiąc osiemset siódmym lub ósmym roku. W poprzednim sezonie Robert był w wojsku, ale w zeszłym roku nie wyjeżdżał ze stolicy. Karoliny na pewno nie poznał - nie zapomniałby tego spotkania. Rozdrażniony nagłą myślą wyprostował się. A jeśli wicehrabina wcale nie wprowadziła pasierbicy do towarzystwa i nie miała zamiaru zrobić tego w tym roku? Jeśli tak, Robert postanowił pokrzyżować jej plany.

Rozdział 3

Elston niemal pogodził się z myślą, że nie zobaczy się tego dnia z panną Lindquist, gdy usłyszał skrzypienie drzwi, a potem czyjeś szybkie kroki na schodach. Ucieszył się, że dziewczyna się spieszy. Chociaż wcale nie ustalili godziny ani miejsca spotkania.

Serce zabiło mu radośnie w oczekiwaniu przyjemnej rozmowy. Bądź co bądź, czekał na tarasie ponad godzinę.

- Dobry wieczór, panno Lindquist - przywitał ją. - Miałem nadzieję, że piękny gwiazdzisty wieczór sprawi, że zechce pani wyjść na dwór.

- Dobry wieczór, lordzie Elston.

Panna Lindquist podniosła głowę do góry i kaptur peleryny zsunął jej się nieco do tyłu. Robert dostrzegł zarys jej delikatnej twarzy idealnie pasującej do drobnej figury.

- To rzeczywiście piękny wieczór. - Tak.

Dziewczyna patrzyła na niego przez chwilę, po czym cofnęła się do cienia i zajęła to samo miejsce na ławce co wczoraj.

- Jak dziś zachowywali się pani podopieczni?

- Byli nieznośni - westchnęła.

- Mam nadzieję, że zwykle są grzeczni.

- Niezupełnie, ale czego można oczekiwać od dzieci. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Iloma się pani zajmuje?

- Czworgiem.

Robert był jedynakiem i nie potrafił wyobrazić sobie życia w rodzinie, gdzie jest sześcioro dzieci. Z kilkanaście lat starszą Karoliną nawet siedmioro.

- Biorąc pod uwagę, jak dużo czasu Padbury spędzał poza domem, założę się, że z radością zawsze wracał do żony i rodziny. - Robert za późno zorientował się, że jego stwierdzenie zabrzmiało dwuznacznie. - Proszę o wybaczenie...

- Nie ma powodu przepraszać, lordzie Elston. Padbury rzeczywiście lubił spędzać czas z rodziną. - Karla uniosła dumnie głowę. - Jest tajemnicą poliszynela, choć pan może o tym nie wiedzieć, ale Padbury nie... nie mógł być ojcem dwojga z dzieci. Nie widział się z żoną ponad rok przed ich narodzinami.

Lady Padbury przyprawiała mężowi rogi? Robert nigdy nie miał wysokiego mniemania o wicehrabinie, ale ta informacja sprawiła, że stracił dla niej resztki szacunku.

- Mimo to uznał je za swoje. Panna Lindquist przytaknęła.

- Tak. Twierdził, że są niewinne i nie powinny cierpieć z powodu złego prowadzenia się ich matki.

Ciekawość zwyciężyła dobre maniery Roberta.

- I Padbury nie oskarżył jej otwarcie o niewierność?

Nie rozwiódł się z nią, choć z pewnością miał powód, by wnieść tę sprawę do sądu kościelnego. Robert nie rozumiał motywów wicehrabiego.

Guwernantka potrząsnęła głową.

- Nie. Uważał, że jego długie nieobecności stanowią jedną z przyczyn takiego postępowania żony.

Panna Lindquist powiedziała to w sposób, który wyraźnie wskazywał na to, że nie zgadzała się ze stanowiskiem Padbury'ego. Robert w zupełności przychylił się do jej zdania. Przecież żony żołnierzy i marynarzy pozostawały same o wiele dłużej i nie wykorzystywały tego faktu jako wymówki dla cudzołóstwa. Nie było jednak sensu dłużej ciągnąć tematu. Już i tak zabrnęli za daleko.

- Padbury zwierzał się pani?

- Z niektórych spraw tak. Może nawet z większości. Zajmowałam się majątkiem podczas jego nieobecności.

- Tak? Mam nadzieję, że Padbury doceniał pani pomoc. Czy skończyła pani jakiś kurs zarządzania posiadłościami?

- Uczyłam się od niego. I tak - uśmiechnęła się - doceniał moją pracę.

- To dobrze.

Na kilka minut zapadła cisza, ale Karla nie czuła się niezręcznie. Miała raczej wrażenie, że jest w towarzystwie przyjaciela, którego nie musi bez przerwy zabawiać. W pewnym momencie oboje odezwali się jednocześnie.

- Lordzie Elston...

- Panno Lindquist...

Markiz poprosił, by kontynuowała.

- Chciałam tylko powiedzieć, że może pan zapalić cygaro, jeśli ma pan ochotę.

- Nie przeszkadza pani dym?

- Nie, mój ojciec palił cygara.

- Mój też czasami, ale moja ciotka uważa je za obrzydliwe, śmierdzące liście.

- A pana matka?

- Nie pamiętam. Zmarła, gdy miałem dziesięć lat. Karla skrzywiła się boleśnie. Ona dobrze o tym wiedziała, ale panna Lindquist nie.

- Proszę przyjąć moje kondolencje, lordzie. Ciężko jest dać sobie radę po śmierci rodziców, prawda?

- Tak, cholernie... to znaczy bardzo ciężko.

Karla uniosła dłoń, by powstrzymać przeprosiny Roberta za użycie przekleństwa w jej obecności.

- Nie zamierza pan zapalić?

- Nie. Tego się po prostu nie robi.

- Czego, lordzie?

- Dżentelmeni nie palą w towarzystwie kobiet. Nawet jeśli mają ich przyzwolenie.

Karla potrząsnęła głową.

- Społeczeństwo ustaliło zasady na każdą okazję, prawda?

- Chyba tak. - Robert uśmiechnął się niewesoło. Karla coraz bardziej żałowała, że oszukała lorda co do swojej tożsamości. Chciała mu o wszystkim powiedzieć, ale bała się, że będzie nią gardził, gdy dowie się o kłamstwie. Elston oparł się plecami o balustradę i skrzyżował kostki. Wyglądał na odprężonego, podczas gdy ona była spięta do granic możliwości.

- Przekazałam Karolinie pana wiadomość, lordzie Elston. Pamięta pana, ale...

- Ale nie mogła spełnić mojej prośby, bo wicehrabina kazała jej jadać posiłki na górze razem z młodszymi dziećmi.

Karla spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Skąd pan wie?

- Charles mi powiedział.

- Naprawdę? Markiz przytaknął.

- Według niego lady Padbury traktuje Karolinę bardzo niesprawiedliwie. I ma rację.

Karla ucieszyła się, że jej przyrodni brat i Elston myślą to samo co ona o sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Proszę mi powiedzieć, na ile sytuacja Karoliny jest podobna do sytuacji pani? Z tego, co dowiedziałem się od Charlesa i od pani samej, wygląda na to, że macie taki sam kłopot.

- Rzeczywiście, lordzie. Wicehrabina uważa nas za przeszkodę w znalezieniu odpowiedniego kandydata na męża dla Lydii.

- Lady Padbury będzie musiała zmienić swoje zachowanie - oznajmił Robert.

- Dlaczego?

- Większość matek uznałaby za zaszczyt gościć mnie u siebie, a lady Padbury nie spełniła mojej prośby i nie pozwoliła mi porozmawiać z Karoliną. Nie przysporzy to ani jej, ani Lydii mojej sympatii.

- Obawiam się, że wicehrabina nie popatrzyła na to z tej strony.

- Najwyraźniej - przytaknął Elston i dodał po chwili: - Czy Karolina debiutowała już w towarzystwie?

- Nie, lordzie.

- Czy w takim razie Karolina i Lydia zostaną przedstawione wyższym sferom w tym roku?

- Nie sądzę. Wicehrabina ma plany jedynie wobec Lydii.

- Czy Karolina chciałaby wyjechać do Londynu?

Karla cały czas zastanawiała się, dlaczego Elston zadaje jej te wszystkie pytania. Na początku wydawało jej się, że po prostu chciałby spotkać ją w Londynie, ale później stwierdziła, że chodzi o coś więcej.

- Tak, lordzie, chciałaby. Tutaj nie ma możliwości poznać żadnych kawalerów...

- Proszę mówić dalej, panno Lindquist.

- A ona marzy o własnym domu, mężu i dzieciach.

- Wszyscy marzymy o miłości.

Zapadła cisza. W końcu Karla nie wytrzymała.

- Czy sądzi pan, że wicehrabina pozwoli Karolinie debiutować w tym roku?

- Nie wiem, panno Lindquist, ale zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ją przekonać. - Elston uśmiechnął się łobuzersko. - A jeśli moja perswazja nie wystarczy, ucieknę się do pomocy potężnych sprzymierzeńców.

- Ach, tak? Kogo mianowicie?

- Lady Blackburn. Mojej ciotki Lavinii. - Podał jeszcze kilka nazwisk kobiet, których nie знаła, i na zakończenie dodał: - Lady Julii Castleton. W tym sezonie będzie debiutowała jej siostrzenica, Beth, która jest w wieku Karoliny.

- Czy wszyscy będą je uważać za stare panny? - przestraszyła się Karla.

- Nie sądzę, choć rzeczywiście będą starsze od pozostałych dziewcząt.

Karla wstała podekscytowana myślą, że niedługo może wyjechać do stolicy.

- Lordzie Elston, życzę panu powodzenia. - Spojrzała na jego wysoką sylwetkę. - Jeśli jutrzejszy wieczór będzie pogodny, być może wyjdę tu do pana i powie mi pan, jak sobie radzi.

- Jutro rano wyjeżdżam, panno Lindquist. Nie ma sensu, bym dłużej tu zostawał, skoro nie mogę porozmawiać z Karoliną. - Robert podszedł do Karli. - Ale jestem pewien, że jeśli mój plan się powiedzie, Karolina panią o tym powiadomi.

Karla przytaknęła.

- Niewątpliwie.

- Czy pani także będzie w Londynie, panno Lindquist?

- Nie, lordzie. - Karla nie mogła i nie chciała dłużej grać podwójnej roli. - Zostanę w domu z dziećmi.

- Szkoda. Bardzo polubiłem rozmowy z panią i cenię sobie pani rady.

Karla dygnęła.

- Dziękuję, lordzie Elston. Mnie także bardzo miło się z panem rozmawiało. - Zerknęła na Roberta i odwróciła się do drzwi. - Do widzenia, lordzie. Życzę panu przyjemnej podróży.

- Dobranoc, panno Lindquist. I dziękuję. - Zanim zdążyła wejść do domu, dodał jeszcze: - Wiem, że dżentelmen nie powinien pytać, ale ile ma pani lat?

Zaskoczona Karla wyjąkała:

- Nie... niecałe trzydzieści, lordzie.

- I nie marzy pani o własnym domu i rodzinie?

- Oczywiście, że tak. Każda kobieta o tym marzy. Ale marzenia guwernantek rzadko się spełniają.

- Kto wie, co los szykuje dla pani - mruknął Elston. - Dobranoc, panno Lindquist.

- Dobranoc, lordzie.

Robert wypalił cygaro i wrócił do salonu. Panowała w nim ponura cisza. Haft lady Padbury leżał obok niej na sofie, a Lydia bez entuzjazmu przeglądała gazetę. Gdy wszedł do pokoju, obie kobiety wyprostowały się i uśmiechnęły.

- Długo pan pił swoje porto, lordzie - oskarżycielskim i nadąsanym tonem zauważyła Lydia.

- Dżentelmeni często tak robią, moja droga - skarciła córkę wicehrabina. - Chociaż dziwię się, że pan, lordzie, znalazł tak wiele wspólnych tematów z Charlesem. Przecież to jeszcze dziecko.

- Charles jest młody, ale ma głowę na karku.

- Cieszę mnie pana słowa. Jestem przekonana, że sprawił mu pan ogromną radość, rozmawiając z nim tak długo.

Robert nie lubił podlizywania się, ale wyrachowanie lady Padbury było mu szczególnie niemiłe. Zaciśnął zęby, by nie odpowiedzieć szorstko.

- Charles jest na górze, uczy się. Ja paliłem na tarasie cygaro.

Uśmiech wicehrabiny nieco przygasł.

- Jutro rano wyjeżdżam. Dziękuję pani za gościnność.

- Wyjeżdża pan? Ale...

- Przecież przyjechałem tylko w odwiedziny, a zostałem aż dwa dni.

Lady Padbury spojrzała na niego przebiegle.

- Myślałam, że chciał pan zobaczyć Caroline.

- Tak. Nadal chcę, ale nasze spotkanie będzie mogło dojść do skutku dopiero w Londynie.

- Ale Caroline nie... - wtrąciła Lydia, ale matka natychmiast jej przerwała:

- Cicho, Lydio. Nie przeszkadzaj lordowi. Robert spojrzał na dziewczynę.

- Proszę kontynuować, panno Lydio.

- Chciałam tylko powiedzieć, że Caroline nie jedzie do Londynu.

Robert udał zaskoczonego.

- Nie wierzę, że to prawda. Jeśli zabierze pani do Londynu tylko jedną córkę, nie przyniesie to pani zaszczytu. Szczególnie jeśli będzie pani faworyzowała młodszą. Arystokracji nie spodoba się takie postępowanie.

Lady Padbury zamyśliła się, więc Elston dodał:

- Padbury cieszył się uznaniem w wyższych sferach, podobnie jak jego pierwsza żona. Jeśli zaniedba pani swoje obowiązki wobec ich córki, wiele drzwi zamknie się przed panną Lydią. - Robert obiecał sobie, że jeśli wicehrabina mimo wszystko każe Karolinie zostać w domu, on postara się, żeby Lydia i jej matka nie były przyjmowane w towarzystwie. - Mam jutro przed sobą długą drogę, więc pozwolę sobie pożegnać się już dzisiaj. Liczę na to, że spotkam jeszcze panią i jej córki w stolicy.

Robert uklonił się i wyszedł z pokoju zadowolony ze sposobu, w jaki wprowadził w życie pierwszy etap swojego planu.

Elston wyjechał z Paddington Court następnego ranka po szybkim śniadaniu z Charlesem. Chłopak wyraził swój smutek z powodu wyjazdu lorda i podkreślił, że było mu bardzo miło poznać Roberta. Gdy dowiedział się o planie Elstona, od razu zadeklarował, że zrobi wszystko co w jego mocy, by przekonać matkę, aby zabrała do Londynu i Karłę.

Kiedy wyszli przed dom, Charles nieśmiało zaproponował:

- Lordzie Elston, jeśli pan chce, mógłbym do pana pisać i informować o tym, co się u nas dzieje. Wiedziałby pan, czy pana plan się powiódł.

- To wspaniały pomysł. Na pewno bardzo byś mi pomógł, ale...

- Ale co?

- Cóż, ja uwielbiam dostawać listy. Ale gdy ktoś, z kim się zaprzyjaźnię, przestaje pisać, jestem bardzo rozczarowany.

- Och. - Chłopak zawiedziony kopnął kamyk. Po chwili powiedział: - Mógłbym pisać do pana, gdy wyjadę do szkoły, ale nie wiem, czy takie listy byłyby dla pana interesujące.

Robertowi spodobała się przenikliwość Charlesa.

- Ależ oczywiście, że tak. - Mrugnął do chłopca łobuzersko. - Możesz mi pisać o sprawach, których nie poruszasz w rozmowie z matką i siostrami. Możesz też pytać mnie, o co chcesz.

Uśmiech Charlesa rozjaśnił pochmurny poranek.

- To wspaniale, lordzie!

Robert dał chłopcu swoją wizytówkę i poinstruował go, by przez najbliższe dwa tygodnie wysyłał listy do Elston Abbey, a potem do rezydencji Symingtonów w Londynie. Potem wsiadł do powozu i odjechał. Gdy skręcili z podjazdu na główną ulicę, odwrócił się i spojrzał na rezydencję Padburych. W jednym z okien na drugim

piętrze pojawiła się na krótką chwilę pogrążona w cieniu postać. Robert nie wiedział, czy była to Karolina, czy panna Lindquist.

Jane, hrabina Blackburn, siedziała jeszcze przy śniadaniu, gdy do jadalni wszedł kamerdyner ze srebrną tacą.

- Gość o tej porze? Przecież nawet nie ma dziesiątej.

- Właśnie wybiła - odparł Hughes i opuścił tacę, by hrabina mogła wziąć z niej wizytówkę. - Ten dżentelmen przeprosił, że przybywa tak wcześnie, i powiedział, że poczeka, aż będzie pani gotowa go przyjąć.

Hrabina podniosła wizytówkę.

- Och, proszę wprowadzić lorda Elstona. Na pewno ma wieści od Karoliny Lane. - Jane spojrzała na swoją żółtą muslinową suknię i pożałowała, że tego ranka nie włożyła czegoś modniejszego. - Trudno, nie będę się już przebierać.

- Jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, wygląda pani wspaniale. Jak promień słońca.

Jane uśmiechnęła się do służącego, który znał ją od dnia, gdy trzydzieści pięć lat temu jako młoda żona przybyła do Blackburn Park.

- Dziękuję.

- Wprowadzę lorda Elstona. Czy mam podać mu śniadanie?

- Raczej nie, ale zapytam. Jeśli tak, proszę przeprosić kucharkę za tę nagłą zmianę.

Hrabina niecierpliwie czekała na gościa. W końcu w progu rozległ się głos Hughesa:

- Markiz Elston, hrabino.

Elston wszedł do pokoju i uklonił się.

- Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć.

- Bardzo się cieszę, że mnie pan odwiedził, lordzie. Czy zje pan ze mną śniadanie? - Uśmiechnęła się i wskazała krzesło po swojej prawej stronie. - Na co ma pan ochotę?

- Jadłem już śniadanie z Charlesem, ale chętnie napiję się z panią kawy.

Jane skinęła kamerdynerowi, który posłusznie opuścił jadalnię.

- Nie mogę się doczekać wiadomości o Karli, ale poczekam, aż dostaniemy kawę.

Elston uśmiechnął się i założył nogę na nogę.

- Nie ma potrzeby, hrabino. Z radością natychmiast przekażę pani wszystko, czego się dowiedziałem. Przede wszystkim muszę

przyznać, że nie udało mi się porozmawiać z Karoliną ani nawet jej zobaczyć. Informacje, które zdobyłem, pochodzą od Charlesa i panny Lindquist.

- Panny Lindquist?

- Guwernantki.

Jane zmarszczyła brwi.

- Lady Padbury zwolniła guwernantkę, pannę Meadows, kilka miesięcy temu. Nie wiedziałam, że zatrudniła nową nauczycielkę.

- Ależ panna Lindquist jest w Paddington Court od lat. Po prostu wcześniej nie pracowała jako guwernantka.

Jane wydawała się coraz bardziej zdziwiona.

- Nie rozumiem, lordzie Elston.

- Proszę mi mówić po imieniu, hrabino. Pani syn był trzy klasy wyżej ode mnie w Eton. Jestem od niego młodszy.

- Dobrze, Robercie.

Do jadalni wszedł Hughes z kawą.

- Opowiedz mi o panie Lindquist - poprosiła Jane, gdy służący wyszedł. - Powiedziałeś, że mieszka w Paddington Court od wielu lat, ale dopiero od niedawna jest guwernantką?

- Tak. Mieszka tam od ponad dwudziestu lat.

- Co? Nie wierzę. Na pewno spotkałabym ją tam albo przynajmniej słyszała coś o niej. Jak ma na imię?

- Chyba Catherine - przypomniał sobie Elston.

- Hmm. I jest krewną pierwszej lady Padbury?

- Tak. Panna Lindquist powiedziała mi, że do śmierci Padbury'ego traktowano ją jak członka rodziny, a potem nowa wicehrabina zaledwie ją... tolerowała. Tak, tego właśnie słowa użyła. Dopiero gdy panna Lydia skończyła szkołę i zaczęła się pokazywać w towarzystwie, zmuszono pannę Lindquist, by stała się użyteczna.

- Zmuszono?

Elston upił łyk kawy i na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia.

- Jest mi trudno oddzielić to, co mi powiedziała, od moich własnych spostrzeżeń, ale jestem prawie pewien, że zdradziła mi, iż pozwolono jej pozostać w rezydencji tylko dlatego, że tam pracuje. Poza tym lady Padbury obawia się, że wyższe sfery odwrócą się od niej, jeśli wyrzuci pannę Lindquist z domu.

- Niewątpliwie tak właśnie by było. - Jane ciągle nie mogła uwierzyć, że przez tyle lat znajomości z Padburymi nie spotkała mieszkającego w rezydencji bliskiego członka rodziny. - Ale zboczyliśmy z tematu. To moja wina, lecz proszę jeszcze odpowiedzieć mi na jedno pytanie.

- Proszę pytać.

- Ile lat ma panna Lindquist?

- Spotkałem ją na tarasie po kolacji, gdy paliłem cygaro, i nie widziałem jej wyraźnie w ciemności, ale... - uśmiechnął się - byłem tak ciekawy jej wieku, że odważyłem się o niego zapytać. Powiedziała, że nie skończyła jeszcze trzydziestu lat.

- Hmm. - Jane podejrzewała, że Elston spotkał właśnie Karolinę, ale nie miała pojęcia, dlaczego dziewczyna ukrywała przed markizem swoją tożsamość.

- No, dobrze, Robercie. Co Charles i panna Lindquist powiedzieli ci o Karli?

- Panna Lindquist zdradziła mi, że ona i Karla są w bardzo podobnej sytuacji. Zrozumiałem z tego, że Karolinie także zabroniono widywać się z gośćmi. Charles to potwierdził. Zdradził mi też, że lady Padbury obawia się, iż panowie nie będą interesować się Lydią, gdy w pobliżu będzie Karolina. Dlatego wicehrabina kazała pasierbicy jadać na górze z młodszymi dziećmi.

- Hortensja chyba zwariowała! - zdenerwowała się Jane. - Skąd jej przyszło do głowy, że nieobecność Karli zwiększy zainteresowanie mężczyzn Lydią?

- Może stwierdziła, że będą wówczas zmuszeni rozmawiać z jej córką?

- Albo przestaną przychodzić. Markiz przytaknął.

- Zgadza się z panią w zupełności.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Karolina nie została jeszcze wprowadzona w towarzystwo i nie była w Londynie.

- To wiedziałam. Gdy Hortensja nie zabrała Karli do Londynu, kiedy dziewczyna skończyła siedemnaście lat, zaproponowałam, że ja to zrobię w następnym roku. Niestety powiedziano mi, że Karla nie życzy sobie żadnego debiutu.

- Panna Lindquist twierdzi coś innego.

- Biorąc pod uwagę to, co mi pan powiedział, wcale się nie dziwię. - Jane spuściła wzrok na swoje ciasno splecione dłonie. - Och, gdybym tylko sama porozmawiała z Karłą!

- Proszę się teraz tym nie zadreć. Hrabinie nie udało się uśmiechnąć.

- Aż boję się zapytać, jakie jeszcze masz nowiny.

- Najpierw sądziłem, iż lady Padbury zamierza w tym roku wprowadzić do towarzystwa Karolinę i Lydię, ale okazało się, że się mylę. Wicehrabina szykuje do Londynu tylko Lydię. Postanowiłem więc doprowadzić do tego, żeby i Karolina mogła zadebiutować. Przed wyjazdem powiedziałem, że mam nadzieję spotkać je wszystkie w Londynie. Panna Lydia szybko powiedziała mi, że „Caroline” zostaje w rezydencji. - Tu Robert zmienił temat. - Dlaczego lady Padbury i panna Lydia nazywają Karolinę „Caroline”? Tylko Charles prawidłowo wymawia jej imię, choć zwykle mówi o niej Karla podobnie jak panna Lindquist.

- Spytałam kiedyś o to Hortensję. Powiedziała, że Karolina to imię pogańskie i ona nie będzie go używać. Za życia Padbury'ego jednak jej nie raziło, więc myślę, że jest to kolejna próba, by upokorzyć Karłę.

- Aha. Po słowach Lydii - kontynuował markiz - udałem zdziwienie i stwierdziłem, że jeśli zabierze do Londynu tylko jedną córkę, wyższym sferom się to nie spodoba i w ostateczności ucierpi na tym Lydia.

- Świetna robota, Robercie! Robert uśmiechnął się szeroko.

- Ja też jestem z siebie zadowolony.

- Słusznie. Rozumiem, że Hortensja zmieniła zdanie?

- Nie wiem. Na pewno ponownie rozważy swoją decyzję.

- A jak ja mogłabym pomóc? Robert zastanowił się.

- Nie wiem, co pani powiedzieć. Charles - któremu, swoją drogą, bardzo nie podoba się zachowanie matki - zaproponował, że będzie do mnie pisał, żebym wiedział, co się dzieje w Paddington Court. Zgodziłem się, gdy obiecał, że będziemy w kontakcie, także kiedy wróci do szkoły.

- Mogę spytać dlaczego? Markiz speszył się.

- Chłopcu w jego wieku musi być trudno bez ojca. Na pewno ma pytania, na które matka mu nie odpowie.

- Aha. - Jane z trudem powstrzymała uśmiech. - Będzie pan dla niego wspaniałym mentorem.

- Będę się starał, hrabino.

- Nie wątpię. A ja dopilnuję, by Hortensja zrozumiała, co ją czeka, jeśli nie zabierze do Londynu obu córek.

- Dziękuję, lady Blackburn. Liczyłem na pani wsparcie. - Elston wstał i ukłonił się. - Do zobaczenia w Londynie - powiedział na pożegnanie i wyszedł.

Jane uśmiechnęła się. Przyszło jej do głowy, że markiz Elston i panna Karolina Lane stanowiliby świetną parę.

Rozdział 4

Po dwóch dniach uciążliwej podróży błotnistymi drogami Robert i Higgins przybyli do Newark, miasta leżącego na granicy hrabstwa Lincoln i Nottingham. Było późne popołudnie, więc Robert wynajął pokoje w dużej gospodzie, licząc na to, że będzie lepiej utrzymana niż ta, w której spędzili poprzednią noc. Nie pomylił się. Pokoje były czyste, meble wypolerowane, pościel wykrochmalona. Po gorącej kąpieli Robert usiadł wygodnie przed kominkiem, by przejrzeć dokumenty związane z zarządzaniem posiadłością. Zawsze miał je pod ręką, na wypadek gdyby znalazł czas, by do nich zajrzeć.

Następnego dnia po porannej przejażdżce konnej i kolejnej kąpieli wyruszyli w dalszą drogę. Ich celem było Woodhurst Castle, posesja markiza Kesteven. Robert znał markiza, ale tym razem zależało mu głównie na spotkaniu z jego córkami bliźniaczkami, Deborą i Dianą.

Gdy Higgins wjeżdżał na podjazd, Robert modlił się, by dopisujące mu do tej pory szczęście go nie opuściło. Zdawał sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później gospodarze wyjadą do stolicy na sezon, ale wolał zobaczyć młode damy tak, jak wyglądają na co dzień, a nie od święta. Dzięki niezapowiedzianej wizycie łatwiej będzie mu poznać ich prawdziwe charaktery.

Okazało się, że nie tylko zastał całą rodzinę Kestevenów, ale w dodatku był to dzień przyjęć w rezydencji. Oddał kapelusz, rękawiczki i płaszcz służącemu, po czym kamerdyner - Stephens - zaprowadził go do salonu.

- Markiz Elston - oznajmił służący.

Robert uklonił się zebranemu w pokoju towarzystwu. Był tam Kesteven, markiza, mniej więcej dwudziestoletni młodzieniec i dwie jasnowłose panny podobne do siebie jak dwie krople wody. Markiz, który siedział na sofie obok małżonki, wstał, by go przywitać.

- Wrexton! Jaka przyjemna niespodzianka. Zaraz jednak radość markiza osłabła.

- Zapomniałem, że pana ojciec nie żyje. Teraz powinienem się do pana zwracać per Elston. - Kesteven ścisnął Roberta za ramię. - Proszę przyjąć moje kondolencje. Na pewno bardzo tęskni pan za ojcem. Mnie też go brakuje.

Robert przytaknął.

- Czasem nie mogę uwierzyć, że nie czeka na mnie w Abbey.

- A więc nie był pan jeszcze w Gloucestershire?

- Nie. Kilka dni po Bożym Narodzeniu wyjechałem do Szkocji. Potrzebowałem trochę samotności...

- Pierwsze święta po stracie bliskiej osoby zawsze są najtrudniejsze.

Markiza stanęła obok męża.

- Witaj, Robercie. Robert uklonił się.

- Dzień dobry pani. Dziękuję, że zechcieli mnie państwo przyjąć.

- Zawsze jest pan mile widzianym gościem. Proszę. - Markiza wzięła go pod ramię i wskazała krzesło przy kominku. - Właśnie miałam dzwonić po herbatę.

- Dziękuję.

- Ja zadzwonię, moja droga - zaproponował Kesteven. Markiza podeszła do sofy, na której siedziały jej córki ubrane w identyczne białe muślinowe suknie.

- Robercie, chyba jeszcze nie zna pan naszych najmłodszych dzieci. Pozwoli pan, że mu przedstawię nasze córki: lady Debora i lady Diana, oraz nasz syn, lord Henry. Moi drodzy - dodała, gdy młodzi ludzie wstali - to markiz Elston.

Robert uklonił się bliźniaczkom, potem ich bratu.

- Cieszę się, że mogę was poznać, lady Deboro, lady Dianio i lordzie Henry.

Dziewczęta dygnęły, a Henry skinął Elstonowi głową. Robert odprowadził lady Kesteven do jej miejsca na sofie, a sam wrócił na krzesło, które wskazała mu wcześniej. Na szczęście znajdowało się ono wystarczająco blisko gospodyni, by mogli swobodnie rozmawiać.

W tym momencie wrócił markiz i usiadł obok żony.

- Co sprowadza pana w nasze strony, Robercie?

- Tak jak wspomniałem wcześniej, lordzie, wyjechałem z Gloucestershire po świętach i dwa miesiące spędziłem w Szkocji. Teraz wracam do Elston Abbey, a po drodze odwiedzam moje posiadłości i składam wizyty przyjaciołom ojca.

Kesteven uśmiechnął się.

- Czy pana ojciec wspominał o Eton i Oksfordzie? Robert zmarszczył brwi niezadowolony z kierunku,

który przybrała rozmowa.

- Tak, czasami.

Do salonu wszedł kamerdyner z herbatą i na chwilę musieli przerwać konwersację. Robert rozejrzał się po pokoju, który mimo ogromnych rozmiarów i eleganckich mebli sprawiał wrażenie wygodnego i przytulnego. Gdy markiza skończyła nalewać wszystkim herbatę, Elston czym prędzej zmienił temat.

- Lady Kesteven, czy wybierają się państwo do Londynu?

- Tak. Debora i Diana będą debiutowały w tym sezonie towarzyskim.

- Gdyby nie śmierć babci, zostałybyśmy wprowadzone w towarzystwo dwa lata temu - powiedziała lady Diana. - A w zeszłym roku z kolei ja zachorowałam na grypę.

Robert napił się herbaty.

- Na pewno nie możecie się doczekać pierwszego balu. Większość młodych dam z niecierpliwością oczekuje swojego debiutanckiego sezonu.

- To prawda - jednocześnie odparły bliźniaczki.

Robert pomyślał, że obie odniosą sukces w Londynie. Dla wielu mężczyzn niebieskooka blondynka o mlecznobiałej karnacji to ideał piękna angielskiej kobiety, a śliczne bliźniaczki Woodhurst będą dodatkowo przyciągały uwagę ze względu na swoje niezwykle podobieństwo.

- Jestem przekonany, że ludzie mówią to wam bez przerwy, ale wyglądacie identycznie. Zobaczycie, że panowie będą się zakładać o to, kto pierwszy nauczy się was odróżniać.

Dziewczyny uśmiechnęły się i na policzkach obu pojawiły się takie same dołeczki.

- Mało kto potrafi nas od siebie odróżnić - powiedziała jedna.

- Nawet papa się czasami myli - dodała figlarnie jej siostra.

- Di, daj spokój - Kesteven udał oburzonego. - Nie przedstawiaj taty w złym świetle. Elston pomyśli, że nie jestem dobrym ojcem.

- Ależ nawet nie przyszłoby mi to do głowy. - Robert uśmiechnął się do markiza. - Dziwię się, że ktoś w ogóle potrafi je odróżnić.

- Lordzie Elston, czy sądzi pan, że w Londynie powinnyśmy ubierać się inaczej? Żeby ludziom łatwiej było nas rozpoznać? - zapytała lady Debora.

Lady Diana spojrzała zaskoczona na siostrę.

- Ale dlaczego chcesz im to ułatwiać?

- A czemu nie? - łagodnie spytała markiza. - Przecież zwykle ubieracie się inaczej.

- Ale, mammo...

Robert nie śledził z uwagą rozmowy matki z córkami. Był dumny z siebie, że znalazł sposób na odróżnienie dziewcząt. Głos lady Debory był o prawie oktawę wyższy od głosu Diany. Niewielu ludzi zauważyłoby tę różnicę, ale on jako muzyk miał wyczulony słuch.

- Mama powinna ubrać cię w fartuszek szkolny i odesłać z powrotem na lekcje! - po raz pierwszy odezwał się lord Henry.

Robert nie wiedział, czy siostry przestały się przekomarzać z powodu słów wypowiedzianych przez brata czy jego niespodziewanego wtrącenia się do rozmowy. Debora milczała urażona, a Diana spojrzała ze złością na Henry'ego.

- Taki z ciebie światowiec, że wygłaszasz sądy na temat mody?

- Oczywiście, że nie - prychnął Henry - ale wiem, że nie powinno się sprzeczać w obecności gościa.

Lady Diana spłonęła rumieńcem.

- Jeśli potrzebujesz opinii na temat mody, spytaj lorda Elstona - dodał Henry łagodniejszym tonem.

Robert, który nagle znalazł się w centrum uwagi, strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa ciemnozielonego surduta i założył nogę na nogę. Gdy podniósł wzrok, jedna z bliźniaczek stała tuż przed nim.

- Czy mogę panu nalać jeszcze herbaty, lordzie Elston? Wdzięczny lady Deborze za przerwanie niezręcznej ciszy Robert podał jej filiżankę i spodeczek.

- Dziękuję. Proszę bez cukru i śmietanki.

Gdy Debora podeszła do stołu, Henry przysiadł się do Diany. Wziął ją za rękę i zaczął coś jej tłumaczyć ściszym głosem.

Debora tymczasem usiadła obok Roberta. Upiła łyk herbaty i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Lordzie Elston, przepraszam za swoje - nasze - zachowanie. Mam nadzieję, że to przekomarżanie nie... - urwała, jakby nie była pewna, jak powinna zakończyć to zdanie. - Mam nadzieję, że nie jest pan oburzony naszą sprzeczką.

Robert uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, słuchałem was z przyjemnością. Debora spojrzała na niego podejrzliwie, nie wierząc w szczerść jego słów.

- Jestem jedynakiem, więc mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądają stosunki między rodzeństwem. Choć pani nie zgadza się z siostrą, od razu widać, że szanujecie swoje opinie. Słuchała pani uważnie tego, co miały do powiedzenia pani siostra i matka.

- Jest pan byстрыm obserwatorem, lordzie.

Z tonu Debory nie wynikało, czy był to komplement, czy może raczej nagana.

- Przez cztery lata byłem żołnierzem, lady Deboro. Na wojnie zmysł obserwacji jest warunkiem przetrwania.

Dziewczyna przechyliła głowę na bok.

- Skąd pan wie, że Debora to ja?

Ogarnięty wątpliwościami Robert spróbował porównać w myślach głosy dziewcząt.

- Zauważyłem wcześniej, że ma pani nieco wyższy głos niż siostra.

- Naprawdę? - zdziwiła się, ale i ucieszyła Debora. - Nikt tego do tej pory nie spostrzegł, a w każdym razie nie przyznał się do tego. Ja sama nie zwróciłam na ten fakt uwagi.

- Ta różnica jest bardzo niewielka.

- Naprawdę jest pan wspaniałym obserwatorem! Ale przecież Diana nie odezwała się przed chwilą, żeby mógł pan porównać nasze głosy.

- Jestem muzykiem, więc mam wrażliwszy słuch niż większość ludzi.

- Ja też jestem muzykalna i nie uważam, że to wystarczające wyjaśnienie. Na jakim instrumencie pan gra?

Robert oddawał się grze raczej dla własnej przyjemności i nie lubił występować publicznie, więc odpowiedział pytaniem:

- Pani prawdopodobnie gra na fortepianie? Debora przytaknęła.

- Tak, ale wolę harfę.

- W przypadku obu instrumentów chodzi o poruszenie odpowiedniej struny.

- Rzeczywiście - uśmiechnęła się dziewczyna. - Choć nie zawsze się to udaje.

Robert uśmiechnął się.

- Trzeba osiągnąć odpowiednią wysokość dźwięku.

- Tak - zgodziła się Debora. - Czy wszyscy muzycy grający na instrumentach strunowych muszą mieć tak wyczulony słuch jak pan?

- Ci lepsi tak. Tych gorszych nikt nie prosi, by występowali publicznie.

- Nic dziwnego - roześmiała się Debora.

- Czy pan, Robercie, gra na skrzypcach czy na wiolonczeli?

Robert nie zdawał sobie sprawy, że lady Kesteven - przysłuchuje się jego rozmowie z Debora, ale nie zdziwił się ani nie zmartwił tym faktem.

- Ani jedno, ani drugie. Jestem almistą.

- Nigdy nie widziałam altówki - powiedziała Debora. - Jak wygląda ten instrument?

- Altówka jest podobna do skrzypiec, tylko większa. Trzy struny ma takie same jak skrzypce, ale jej dźwięk jest niższy niż skrzypiec.

- O ile altówka jest większa od skrzypiec?

- Jest mniej więcej o połowę dłuższa - Robert rozłożył ręce, żeby pokazać długość altówki - i trochę szersza.

Debora zmrużyła oczy. Kilka chwil później potrząsnęła głową.

- Zupełnie jej sobie nie wyobrażam.

- Jeśli pani sobie życzy - i jeśli pani mama nie ma nic przeciwko temu, że nieco przedłużę swoją wizytę u państwa - wyślę służącego do wioski po moją altówkę, żeby mogła ją pani zobaczyć. Albo mogę odwiedzić państwa jeszcze raz jutro.

- Ależ oczywiście, że może pan zostać dłużej - natychmiast wtrąciła lady Kesteven.

- Czyżby wolał pan przenocować w gospodzie niż u nas? - obruszył się markiz.

Robert postarał się odpowiedzieć jak najgrzeczniej, by nie urazić gospodarza.

- Wczoraj przybyłem zbyt późno, żeby państwa niepokoić. Poza tym nie wiedziałem - podobnie jak właściciel zajazdu - czy jeszcze państwo nie wyjechali do stolicy.

- Mógł pan przesłać wiadomość - odparł z wyrzutem markiz.

- Jeśli i dziś zamierza pan nocować w gospodzie - stanowczym głosem powiedziała lady Kesteven - będzie nam bardzo przykro. Proszę zostać u nas.

- Ale...

- Poślę służącego do wioski po pana rzeczy - przerwała Robertowi markiza.

Elston poddał się.

- Dziękuję. Będę zaszczycony, mogąc skorzystać z waszej gościnności. - W przeciwieństwie do zaproszenia w Paddington Court tym razem zgodził się z przyjemnością. - Ale nie musi pani nikogo posyłać do wsi. Mój służący zajmie się wszystkim.

- We dwóch szybciej się uwiną - zauważył Kesteven.

- Jeśli będą państwo kogoś wysyłać, to najlepiej stajennego albo woźnicę. Higgins - mój lokaj - pracuje za dwóch w czasie mojej podróży.

- Pana lokaj umie powozić? - zdziwiła się Debora. - Lokaj ojca nigdy by się na to nie zgodził, nawet gdyby potrafił.

Robert uśmiechnął się.

- Higgins nie jest typowym lokajem, ale służy mi wiernie. W wojsku był moim ordynansem.

- Ach, tak - odparła krótko Debora.

Kesteven natomiast wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

- Poproszę Stephensa, żeby przyprowadził pana służącego. Pojedzie do wioski z moim woźnicą.

- Dziękuję.

Nieco później gospodarz i gospodyni zaprowadzili Roberta do jego pokoju. Był duży i elegancko umeblowany. Przebierając się do kolacji, Elston rozmyślał o swojej podróży. W tempie, w jakim jechał po błotnistych drogach, dotarłby do Elston Abbey dopiero za tydzień, biorąc pod uwagę, że zatrzymywał się u wszystkich znajomych po parę dni. Nazajutrz wypadała niedziela, a Higgins był święcie przekonany, że w niedzielę nie wolno podróżować.

Pozostał im jeszcze tylko jeden przystanek na drodze do domu - w pobliżu Leicester, mniej więcej w odległości czterdziestu mil od Woodhurst Castle. Stamtąd do Abbey pozostawało jeszcze osiemdziesiąt mil. W dobrą pogodę i z silnymi, wypoczętymi końmi można było robić czterdzieści mil dziennie, ale oni będą się poruszać znacznie wolniej, bo nie pojedą główną drogą. Robert chciał już wrócić do domu, ale nie martwił się opóźnieniem. Cieszył się, że jak do tej pory kampania małżeńska rozwija się zgodnie z założeniami.

Kolacja przebiegła w bardzo ożywionej atmosferze. Wyglądała zupełnie inaczej niż posiłki, które Robert spożywał w towarzystwie ojca i ciotki Lavinii. Usadzono go po prawej stronie lady Kesteven, a po swojej prawej miał Deborę. Naprzeciwko zajmował miejsce Henry, a przed Deborą siedziała jej siostra. Rodzeństwo wesoło

przekomarzało się między sobą, Kesteven także często wtrącał się do rozmowy.

Głównym tematem był oczywiście tegoroczny debiut sióstr. Znowu zastanawiano się, czy powinny ubierać się jednakowo, czy nie. W końcu Diana spytała Roberta o zdanie w tej kwestii.

- Nie wiem, jaka jest dobra odpowiedź na to pytanie. Nie mam brata bliźniaka, więc nie wiem, jak silne są więzy między wami. Wydaje mi się, że decyzja zależy od tego, na ile posiadanie siostry bliźniaczki kształtuje wasze charaktery.

Dianę te słowa zbiły z tropu, więc Robert nie kontynuował swojego wyjaśnienia. Usłyszał, jak Debora mówi: „bardzo spostrzegawczy”, i odwrócił się do niej.

- Część problemu, lordzie, tkwi w tym, że Diana i ja patrzymy na tę kwestię z dwóch różnych perspektyw. Jej chodzi o to, by być modną i przyciągać uwagę. Dla mnie jest to sprawa tożsamości. Nie chcę, żeby postrzegano mnie tylko jako jedną z bliźniaczek Woodhurst.

- Aha. - Teraz Robert zrozumiał, na czym polega problem. - Gdyby chodziło tylko o modny strój, poradziłbym paniom, żebyście ubrały się jednakowo. Co prawda nie przypominam sobie, by ostatnio debiutowały jakieś bliźniaczki, ale jestem przekonany, że dwie identycznie ubrane dziewczyny przyciągną więcej spojrzeń niż jedna. Jednak z drugiej strony może lepiej będzie założyć podobne, ale nie jednakowe stroje. Na przykład suknie o takim samym kroju i kolorze, ale inne szarfy. W ten sposób podkreślicie, że jesteście bliźniaczkami, ale pokażecie, że każda z was ma inną osobowość.

- To idealne rozwiązanie! - ucieszyła się Diana.

- Istotnie. - Debora uśmiechnęła się do Roberta. - Dziękuję, lordzie Elston.

Przy szklaneczce porto lord Kesteven opowiadał o ustawie, którą wraz z ojcem Elstona chcieli zaprezentować w parlamencie. Zanim Robert wymknął się na cygaro, okazało się, że sam, nie wiedząc kiedy, zgodził się poprzeć ten projekt. Cel był szczytny, ale świeżo upieczony członek Izby Lordów nie zamierzał aż tak aktywnie udzielać się w parlamencie w pierwszym roku swojej kadencji. Wyobrażał sobie, że przez większość debat będzie siedział cicho, a swoją pierwszą przemowę wygłosi dopiero wtedy, gdy dyskusja

będzie toczyła się na temat, który dobrze zna. Teraz miał już nie tylko temat przemówienia, ale i jego datę.

Przeszedł przez ogród kwiatowy niezauważony przez nikogo. Ze złości aż zgrzytał zębami.

Co też ojciec sobie wyobrażał, łamiąc kark podczas jazdy konnej, skoro zamierzał wyjść z propozycją ustawy podczas tej sesji parlamentu? Robert kopnął pień drzewa, który znalazł się na jego drodze, i jęknął z bólu. Z trudem dokuśtykał do ławki i z ulgą na nią opadł.

Zrezygnowany ukrył twarz w dłoniach. Jak mogę wściekać się na ojca za to, że zmarł? pomyślał skruszony.

Zamyślił się. Uzmysłował sobie, że wprowadzenie w życie wiedzy, którą zdobył na temat zarządzania majątkiem, będzie największym wyzwaniem, jakie czekało go w tym roku. Nie licząc oczywiście wyboru żony. W dodatku zobowiązał się podjąć pracę nad ustawą dotyczącą sytuacji dzieci zmuszanych do pracy w kopalniach, młynach i fabrykach. Zastanawiał się, jak wygospodaruje na to wszystko czas.

Gdyby tylko...

Nie, żadnych „gdyby tylko”. Miał wystarczająco dużo tematów do przemyśleń, nie potrzebował nowych.

Westchnął ciężko, wstał i ruszył w stronę domu. Miał nadzieję, że nikt z gospodarzy nie zauważył jego nieobecności. Bardzo nie chciał ich urazić, no i nie zdążył jeszcze pokazać Deborze altówki.

W świetle padającym przez okna spostrzegł, że w jego kierunku idzie jedna z pań.

- Robercie?

Poznał głos markizy i przyspieszył. Zawstydział się, że lady Kesteven wyszła go szukać.

- Proszę wybaczyć mój brak wychowania, lady Kesteven. Wyszedłem na dwór, żeby zapalić cygaro. Mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem państwu planów na ten wieczór.

- Nie przyszedłem tu, żeby pana strofować, Robercie. Chciałam z panem porozmawiać. Czy zechce pan przejść się ze mną po ogrodzie?

Robert podał ramię markizie.

- Nie planowaliśmy niczego na ten wieczór, więc nic się nie stało. Chociaż...

- Nie zapomniałem obietnicy, którą złożyłem lady Deborze.

Markiza uśmiechnęła się.

- Nie wątpię. Wiem, że zawsze dotrzymuje pan słowa. - Wskazała dłonią ścieżkę po lewej stronie, w którą mieli skręcić. - Nie o to mi chodziło. Chciałam po prostu przeprosić pana, jeśli nasze zaproszenie pokrzyżowało panu plany.

Robert zatrzymał się i spojrzał zdziwiony na lady Kesteven.

- Wiem, że jedzie pan do domu i zamierzał spędzić u nas jedynie popołudnie. - Markiza mówiła tak szybko, że niemal połykała końcówki słów. - Ale Williamowi naprawdę bardzo brakuje pana ojca, a mnie przykro jest patrzeć, jak mój mąż cierpi. Myślałam o nim, a nie o pana planach, gdy zaproponowałam, żeby pan u nas przenocował. - Zaczerpnęła oddechu i kontynuowała już wolniej: - I ja, i mój mąż zrozumiemy, jeśli będzie pan musiał wyjechać jutro rano, ale jemu bardzo zależy na tym, żeby został pan u nas dzień lub dwa.

- Nie pokrzyżowała mi pani żadnych planów. Jestem zaszczycony, że zechcieli mnie państwo gościć u siebie.

Gdy ruszyli dalej, Robert spróbował rozweselić markizę.

- Proszę tylko pomyśleć: nie tylko miałem przyjemność spotkać pani młodsze dzieci, ale będę miał też ogromną przewagę nad innymi kawalerami w Londynie, ponieważ znam już panny Woodhurst.

Lady Kesteven roześmiała się.

- Faktycznie.

- Z radością skorzystam jutro z państwa gościnności, ale w poniedziałek rano muszę wyruszać w drogę.

Markiza przystanąła i spojrzała poważnie na Elstona.

- Dziękuję panu, Robercie. Pana wizyta, choć krótka, bardzo wiele znaczy dla Williama. I dla mnie.

Speszony Robert wskazał dłonią w stronę domu.

- Może wrócimy do środka? Złożyłem przecież obietnicę pani córce.

Odprowadził gospodynię do drzwi salonu, a sam poszedł na górę po instrument. Gdy zszedł na dół kilka minut później, lord Henry i jedna z bliźniaczek grali w tryktrak, a druga z sióstr wykonywała sonatę Mozarta na fortepianie. Lord i lady Kesteven siedzieli na sofie i rozmawiali przyciszonymi głosami. Markiza uśmiechnęła się do Roberta i wskazała gestem, by spoczął na krześle. Robert postawił futerał z instrumentem na podłodze i zajął miejsce.

Debora była naprawdę utalentowana. Miała niezwykle wycucie muzyczne. Ciekawe, czy zdolności artystyczne bliźniaczek również były identyczne, zastanawiał się Robert. Jeśli tak, to niewątpliwie przyćmią wszystkie inne młode damy w towarzystwie. Robert zaledwie kilka razy miał przyjemność słuchać Utalentowanych artystów na przyjęciach organizowanych podczas sezonu towarzyskiego. Ucieszył się, że w tym roku też będzie taka okazja.

Gdy dziewczyna skończyła, nagroził ją głośnymi oklaskami.

- Bardzo ładnie, Deb - pochwaliła córkę markiza.

- Naprawdę wspaniale, lady Deboro.

Robert podszedł do dziewczyny i odprowadził ją na miejsce.

- Cieszę się, że się panu podobało, lordzie. - Debora uśmiechnęła się do niego czarująco. - Och, przyniósł pan altówkę! Mogę ją zobaczyć?

- Oczywiście. Jak tylko skończy grać pani siostra. - Sądząc po okrzykach rodzeństwa, Diana sromotnie przegrała, ale najwyraźniej nie zamierzała podchodzić do fortepianu. - O ile w ogóle zagra dla nas.

- Raczej nie. Diana nie znosi występować - wyjaśniła Debora. Z tonu jej głosu wynikało wyraźnie, że ona nie rozumie takiego postępowania. - Zrobi wszystko, żeby tylko nie grać.

- Ach, tak. - A więc muzyczne gusta sióstr nie były identyczne. Mogły mieć takie same zdolności, ale inaczej je wykorzystywały. - W takim razie...

Robert uśmiechnął się do swojej towarzyszki i położył sobie futerał instrumentu na kolanach. Wyjął altówkę i podał ją Deborze.

Dziewczyna zaskoczyła go swoją reakcją. Większość ludzi od razu szarpała struny, a Debora delikatnie przesunęła długimi, smukłymi palcami po drewnianym pudle. Dopiero potem delikatnie trąciła struny, po czym podniosła instrument.

- Grając, trzyma pan ją na ramieniu?

- Proszę ją wesprzeć na przedramieniu obok szyi - Robert położył dłoń na właściwym miejscu na swoim lewym ramieniu - i przytrzymać brodą.

Debora zmrużyła oczy i skoncentrowana postąpiła zgodnie z instrukcją. Ponieważ siedziała po lewej stronie Roberta, nie mógł sprawdzić, czy trzyma instrument poprawnie. Wziął więc smyczek do ręki i wstał.

- Świetnie. - Teatralnym gestem wręczył dziewczynie smyczek. - Jest pani gotowa do gry.

Debora roześmiała się.

- Nie umiem. Poza tym wolałabym posłuchać, jak pan gra. - Wstała i z nieśmiałym uśmiechem oddała Robertowi instrument. - Dziękuję, lordzie Elston.

- Cała przyjemność po mojej stronie, lady Deboro - odparł szczerze. - Bardzo niewiele jest solówek dla altówki, ale znam sonatę na altówkę i harfę. Jeśli zgodzi się pani i - spojrzał na Kestevenów - pani rodzice, chętnie ją z panią zagram.

Markiza kiwnęła głową z aprobatą.

- Wspaniale, Robercie. Deb, biegnij do pokoju i przećwicz swoją partię. My przyjdziemy za jakieś pół godziny.

Debora uśmiechnęła się radośnie, gdy Elston wręczył jej nuty.

Pół godziny później, gdy Robert wszedł do pokoju, gdzie mieli wspólnie wystąpić, Debora już na niego czekała. Nie wiedziała, czy akompaniament, który przygotowała, będzie na wystarczająco wysokim poziomie, ale zrobiła wszystko, co mogła, w tak krótkim czasie. Elston wyjął instrument z futerału i uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że uda nam się to przećwiczyć choć raz, zanim publiczność zaszczyci nas swoją obecnością. Niestety rzadko mam okazję występować.

- Och, nie. Liczyłam na to, że przy pana biegłości moje braki nie będą rzucały się w oczy.

- Sądząc po pani wcześniejszym występie, świetnie sobie pani poradzi. Czy poda mi pani A, żebym mógł dostroić altówkę do harfy?

Debora zagrała A i patrzyła, jak Elston w skupieniu dostraja instrument.

- Teraz oktawę niżej.

Usłyszawszy dźwięk, Elston kiwnął głową z aprobatą i zabrał się za kolejną strunę. Ze zmarszczonym czołem próbował każdą z osobna, a potem wszystkie razem. Gdy skończył, odwrócił się do Debory i spojrzał na nią nieśmiało.

- Czy urażę panią, jeśli zdejmę surdut? Jest obcisły i będzie mi krępował ruchy podczas gry.

- Oczywiście, że może pan go zdjąć. Czy zadzwonić po pańskiego służącego?

Elston odłożył instrument na stolik,

- Nie trzeba. Surdut nie jest aż tak obcisły.

Debora odwróciła wzrok i spojrzała na Roberta, dopiero gdy usłyszała jego kroki. Elston powiesił swój czarny surdut na oparciu krzesła, podniósł altówkę i podszedł do dziewczyny. Na Deborze ogromne wrażenie zrobiła jego męska sylwetka: szerokie ramiona, płaski brzuch i wąskie biodra.

Elston stanął po jej lewej stronie i spytał:

- Czy jest pani gotowa, żebyśmy przeciwiczyli tę partię?

- Tak.

Debora wzięła głęboki oddech i zaczęła grać.

- Świetnie! - pochwalił ją Robert, gdy skończyli. Uradowana entuzjastycznym komplementem Elstona

Debora zerknęła na niego przez ramię i uśmiechnęła się.

- Dziękuję, lordzie. Jest pan wyjątkowo utalentowany.

- Myślę, że...

Wejście państwa Kesteven przerwało im rozmowę i Debora nie dowiedziała się, co myśli markiz. Gdy wszyscy usiedli, Elston wyszedł na środek i przedstawił utwór, który mieli zagrać. Powiedział, że skomponował go Handel i że początkowo był to utwór na harfę i altówkę. Potem kompozytor dokonał jego transkrypcji na altówkę. Po tym krótkim wprowadzeniu powrócił na swoje miejsce obok Debory i szepnął jej do ucha:

- Jestem gotowy, proszę zaczynać.

Debora zagrała pierwsze takty i szybko dała się ponieść magicznej muzyce. Na koniec rozległy się brawa. Wtedy lord Elston wziął ją za rękę i wyprowadził na środek. Ukłonili się publiczności, a potem uśmiechnięty Robert z wdzięcznością złożył ukłon przed dziewczyną.

Później tego wieczoru Debora odwiedziła siostrę w jej sypialni. Di siedziała przy toalecie i czesała włosy, więc Debora przycupnęła na krawędzi jej łóżka.

Diana uśmiechnęła się.

- Dzisiejszy dzień wcale nie był tak nudny, jak się spodziewałyśmy, prawda?

Deborę rozbawiła aluzja siostry.

- O, nie. Czy Elston nie jest najwspanialszym mężczyzną na świecie? - spytała impulsywnie.

Diana wzruszyła ramionami.

- Sądząc po komentarzach mamy, jest jednym z najbardziej pożądanym kawalerów w całej Anglii.

- To zrozumiałe. Jest inteligentny, przystojny, utalentowany...

- Przystojny? Mnie wydał się raczej ascetyczny i surowy.

- Przecież jest w żałobie.

- Nie chodzi mi o jego strój, Deb. Ma surową twarz, nie sądzisz? Jak mnich. Albo naukowiec.

Debora spojrzała z ukosa na siostrę.

- Zupełnie się z tobą nie zgadzam. Nie ma w nim nic z mnicha ani naukowca!

Diana uśmiechnęła się łobuzersko.

- Na pewno nie w jego posturze. - Zamyśliła się na chwilę. - Mimo to zastanawiam się, czy on się w ogóle kiedykolwiek śmieje.

- Dziś uśmiechnął się kilka razy - odparowała Debora. - Ma taki chłopięcy uśmiech, który całkowicie odmienia jego twarz.

- Czyżby?

- O, tak - przytaknęła ochoczo Debora. - W lewym policzku robi mu się wtedy dołeczek.

Obie siostry westchnęły z aprobatą.

Diana zaplotła warkocz i weszła pod kołdrę.

- Rozumiem, że chętnie się z nim spotkasz w Londynie? I nie odrzucisz zaproszenia do tańca?

- Oczywiście, że nie! - obruszyła się Debora i ruszyła do drzwi. - Założę się, że i ty tego nie zrobisz.

- Raczej nie - przyznała Diana.

Wychodząc z sypialni siostry, zirytowana Debora głośno zatrzasnęła drzwi. Zasypiając, przywołała w pamięci dzisiejszy występ. Nic dziwnego, że przyśnił się jej walc z Elstonem.

Rozdział 5

Niedziela minęła spokojnie, ale przyjemnie. Robert spędził większość czasu z Kestevenem, który wspominał swoją pięćdziesięcioletnią przyjaźń ze świętej pamięci markizem. Po kolacji Elston i Debora jeszcze raz wykonali wspólnie sonatę Handla ku zadowoleniu własnemu i publiczności.

W poniedziałek po śniadaniu Robert pożegnał się i obiecał Woodhurstom, że odwiedzi ich w Londynie. Był jasny, słoneczny poranek, choć wiał chłodny wiatr. W drodze do Leicester Robert rozmyślał o bliźniaczkach Kesteven. Debora była urocza, inteligentna, dobrze wychowana, ułożona i miała niespotykany talent muzyczny. Diana była równie urocza, ale pod pozostałymi względami nie mogła równać się z siostrą. Debora była skromna i pełna godności, Diana - odważna i zuchwała. Obie miały poczucie humoru, ale Diana śmiała się z ludzi, a Debora śmiała się z nimi. Robert nie mógł uwierzyć, że dwie tak podobne do siebie osoby miały tak różne charaktery.

Debora byłaby świetną kandydatką na markizę w przeciwieństwie do Diany. Myśl o tym, że odróżnić swoją żonę od żony innego mężczyzny mógłby wyłącznie po głosie, trochę go niepokoiła, ale postanowił zastanowić się jeszcze nad tym wyborem. Popołudniowe wizyty, przyjęcia i wspólne przejażdżki po parku albo pogłębią ich znajomość, która być może przerodzi się w przyjaźń, a może nawet coś więcej, albo nie. Robert liczył na to, że pod koniec sezonu lista potencjalnych narzeczonych zmniejszy się z siedmiu do jednej. A w najgorszym razie do dwóch.

Elston spotkał już trzy kobiety, których nazwiska znalazły się w testamencie ojca, i liczył na to, że do jednej z nich poczuje co najmniej sympatię. Trudno oczywiście było spodziewać się od razu miłości, ale z czasem sympatia może przerodzić się w głębsze uczucie. W obecnej chwili na pierwszym miejscu jego listy była lady Debora, a panna Clarissa Merrick na ostatnim. Żałował, że nie udało mu się poznać Karoliny Lane. Był ciekawy, na jaką kobietę wyrosła śliczna mała dziewczynka, z którą zaprzyjaźnił się wiele lat temu.

Nieświadoma tego, że jest obiektem rozmyślań lorda Elstona, Karla wbiła zaskoczony wzrok w macochę. Myślała, że się przesłyszała.

- Czy to nie wspaniale, Karlo? - wykrzyknął Charles. - Jedziesz do Londynu! Zostaniesz wprowadzona w towarzystwo!

A więc się nie przesłyszała. Macocha rzeczywiście zamierzała zabrać ją - i Lydię oczywiście - do stolicy.

- To cudownie, Charlesie - spokojnie odparła Karla, starając się uspokoić szalejące serce. - Mam nadzieję, że przed rozpoczęciem wiosennego semestru znajdziesz czas, żeby pokazać mi Londyn. Tyle miejsc chciałabym tam odwiedzić.

- Przede wszystkim będziesz musiała wybrać się do modystki, co Charlesa raczej nie zainteresuje. - Lady Blackburn uśmiechnęła się przepraszająco do chłopaka. - Ale gdy już Karolina i Lydia będą miały nowe stroje, na pewno z chęcią wybiorą się z tobą do muzeów. I - hrabina zniżyła głos do szeptu - koniecznie zabierz je do Amfiteatru Astley's. Prezentowane tam pokazy jazdy konnej są naprawdę niezwykle.

- Czy pani także wybiera się do Londynu na ten sezon? - spytała Karla.

- Tak. Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię cię i twoją siostrę moim przyjaciółom. I ich synom.

Karłę zaskoczył żart dystygowanej damy, ale jednocześnie sprawił jej przyjemność.

- Liczę, że poinstruuje nas pani, jak powinniśmy się zachowywać.

Hrabina uścisnęła dłoń Karli.

- Oczywiście, moja droga. Jeśli chcesz, pomogę ci także wybrać stroje.

- O, tak, dziękuję - ucieszyła się Karla.

O wiele bardziej podobały się jej proste, ale eleganckie suknie lady Blackburn niż falbaniaste spódnice macochy.

- Lydia i Caroline mogą w tym względzie w zupełności polegać na mnie. - Wicehrabina skrzywiła się nieznacznie, jakby zastanawiała się, czy rozmówczynie nie kwestionują jej dobrego gustu.

- Ależ oczywiście, Hortensjo - skwapliwie przytaknęła lady Blackburn - ale tylko pomyśl, o ile, szybciej uwinęłabyś się z tym zadaniem z moją pomocą.

- Hmm.

- Im szybciej dziewczęta będą miały odpowiednią garderobę, tym prędzej będziecie mogły zacząć składać wizyty - oznajmiła hrabina przekonującym tonem.

Po chwili zastanowienia ku zdziwieniu Karli lady Padbury zgodziła się.

- W takim razie będziemy ci bardzo wdzięczne za pomoc.

- Wspaniale! - ucieszyła się lady Blackburn. - Na kiedy planujecie wyjazd?

Po wyjściu hrabiny Karla poszła do siebie na górę. Nagle na schodach ugięły się pod nią kolana. Usiadła na stopniu i objęła ramionami podkulone nogi. Jeśli Elston przyjedzie do Londynu, zostanie zdemaskowana i upokorzona. Elston będzie nią gardził i, co najgorsze, będzie miał do tego pełne prawo. Dlaczego pozwoliła, by jej zachowaniem rządziła duma, a nie zdrowy rozsądek? Dlaczego nie wyznała mu prawdy, zanim wyjechał? Odpowiedź była taka sama na oba pytania. Nie chciała, by dowiedział się, w jak przykrew sytuacji się znalazła. Rycerz, o którym marzy każda kobieta, powinien szanować i podziwiać damę swojego serca. Dla Karli od siedemnastu lat takim rycerzem był Elston. Nie zniosłaby jego litości.

Gdyby tylko...

Nie, żadnych „gdyby tylko”. Wyprostowała się i ruszyła do pokoju. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz będzie musiała ponieść konsekwencje swoich decyzji.

Późnym rankiem drugiego dnia podróży Robert i Higgins dotarli do celu: wioski w pobliżu posiadłości księcia Foxtona, znajdującej się około dziesięciu mil na południe od Leicester. Robert nie znał księcia i jechał w odwiedziny tylko ze względu na jego córki umieszczone w testamencie świętej pamięci markiza. Ponieważ było jeszcze za wcześnie na wizytę towarzyską, Robert wypożyczył wierzchowca i ruszył na przejażdżkę po okolicy.

Odprężony pogrążył się w myślach. Księżę Foxton miał trzy córki. Z nich tylko średnia była panną. Rzadko zdarzało się, że młodsza siostra wychodziła za mąż przed starszą, i Robert zastanawiał się, dlaczego dwudziestopięcioletnia lady Mary jest starą panną. Może była brzydsza od swoich sióstr albo była kiedyś zaręczona, ale jej narzeczony zmarł. Być może miała trudny charakter. Wszystkie trzy wytłumaczenia wydawały się jednakowo prawdopodobne.

Robert skierował konia w stronę niewielkiego zagajnika, ale na dźwięk podniesionych głosów zawrócił. W pierwszej chwili chciał ominąć kłójące się osoby, ale zmienił zdanie. Zsiadł z konia i

przywiązał lejce, do drzewa, po czym cicho ruszył w stronę, z której dochodziły głosy.

- Jesteś niemądra, Mary Foster! - denerwowała się jakaś kobieta.
- Wiem, że z przyjemnością odegrałaś tę scenkę. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, iż utraciłaś przyjaźń Lizzie.

Robert zbliżył się do polanki i zobaczył, jak niższa z kobiet uśmiecha się szyderczo do swojej rozmówczynie. Nie było jej do twarzy z tym grymasem. Robert stanął w cieniu ogromnego dębu i podsłuchiwał sprzeczkę bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

- To ty jesteś niemądra, Charlotte, jeśli sądzisz, że Lizzy wzgardzi moją przyjaźnią.

- Nie powiedziałam, że wzgardzi twoją przyjaźnią, tylko że ty utracisz jej przyjaźń.

- Czy to nie to samo?

- Nie.

Robert zgodził się z opinią wyższej kobiety. Był ciekaw, co takiego zrobiła córka Foxtona. Tymczasem lady Mary wzruszyła ramionami.

- To samo czy nie, wszystko jedno. W gruncie rzeczy Lizzie powinna mi podziękować.

- Podziękować ci, że uwiodłaś mężczyznę, którego ona kocha? Nie gadaj głupstw.

- Nie uwiodłam go...

- Może i nie, ale wątpię, żeby Lizzie to w ogóle interesowało. Dziwię się, że pozwoliłaś, żeby Henry cię pocałował. Przecież on ci się nawet nie podoba!

Mary roześmiała się ironicznie.

- Na nic mu nie pozwalałam. Sama go pocałowałam.

- Dlaczego?

Robert czekał równie niecierpliwie jak Charlotte, żeby usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

Mary znowu wzruszyła ramionami. Jej rozmówczynie nie spodobała się taka reakcja.

- Nie myśl, że możesz mnie tak po prostu zbyć. Żądam odpowiedzi.

Zabrzmiało to tak, jakby mówiła przez zaciśnięte zęby.

- Nie zawsze dostajemy to, co byśmy chcieli, Charlotte.

- Ach, tak? Wszystko dlatego, że mąż twojej siostry wolał ją od ciebie?

Robertowi wydawało się, że Charlotte dodała jeszcze: „co mnie wcale nie dziwi” i zgodził się z nią w zupełności. Usłyszał wystarczająco, żeby upewnić się, iż lady Mary nie będzie dla niego odpowiednią żoną i po cichu wycofał się z zagajnika. Wsiadł na konia i wrócił do wioski.

Gdy oddał wierzchowca do stajni, poinformował Higginsa, że po obiedzie wyruszają dalej. Służący był zdziwiony decyzją pana, ale powiedział jedynie: „oczywiście, lordzie”, po czym schował stertę koszul, które trzymał w rękach, z powrotem do kufra. Właściciel zajazdu również nie był zachwycony, ale wyniosły wzrok i groźnie zmarszczone brwi Elstona szybko przywołały go do porządku.

Trzy dni później, dziewiętnastego marca, tuż przed zmierzchem Robert dostrzegł na horyzoncie zarys Elston Abbey. Jego rodzina posiadała wiele piękniejszych i nowszych posiadłości, ale tę Robert kochał najbardziej. Stary kamienny budynek, który powstał pod koniec piętnastego wieku jako klasztor benedyktynów, przetrwał ciężką próbę czasu. Kilka razy był odnawiany, ale wszystkich zmian dokonywano tak, by harmonizowały z architekturą statecznej budowli.

W większości okien na parterze paliły się światła, z czego Robert wywnioskował, że ciotka otrzymała wiadomość o jego przyjeździe. Mogła też mieć gości, choć nie było to bardzo prawdopodobne. Robert czuł się zmęczony podróżą i miał nadzieję, że nie zostanie w domu połowy arystokratów z okolicy.

- Witamy w domu, lordzie! - wykrzyknął strażnik stojący przy bramie.

- Dziękuję, Hobsonie. Dobrze jest wrócić do domu.

- Lady Lavinia czekała na pana z niecierpliwością. Już dwa razy posyłała lokaja do bramy. - Starszy pan chrząknął niezadowolony. - Jakby mógł się pan zgubić między bramą a drzwiami.

Robert uśmiechnął się lekko.

- Jak do tej pory znajdowaliśmy drogę bez kłopotu, więc mam nadzieję, że nie zgubimy się i na tym krótkim dystansie.

- Oczywiście - przytaknął Higgins i skierował powóz na podjazd.

Z rezydencji wyszedł kamerdyner i dwóch służących. Kamerdyner poruszał się powoli i dostojnie w przeciwieństwie do dwóch niższych rangą lokajów. Po chwili dołączyli do nich stajenni.

Kamerdyner otworzył drzwi powozu i opuścił schodki.

- Witamy w domu, lordzie Elston. Robert zszedł na dół.

- Dziękuję, Wilcoxie. Cieszę się, że już wróciłem. Mam nadzieję, że wszyscy mają się dobrze i podczas mojej nieobecności nie pojawiły się żadne problemy.

Kamerdyner spojrział szybko na lokajów i upewnił się, że są zajęci rozpakowywaniem bagażu.

- Lady Lavinia bardzo za panem tęskniła...

- Ja za nią też.

- Pan Markham, o ile wiem, dobrze sobie radził ze sprawami majątku.

Robert z trudem opanował pokusę, by wbiec do domu.

- Proszę poinformować Markhama, by przyszedł do mnie do gabinetu o wpół do jedenastej jutro rano.

- Tak, lordzie.

W hallu Robert z radością rozejrzał się dookoła, upajając się widokiem ukochanego domu.

- Robercie!

Lady Lavinia Symington wypadła z zimowego salonu z prędkością, która zadawała kłam jej wiekowi. Robert chwycił ciotkę w talii i przytulił tak mocno, że niemal uniósł ją w powietrze. Potem zadowolony objął starszą damę ramieniem i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Dobry wieczór, ciociu Liwy. Co za wspaniałe powitanie!

Lady Lavinia aż poróżnowiała z radości.

- Ty łobuzie! Czy tak się wita starą ciotkę?

- O, tak. Jak będziesz naprawdę stara, będę cię witał spokojniej.

- A kiedy, jak myślisz, osiągnę ten stateczny wiek?

- Hmm. - Robert udał, że się zastanawia. - Za jakieś dziesięć lat. '

- Słyszałeś, Wilcoxie? - ciotka spytała kamerdynera, który był od niej młodszy o dziesięć lat. - Dopiero w wieku osiemdziesięciu lat doczekamy się odpowiedniego szacunku.

Wilcox uklonił się.

- Pani tak, hrabino. Mnie lord Elston na pewno już teraz uważa za staruszkę.

Ton głosu służącego wskazywał, że kwestia ta stanowi dla niego pewien problem.

- Ależ skąd, Wilcoxie - zapewnił go Robert. Kamerdyner uśmiechnął się, po czym przybrał swoją zwykłą, oficjalną minę.

- Kiedy życzy pan sobie zjeść kolację?

Zwykle w Elston Abbey jadało się o szóstej, czyli dobrych kilka godzin temu.

- Ciociu, nie trzeba było na mnie czekać - rzekł z wyrzutem Robert.

- Wolałam poczekać i zjeść z tobą niż sama - wyjaśniła Lavinia.

Robert poczuł wyrzuty sumienia, że na tak długo zostawił ciotkę samą.

- Dajcie mi pół godziny na kąpiel i przebranie się. Przy kolacji postaram się zabawić cię opowieściami z mojej podróży.

Gdy ruszył w kierunku schodów, usłyszał, jak ciotka mruczy do siebie:

- Głuptas.

Za stołem lady Lavinia opowiedziała Robertowi, co wydarzyło się w okolicy podczas jego nieobecności: żona pastora urodziła córeczkę w dzień Świętego Walentego, Gibbsowi urodził się kolejny - piąty - syn, córka dziedzica - ta sama, przez którą Robert musiał ukrywać się w Szkocji - uciekła z jakimś oficerem, najstarszy syn wicehrabiego Lorringtona zadurzył się w córce generała, którą spotkał w święta u kuzyna w Derbyshire. Robert z kolei chciał podzielić się z ciotką wrażeniami ze swojej podróży, ale przeszkadzała mu obecność służby.

Gdy Lavinia wstała od stołu, nalał sobie szklaneczkę porto i wyszedł na zewnątrz zapalić cygaro. W Elston Abbey nie było tarasu, ale mimo to Robert przeniósł się myślami do Paddington Court. Zastanawiał się, czy Karla zadebiutuje w tym sezonie i czy podopieczni panny Lindquist grzecznie się dziś zachowywali. Ciekaw był też, czy Charles będzie pamiętał o swojej obietnicy i czy otrzyma od niego wkrótce i jakiś list. Postanowił przejrzeć pocztę, która przyszła podczas jego nieobecności, gdy ciotka położy się spać. Ostatni raz zaciągnął się cygarem i wszedł do budynku.

W drzwiach salonu zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na kobietę, która po śmierci matki wzięła na siebie trud wychowania go. Ciotka. Liwy była dość wysoka - cecha Symingtonów, która bardziej uwidaczniała się w mężczyznach - i pulchna. Nie gruba, ale i nie tak szczupła jak w młodości. Miała tak jak on brązowe oczy, a włosy niegdyś kruczoczarne teraz były zupełnie białe. Na nosie miała

okulary, których używała do haftowania, ale one wcale nie ujmowały jej uroku. Jak zwykle, gdy spoglądał na ciotkę, zastanawiał się, jak to możliwe, że żaden mężczyzna nie docenił jej urody i charakteru na tyle, by się z nią ożenić.

- Ciociu, co to za poważna mina? Dostaniesz zmarszczek.

Lavinia uśmiechnęła się i poklepała dłonią poduszkę, która leżała obok niej na sofie.

- Chciałeś powiedzieć „więcej zmarszczek”. Wątpię, żeby ktokolwiek zauważył nowe.

Robert udał, że się zastanawia.

- Cóż, ciociu, może masz jedną lub dwie, ale żaden wartościowy dżentelmen nie zwróciłby na nie uwagi.

- Nie pochlebiaj mi, Robercie. Mam przecież lustro i czasem w nie zaglądam.

- Dlaczego nigdy nie wyszłaś za męża, ciociu? - spytał Elston poważnym tonem. - Na pewno nie dlatego, że nikt ci się nie oświadczył. Musiałaś mieć mnóstwo adoratorów.

- Nie mnóstwo, mój drogi, ale jednego lub dwóch. - Liwy spojrzała na Roberta. - Jedne oświadczyły nawet przyjełam, od mężczyzny, którego lubiłam, podziwiałam i uważałam, że z czasem go pokocham. Niestety, zmarł kilka tygodni przed naszym ślubem.

- I od tamtej pory jesteś w żałobie?

- Nie, byłam przez kilka lat, ale już od pół wieku nie jestem.

- Czy przez ten czas nikt więcej ci się nie oświadczył?

Lavinia odwróciła wzrok, jakby nie chciała kontynuować tego tematu.

- Owszem, wiele lat później. Ja jednak byłam szczęśliwa, żyjąc tak, jak żyłam, i nie wyobrażałam sobie, że on mógłby stać się częścią tego życia.

Robert zaniepokoił się.

- Ile miałem lat, gdy to się wydarzyło? Lavinia pogładziła Roberta po policzku.

- Nie myśl, że odmówiłam tylko ze względu na ciebie, mój drogi. Tak jak powiedziałam, nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym z nim dzielić życie. - Przerwała na chwilę, po czym uśmiechnęła się speszona. - Ale właściwie dlaczego dyskutujemy o zamierzchłej przeszłości?

Robert chwycił dłoń ciotki i ścisnął ją delikatnie.

- Bo, kochana ciociu, nie rozumiem, dlaczego mężczyźni z Gloucestershire nie prześcigali się w staraniach o twoją rękę.

- Takie słowa mogą paść tylko z ust kochającego bratanka.

- Bo ja jestem kochającym bratankiem. .

- A ja rozpieszczającą cię ciotką. Ale ty przecież o tym wiesz.

Robert ucałował drobną dłoń.

- Oczywiście.

- A czy ty zastanawiałeś się nad małżeństwem?

- Wiesz, że nie mam wyboru. Byłaś obecna przy odczytaniu testamentu i wiesz, że jako ostatni mężczyzna z rodziny Symingtonów muszę zapewnić rodowi potomka.

- Nie neguję tego, że potrzebujesz dziedzica. Nie podoba mi się jednak, że musisz wybierać żonę spośród kobiet wyznaczonych przez twojego ojca. Przecież to ty będziesz zawierał związek małżeński, a nie twój ojciec, i ty masz być w życiu szczęśliwy. Robert poprawił się na sofie.

- A czy nie mogę spróbować połączyć jednego z drugim? Dużo o tym myślałem w Szkocji. Na początku sądziłem, że ojciec pisał testament powodowany złością, teraz uważam, że to była miłość.

Liwy sięgnęła po jedwab i nici do haftowania. Skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

- Postanowiłem uszanować ostatnią prośbę ojca, ale nie za cenę mojego przyszłego szczęścia. Gdy poznam wszystkie niezamężne kobiety z listy ojca i uznam, że żadna nie nadaje się na moją żonę, będę szukał gdzie indziej. Ale najpierw rozejrzę się wśród nich.

- To bardzo rozsądna i godna pochwały decyzja.

- Czternaście z nich jest pannami, ale trzy są jeszcze w wieku szkolnym.

- Tylko trzy? - Ciotka zerknęła na Roberta sponad okularów. - Myślałam, że cztery.

Robert popatrzył zaskoczony na Liwy. Nie powinien dziwić się, że kochająca go ciotka zastanawiała się nad jego ciężką sytuacją, ale mimo to nie spodziewał się takiej reakcji. Wzruszony pochylił się nad ciotką i pocałował ją w czubek głowy.

- Kocham cię, ciociu. Liwy uśmiechnęła się.

- Ja też cię kocham, Robercie. - Po chwili milczenia spytała: - Czy najmłodsza córka Manversa i córka Greenwicha są za młode?

- Lady Christina w styczniu wzięła udział w balu z okazji urodzin królowej, więc sądzę, że zostanie wprowadzona w towarzystwo w tym sezonie.

Ciotka zmarszczyła brwi.

- Obawiam się, że moja pamięć nie jest tak dobra, jak kiedyś. Czy Christina jest córką Greenwicha czy Donnebrooka?

- Greenwicha.

Przez kilka sekund panowała cisza.

- Czy poznałeś którąś z dziewcząt w odpowiednim wieku?

- Gdybyś zadała mi to pytanie w grudniu, odpowiedziałbym, że cztery. Teraz mogę powiedzieć, że znam osiem z nich. Właściwie dziewięć, ale tę ostatnią widziałem ostatni raz, gdy byłem jeszcze dzieckiem, więc jej nie liczę.

Ciotka spojrzała na niego zaskoczona.

- Czyżbyś poznał te cztery damy podczas pobytu w Szkocji?

- Być może - odparł wymijająco. Rozczarowana Liwy wróciła do haftowania.

- Żartowałem, ciociu - uspokoił ją. - Oczywiście, że ci zaraz wszystko opowiem. Postanowiłem, że w drodze powrotnej ze Stranraer odwiedzę nasze posiadłości i przy okazji złożę wizytę rodzinom dziewcząt z listy ojca.

- Spryciarz z ciebie. U kogo byłeś?

- Najpierw u lorda Merricka. Nie wyobrażam sobie małżeństwa z jego córką Clarissą. - Wzdrygnął się na samo wspomnienie swojego pobytu w Darlington. - Nie wiem, czy pamiętasz ciociu, ale w testamencie jest mowa o pannie Karolinie Lane, najstarszej córce wicehrabiego Padbury'ego.

Liwy kiwnęła potakująco głową.

- Pamiętam. Zdziwiło mnie, że twój ojciec podkreślił, iż chodzi wyłącznie o najstarszą córkę Padbury'ego.

- Ojciec nigdy nie lubił drugiej żony wicehrabiego. Prawdopodobnie uznał, że to wystarczy, by nie dodawać do listy jej córki, panny Lydii, która będzie debiutowała w tym sezonie.

Robert zamyślił się na chwilę, by znaleźć właściwe słowa dla opisanie sytuacji, którą zastał w rezydencji Padbury'ego.

- Moja wizyta w Paddington Court była bardzo dziwna. Karłę - pannę Lane - poznałem wiele lat temu. Bardzo liczyłem na

odnowienie tej znajomości, ale wicehrabina zrobiła wszystko, żeby uniemożliwić nasze spotkanie.

- Jak to?

- Ciągłe kłamała, że Karli nie ma w domu. Ona i panna Lydia - które nazywają Karłę „Caroline” - twierdziły, że albo wyszła do znajomych, albo jest na plebanii.

- Jeśli one nie spodziewały się twojej wizyty, Karli rzeczywiście mogło nie być w rezydencji.

- To prawda - ponuro przyznał Robert - ale lady Blackburn, która akurat gdy przyjechałem, przebywała w Paddington Court z wizytą, zdradziła mi, że nie widziała panny Lane od wielu miesięcy. Podobno Karla nie pokazywała się nawet w kościele.

- Pamiętam Jane Blackburn. - Liwy uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Była piękną dziewczyną, złamała wiele męskich serc.

- - Lady Blackburn jest cudowną kobietą. Bardzo martwi się o Karłę. Wspólnie uknuliśmy plan, by przekonać hrabinę, aby pozwoliła Karli zadebiutować w tym sezonie.

- Lady Padbury nie może wprowadzić do towarzystwa swojej córki, jeśli jej pasierbica nie debiutowała!

- Właśnie. Wyjaśniłem wicehrabinie, że arystokracja zamknie swoje drzwi przed Lydią, jeśli Karla nie pojawi się w Londynie.

Dalszą rozmowę przerwało wejście służącego z herbatą. Zamiast gorącego napoju Robert nalał sobie szklaneczkę brandy. Potem wygodnie oparty o półeczkę nad kominkiem kontynuował swoją opowieść.

- W Paddington Court spędziłem dwa dni i nie spotkałem Karli. Jej przyrodni brat, obecny wicehrabia, powiedział mi, że jego matka zabroniła Karli schodzić do salonu podczas mojej wizyty. U Padburych mieszka jeszcze jedna młoda kobieta, panna Lindquist, krewna pierwszej lady Padbury, która jest w podobnej sytuacji co Karla.

- Skandal! - zdenerwowała się Liwy. - Za kogo uważa się ta lady Padbury?

- Nie znam jej panieńskiego nazwiska, ale pamiętam, że ojciec twierdził, iż jej ojciec był mało znaczącym baronetem.

- Czy tobie i lady Blackburn udało się przekonać lady Padbury, by pozwoliła pasierbicy zadebiutować w tym sezonie? Jeśli tak, poznasz Karolinę w Londynie.

- Nie wiem, czy moje słowa ją przekonały, ale może lady Blackburn miała więcej szczęścia. Charles - młody wicehrabia - też przyłączył się do naszego spisku. Ma napisać do mnie i opowiedzieć, jak sprawy się mają.

- Mam nadzieję, że dotrzyma słowa.

Robert zastanawiał się, czy powinien poprosić ciotkę, żeby pojechała z nim do Londynu. Gdy był chłopcem, zawsze towarzyszyła ojcu, twierdząc, że Abbey jest zbyt duże i zbyt ciche, gdy Robert przebywa w szkole. Jednak później Liwy przestała jeździć do stolicy podczas sezonu towarzyskiego.

- Kogo jeszcze poznałeś? - spytała ciotka, zanim zdążył się odezwać.

- Córki Kestevena, bliźniaczki Deborę i Dianę. Są podobne do siebie jak dwie krople wody, ale mają zupełnie inne charaktery.

- Czy któraś przypadła ci do gustu?

- Nie poznałem ich wystarczająco dobrze - odparł wymijająco.

Liwy spojrzała na niego uważnie, jakby wyczuła, że coś ukrywa.

- Spotkasz się jeszcze z nimi w Londynie? Robert kiwnął głową.

- Tak.

- To dobrze.

Robert zaczął się zastanawiać, kiedy uda mu się wyjechać do stolicy. Chciał zjawić się w Londynie na tyle wcześnie, by móc lepiej poznać niektóre z młodych dam.

- Czy spotkałeś kogoś jeszcze? Które z dziewcząt już znasz?

- Znam córki Greenwicha, Wintona, Montrose'a i Chesterfielda, ale nie wyobrażam sobie poślubienia żadnej z nich. - Upił łyk brandy.

- To samo dotyczy średniej córki Foxtona, Mary. Nie spotkałem jej osobiście, ale dowiedziałem się o niej wystarczająco dużo, by stwierdzić, że i ona się nie nadaje.

- Czasem w plotce jest ziarenko prawdy, choć przyznaję, że nie zawsze.

Robert odwrócił się, żeby odstawić szklaneczkę. Nie chciał spotkać przenikliwego wzroku ciotki.

- Moja wiedza nie pochodzi z plotek. Niechcący usłyszałem sprzeczkę lady Mary z przyjaciółką, z której w sposób oczywisty wynikało, że ma wyjątkowo paskudny charakter.

Ciotka zerknęła na niego zdziwiona, ale nie skomentowała tej wypowiedzi.

- Kiedy wyjeżdżasz do Londynu? - zapytała jedynie.
- Za tydzień lub dwa, gdy tylko uporam się ze sprawami, które nagromadziły się tutaj w czasie mojej nieobecności.
- Dobrze.

Ciotka odłożyła haftowanie. Przez dłuższy czas wygładzała materiał, po czym spytała niepewnym głosem:

- Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym pojechała z tobą?

Robert z trudem opanował okrzyk radości. Przytulił ciotkę i pociągnął ją za rękę, żeby wstała.

- Kochana ciociu, wprost przeciwnie: będę bardzo szczęśliwy!
- Naprawdę?
- Oczywiście.
- A więc przejrzę swoją garderobę i przygotuję się do wyjazdu.

Odprowadzając ciotkę na górę, Robert powziął jeszcze jedno postanowienie. Skoro musiał rozpocząć poszukiwania partnerki życiowej dla siebie, czemu nie miałby rozejrzeć się za odpowiednim kandydatem dla cioci? Może Bellingham? Ojciec George'a od wielu lat był wdowcem, ale może chciałby resztę życia dzielić z tak serdeczną i kochającą kobietą jak ciotka Liwy?

Przed drzwiami sypialni Lavinii Robert pocałował ciotkę w policzek, po czym ruszył do swojego pokoju. Kolejna kampania uwieńczona sukcesem, pomyślał.

Rozdział 6

Były dni, kiedy Karla nie wierzyła, że macocha pozwoli jej wyjechać do Londynu, by tam oficjalnie debiutowała. Kiedy indziej znowu, szczególnie, gdy odwiedzała ich lady Blackburn, była pełna radosnego oczekiwania. Przekroczyła co prawda wiek, w którym młode dziewczyny są wprowadzane do towarzystwa, ale Elston zapewnił ją - a właściwie pannę Lindquist - że oprócz niej jeszcze jedna młoda dama w tym samym wieku rozpocznie w tym roku swój pierwszy sezon.

Na myśl o Elstonie przerwała pakowanie i zastygła w bezruchu wśród otwartych kufrów i stert sukien. Z jednej strony nie mogła się doczekać ich ponownego spotkania i liczyła na to, że odnowią przyjaźń sprzed lat, z drugiej obawiała się, że okaże się to niemożliwe, gdy Elston odkryje jej kłamstwo.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Mogę wejść?

Gość zerknął do środka przez uchylone drzwi. Elegancko upięta fryzura zdradziła Karli, że odwiedziła ją lady Blackburn.

- Oczywiście - odparła i roześmiała się. - Nie musi pani spuszczać wzroku. Nic strasznego pani tu nie zobaczy, choć w pokoju panuje większy niż zwykle bałagan.

Hrabina podniosła głowę.

- Co ty tu robisz, moje dziecko?

- Pakuję się. To znaczy próbuję się spakować...

- Gdzie jest twoja pokojówka?

Karla stłumiła cisnące się jej na usta westchnienie.

- Nie mam pokojówki.

Lady Blackburn otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Nie masz pokojówki - powtórzyła, jakby nie bardzo rozumiała znaczenie tego zdania.

- Nie mam - potwierdziła Karla.

- Zrezygnowała z posady, bo nie chce wyjeżdżać do miasta?

- Nie. - Karla podeszła do okna. - Ja nigdy nie miałam pokojówki.

Hrabina mruknęła coś pod nosem.

- Zadzwoń po Smithers.

Karla skrzywiła się. Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę.

- Nikt nie zareaguje na mój dzwonek.

Na chwilę zapadła cisza, po czym delikatne dłonie spoczęły na ramionach Karli i zmusiły ją, żeby się odwróciła.

- Dlaczego, kochanie?

Karla zamruwała szybko, żeby nie pozwolić łzom, które nagromadziły się jej pod powiekami, spłynąć po policzkach.

- Bo w tym domu traktuje się mnie gorzej niż służącą.

W serdecznym uścisku hrabiny Karla w końcu pozwoliła, by emocje wzięły górę. Po kilku minutach otarła łzy wierzchem dłoni i wyprostowała się.

- Proszę.

Lady Blackburn podała Karli śnieżnobiałą chusteczkę, po czym podeszła do sznura dzwonka i mocno pociągnęła cztery razy.

Karla znalazła swoją chusteczkę i głośno wytarła nos.

- Postawiła pani na nogi całą służbę.

- To dobrze. - Głos hrabiny brzmiał spokojnie, ale jej oczy ciskały błyskawice. - Mam nadzieję, że używacie tego samego systemu przywoływania służby co ja.

- Jeden dzwonek na kamerdynera, dwa na pokojówkę, trzy na lokaja?

- Właśnie.

Chwilę później w korytarzu rozległy się pospieszne kroki. Do pokoju wpadł czerwony z wysiłku lokaj, a za nim pokojówka.

- Co się stało? - wykrztusił służący.

- To się stało - lodowatym tonem odparła lady Blackburn - że nie rozpowiedzieliście wszystkim dookoła, iż wicehrabina nakazała wam ignorować polecenia córki świętej pamięci pana Padbury'ego. Nikomu też nie powiedzieliście, że macocha panny Lane podle ją traktuje.

Lokaj otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zarzut hrabiny był tak celny, że nie dało się go odeprzeć. Służący poczerwieniał jeszcze bardziej, tym razem ze wstydu.

- Nie, hrabino. To znaczy, tak, hrabino.

- Jeśli coś podobnego znowu się wydarzy, proszę natychmiast poinformować o tym jednego z moich służących.

Lokaj skłonił się bojaźliwie.

- Tak, hrabino. Oczywiście. Pokojówka dygnęła niezgrabnie.

- Dobrze, hrabino.

- W porządku. - Lady Blackburn przyjrzała się uważniej parze służących. - Ty - wskazała na pokojówkę - zejdziesz po Smithers. A ty

- zwróciła się do lokaja - przekaz pozostałym to, co wam właśnie powiedziałam.

- Tak, hrabino. - Pokojówka dygnęła i wyszła z pokoju.

- Wszystkim? - zaniepokoił się lokaj. - Także kamerdynerowi i pokojówce wicehrabiny?

- Im i pokojówce panny Lydii nie - uściśliła hrabina. Lokaj uspokoił się.

- Idę, hrabino.

Gdy wyszedł, lady Blackburn usiadła na krześle. Karla przygotowała się na krzyżowy ogień pytań.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, co tu się dzieje? - surowym głosem spytała lady Blackburn, ale w jej oczach Karla dostrzegła współczucie.

- Wstydziałam się.

- Nie powinnaś. To twoja macocha powinna się wstydzić.

Może raczej chodziło o dumę i strach przed litością, ale do tego Karla nie zamierzała się przyznać.

- Dlaczego okłamałaś Elstona?

Karla opadła na krzesło przy oknie i ukryła twarz w dłoniach. Skąd lady Blackburn dowiedziała się o jej oszustwie?

Po krótkiej chwili milczenia wicehrabina przysiadła się do Karli. Cisza stawała się coraz bardziej nie do zniesienia, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła garderobiana lady Blackburn i pokojówka.

- Smithers, najwyraźniej wicehrabina nie zatrudniła pokojówki dla panny Lane. Czy zajmiesz się pakowaniem jej rzeczy?

Pokojówka wystąpiła do przodu i dygnęła.

- Wasza wysokość, ja chciałabym pomóc pani Smithers. - Dziewczyna spuściła wzrok. - Nigdy nie pakowałam takich eleganckich sukien, ale...

Chęć pomocy, jaką wykazała pokojówka, wzruszyła Karłę.

- Dziękuję, Molly. Jeśli Smithers będzie potrzebowała pomocy, pokaże ci, co należy robić.

Garderobiana popatrzyła uważnie na pokojówkę i kiwnęła głową z aprobatą.

- Dziękuję, przyda mi się twoja pomoc. - Smithers rozejrzała się po pokoju. - Panno Lane, czy wszystkie suknie, które mają być spakowane, są na łóżku, czy część jest w szafie?

- Są albo na łóżku, albo już spakowane w kufrze przy toalecie. Ale - Karla bezsilnie rozłożyła ręce - nigdy wcześniej nie składałam sukien, więc...

- Molly i ja zajmiemy się wszystkim, panno Lane. Może pani spokojnie napić się herbaty z hrabiną.

- Dziękuję Smithers. Dziękuję, Molly.

Karla uśmiechnęła się do służących i razem z lady Blackburn wyszła z pokoju.

Przy herbacie i kanapkach Karla wyznała hrabinie swoje oszustwo. Lady Blackburn z kolei przyznała, że domyśliła się, co się wydarzyło, gdy usłyszała opowieść Elstona. Karla wiedziała, że czeka ją jeszcze rozmowa z markizem, ale teraz nie miała siły się tym martwić. Wyznawszy hrabinie prawdę, poczuła ogromną ulgę.

- Karlo?

Zawstydzona tym, że została przyłapana na niewadze, Karla spuściła wzrok.

- Przepraszam. Ja...

- Nie, moja droga, to ja chciałam cię prosić o wybaczenie za to, że nie zdawałam sobie sprawy, w jak przykrej znalazłaś się sytuacji. Proszę, wybacz moją bezsensowną paplaninę.

Karla uśmiechnęła się lekko.

- Ależ ja nigdy tak nie odbierałam rozmów z panią. Hrabina wstała.

- Chodź, moje dziecko. Jak się prześpisz, na pewno poprawi ci się humor.

- Ale...

- Żadnych ale. Jak już będziesz w łóżku, porozmawiam z twoją macochą. Będzie musiała sama zrobić to, co wyznaczyła tobie.

Hrabina odprowadziła Karłę na górę do sypialni. Smithers i Molly właśnie wychodziły z pokoju. Karla podziękowała serdecznie im obu. Powieki kleiły jej się ze zmęczenia. Lady Blackburn pomogła się jej rozebrać. Gdy dziewczyna położyła się do łóżka, przykryła ją kołdrą i pocałowała w czoło na dobranoc.

- Słodkich snów, kochanie. Mam nadzieję, że gdy wrócę jutro, będziesz świeża i wypoczęta.

Karla poczuła, jak ze wzruszenia łzy znowu napływają jej do oczu. Zamknęła je więc i niemal od razu zasnęła.

Dni, które Robert spędził w Elston Abbey, niewiele różniły się od siebie. Po śniadaniu z ciotką Liwy spotykał się z Markhamem, rządcą majątku. Spotkania te zwykle trwały dość długo, niejednokrotnie też musieli wyjeżdżać z rezydencji. Robert rzadko zdążał na obiad z ciotką, przeważnie jadł u dzierżawców, których akurat odwiedzał. Czasem wracał do domu na tyle wcześnie, by udać się z ciotką z wizytą do znajomych albo by przyjąć gości w rezydencji. Starał się jednak codziennie spędzić z ciotką wieczór czy to w rezydencji, czy też u sąsiadów, którzy tego dnia organizowali spotkanie towarzyskie.

Takich wieczorów było wiele. Zdaniem Roberta nawet zbyt wiele, szczególnie, że powinien je spędzać w gabinecie, studiując dokumentację dotyczącą zmuszania dzieci do pracy w niehumanitarnych warunkach. Ku jego ogromnej radości Charles dotrzymał słowa i pisał. Przesyłał albo krótkie, lakoniczne listy, albo długie, wielowątkowe epistoły. Robert wolał czytać te drugie, ale w ostatnim tygodniu przychodziły jedynie kilkunastozdaniowe wiadomości na temat przygotowań do wyjazdu do stolicy. Karla miała zadebiutować w tym sezonie, a Charles miał oprowadzać ją po muzeach, kościołach i innych zabytkowych miejscach Londynu.

Robert liczył na spotkanie z chłopcem w stolicy, ale wybierał się do Londynu dopiero po rozpoczęciu wiosennego semestru, gdy Charles będzie już z powrotem w szkole. Na szczęście korespondencja przynosiła obu dużo radości i satysfakcji i Robert nie wątpił, że Charles nie przestanie do niego pisać.

Gdy zorientował się, że kolejny raz czyta ten sam akapit i nic z niego nie rozumie, zamknął książkę. Jutro postara się wygospodarować więcej czasu na studiowanie tematu wyzyskiwanych dzieci. Przemęczony przymknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, na jaką kobietę wyrosła niebieskooka ośmiolatka. Z jej obrazem pod powiekami zasnął.

Londyn! Karla nie mogła uwierzyć, że naprawdę się tu znalazła. Przebycie dwustu mil zajęło im aż osiem dni ze względu na delikatny żołądek Lydii. Karla była niezmiernie wdzięczna lady Blackburn za zaproszenie do podróżowania jej powozem. Od sąsiadki dowiedziała się bardzo wiele o normach towarzyskich panujących wśród wyższych sfer. Młode damy musiały przestrzegać tak wielu zasad! Karla obiecała sobie, że nauczy się ich wszystkich, by nie przynieść wstydu swojej nauczycielce.

Lady Blackburn poprosiła wicehrabinę, by pozwoliła Karli zatrzymać się w rezydencji Blackburnów, ale ta stanowczo odmówiła. W gruncie rzeczy Karla przyznawała rację macosze, która twierdziła, że ludzie zaczną coś podejrzewać, jeśli nie zamieszka z rodziną. Z drugiej jednak strony sądziła, iż odpowiedź hrabiny - chciała wprowadzić do towarzystwa swoją protegowaną - zamknęłyby usta wszystkim ciekawskim.

Powóz zatrzymał się przy jednym z domów. Był to trzypiętrowy kamienny budynek, nad drzwiami którego znajdowało się półkolistе okienko, a w szybach odbijały się promienie popołudniowego słońca. W porównaniu z Paddington Court dom wydawał się mały, ale za to dobrze utrzymany. Niestety Karla nie wiedziała, czy jest to rezydencja Padburych czy Blackburnów. Pierwsza mieściła się na ulicy Curzon, a druga na Upper Brook. Obie znajdowały się w modnych dzielnicach, ale Upper Brook była tuż przy wejściu do Hyde Parku, a więc w bardziej prestiżowym miejscu.

- Wreszcie ulica Curzon! Jestem pewna, iż cieszysz się tak samo jak ja, że możemy w końcu wysiąść - oznajmiła hrabina z cierpkim uśmiechem.

A więc to jest rezydencja Padburych!

- Z przyjemnością usiądę na twardej, nieruchomej krześle, ale będzie mi brakowało pani obecności - odpowiedziała wesoło Karla.

Lady Blackburn musnęła policzek Karli palcem.

- Będziemy się widywały prawie codziennie. Poza tym zapraszam cię do siebie zawsze, kiedy tylko będziesz miała ochotę przyjść: rano, po południu czy wieczorem.

- Dziękuję, lady Blackburn.

Karla uścisnęła hrabinę. Przez chwilę bała się, że zachowała się zbyt impulsywnie, ale lady Blackburn przytuliła ją mocno.

Lokaj otworzył drzwi i położył kres pożegnaniom. Karla wyszła za hrabiną na ulicę i rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy wszystkie powozy są już na miejscu. Dwukółka macochy stała już przed budynkiem, ale pozostałych pojazdów nie było. Karla pomyślała, że może jest specjalne tylne wejście dla służby.

Z dwukółki wicehrabiny wyskoczył Charles w takim pośpiechu, jakby w środku się paliło.

- Wreszcie dojechaliśmy! - niemal krzyknął, biegnąc do Karli. - Czy mogę panie odprowadzić do środka? - spytał po chwili spokojniej.

Karla widziała, że hrabina podobnie jak ona sama z trudem powstrzymuje uśmiech. Jak zwykle jednak dystygowana i pełna wdzięku przyjęła ramię Charlesa i zaczęła z nim rozmowę o miejscach, które mijali po drodze do Londynu. Podążając za nimi, Karla zastanawiała się, co zatrzymuje macochę i Lydię. Stłumiła westchnienie i ruszyła z powrotem do powozu. Lokaj stojący przy drzwiach dwukółki pokręcił jednak głową. Najwyraźniej jej pomoc nie była tu potrzebna.

Kiedy Charles i hrabina dotarli do schodów, drzwi rezydencji otworzyły się. Harris, który przybył do Londynu w zeszłym tygodniu, by przygotować dom na przyjazd rodziny, wprowadził młodego wicehrabiego i lady Blackburn do środka. Karla pospieszyła za nimi.

- Dzień dobry, Harrisie. - Gdy kamerdyner pomagał jej zdjąć salopkę, spytała cicho: - Czy wszystko w porządku?

Harris przytaknął.

- Proszę przynieść herbatę do...

- Herbata do salonu. Natychmiast, panno Lane. Na piętrze po lewej stronie, panienko - dodał szeptem, wiedząc, że Karla nie może pamiętać rozkładu pokoi w rezydencji.

Charles z hrabiną wspięli się na górę, Karla natomiast rozejrzała się po hallu. Wydał jej się znajomy, ale nie mogła powiedzieć, że dobrze go pamiętała. Zresztą wcale tego nie oczekiwała - nie była tu od prawie dwudziestu lat. Liczyła jednak na to, że w tym domu odnajdzie wspomnienia.

Wicehrabim i Lydia nie pojawiły się w salonie, nawet gdy podano herbatę. Karla i Charles starali się zabawić gościa, ale wszyscy troje byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. Po wypiciu filiżanki herbaty hrabina pożegnała się.

- Dobrze odpocznij, Karlo. Rano musisz być pełna energii, bo wybieramy się do modystki, żeby zamówić tobie i Lydii nowe stroje.

- A co takiego męczącego jest w wybieraniu sukien? - spytał lekceważącym tonem Charles.

- Cóż, wybór kilku sukien na pewno nie jest trudny, ale twoje siostry muszą dostać po kilkanaście strojów. Poranne suknie, suknie

na przejażdżki powozem, przejażdżki konne, na przyjęcia i bale. Muszą wybrać krój, materiał i ozdoby dla każdej kreacji.

- Och, nie!

Ostatnio Karla dostała nową suknię, gdy Lydia zaczęła przyjmować gości w Yorkshire. Bardzo chciała mieć nowe stroje, ale nie zdawała sobie sprawy, że wiązało się to z tak skomplikowanymi przygotowaniem.

- Jeśli uda nam się jutro dokonać całego zamówienia u modystki, to we wtorek zajmiemy się butami, kapeluszami i dodatkami - radośnie poinformowała rodzeństwo hrabina.

Charles pomógł lady Blackburn nałożyć salopkę.

- Cieszę się, że nie jestem dziewczyną!

Hrabina uśmiechnęła się i podeszła do lustra, żeby założyć kapelusz.

- Czyżbyś uważał, że wizyta u krawca nie wygląda tak samo jak u modystki?

- O, nie. Męski strój nie musi mieć innego kroju dla każdego fraka czy kamizelki. A wszystkie moje koszule są z tego samego materiału.

- Na razie tak, ale gdy dorośniesz, inaczej spojrzysz na tę kwestię.

Na widok sceptycznej miny brata Karla wtrąciła:

- Tata miał wiele różnych surdutów i kamizelek. Charles kiwnął głową, uznając rację Karli, po czym podał ramię lady Blackburn, żeby odprowadzić ją do powozu.

Karla sądziła, że jest przygotowana do wyprawy na zakupy. Przed wyjazdem do Londynu spędziła wiele godzin, studiując magazyny mody. Razem z siostrą wczoraj przy kolacji i dziś przy śniadaniu debatowały o zaletach i wadach różnych stylów. Potem przyjechała lady Blackburn i przy filiżance kawy wyraziła swoje zdanie. Powiedziała dziewczętom, co jej zdaniem najbardziej pasowałyby każdej z nich. Karli bardzo się spodobały sugestie hrabiny: suknie w pastelowych kolorach o prostym kroju i niewielkiej liczbie ozdób. Gdy tylko w salonie zjawiała się lady Padbury, wszystkie cztery wyruszyły do Madame Celesty.

Kiedy przekroczyły próg eleganckiego sklepu przy ulicy Bond, przywitała ich sama właścicielka.

- Madame la Comtesse - zwróciła się do lady Blackburn - to ogromna przyjemność widzieć panią w stolicy. Przyjechała pani na sezon towarzyski? - spytała Madame Celesta z wyraźnym francuskim akcentem.

- Tak i potrzebuję kilku nowych sukien. Ale najpierw zajmiemy się sukniami dla tych młodych dam.

Po uprzejmym powitaniu modystka uważnie obejrzała wszystkie trzy panie Padbury. Potem zaprosiła je, by usiadły na dwóch ustawionych naprzeciwko siebie sofach. Między meblami stał długi stół, na którym leżały magazyny mody. Madame klasnęła w dłonie i poleciła asystentce przynieść herbatę.

- A teraz, mesdames, proszę przejrzeć czasopisma, a ja w tym czasie panie wymierzę.

Wszystkie decyzje Karli dotyczące stylów sukien uzyskały aprobatę lady Blackburn. Gdy modystka wzięła miarę z Karli, ta wraz ze swoją mentorką zajęła się materiałami i kolorami.

- Czy myśli pani, że ten jedwab nadawałby się na suknię balową z marszczoną górą? - spytała Karla, przesuwając palcami po delikatnym blad różowym materiale.

- Świetny wybór - pochwaliła lady Blackburn. - A podoba ci się ten błękitny muślin? Byłaby z niego piękna suknia poranna.

- Zgadzam się. Czy byłby lepszy na suknię z dekoltem wykończonym koronką czy na tę z rękawami w kształcie płatków kwiatu?

- Myślałam o tej z rękawami w kształcie tulipanów, ale ten muślin nadawałby się i na tę drugą. Co ty sądzisz, moje dziecko? Twoja opinia jest najważniejsza, bo to ty będziesz nosiła te stroje.

Po chwili zastanowienia Karla podjęła decyzję.

- Jednak tulipany.

Gdy skończyły wybierać suknie, podeszły do Lydii, wicehrabiny i Madame. Karla zatrzymała lady Blackburn, by jej podziękować.

- Jestem pani bardzo wdzięczna za pomoc, hrabino.

- Nie ma za co. Wcale nie potrzebowałaś pomocy. Masz idealny gust.

Karla zarumieniła się z radości.

- Dziękuję. Mam tylko nadzieję, że macocha nie stwierdzi, że wybrałam zbyt ekstrawaganckie suknie.

- Ekstrawaganckie? Wprost przeciwnie.

- Caroline! - ostry głos lady Padbury przeciął powietrze jak nóż masło. - Madame czeka, żeby usłyszeć, co sobie wybrałaś.

Karla pospieszyła do macochy. Modystka wcale nie wyglądała na zniecierpliwioną, gawędząc z Lydią i jej matką. Karla usiadła na sofie naprzeciwko lady Padbury i Lydii, po czym wygładziła pomięte rogi listy, którą sporządziła, przeglądając katalogi i materiały.

Madame uśmiechnęła się zadowolona.

- Panno Lane, proszę mi pokazać kroje, które pani wybrała i opisać tkaniny. Jeśli Madame le Vicomtesse je zatwierdzi, wpiszę je do książki zamówień.

- Znalezienie wszystkich krojów zajmie mi kilka minut.

Karla wzięła do ręki katalog, w którym znalazła najwięcej interesujących sukien, i przekartkowała go. Lady Blackburn zajrzała do drugiego.

- Proszę najpierw znaleźć jeden, panno Lane, potem przejdziemy do następnego. Zamawianie strojów to czasochłonne przedsięwzięcie - wesołym głosem dodała Madame.

Karla uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście - zgodziła się. Przesunęła katalog, żeby modystka zobaczyła pierwszy krój. - Ta poranna suknia, z białego muślinu w niebieskie kwiatuszki.

Wicehrabina stanęła za Karłą, żeby lepiej widzieć. Lydia podążyła za matką.

- Bardzo dobry wybór, panno...

- Nie, ta jest nie do przyjęcia.

Karla, Madame Celesta i hrabina spojrzały zdziwione na lady Padbury.

- Nie podoba się pani krój czy materiał? - spytała modystka.

- Ta suknia jest zbyt prosta. Żadnych falbanek ani marszczeń.

- Panna Lane jest za niska na falbanki. One lepiej wyglądają na wyższych dziewczętach takich jak panna Lydia.

Wicehrabina spojrzała groźnie na modystkę.

- Chyba ja wiem lepiej, co jest dobre dla mojej pasierbicy. - Odwróciła się do córki i wskazała na katalogi. - Lydio, znajdź tę poranną suknię z falbankami, którą wybrałaś dla siebie.

Modystka mruknęła coś pod nosem po francusku, ale tak cicho, że Karla nie dosłyszała słów.

- Następna suknia, panno Lane?

Karla pokazała Madame Celeście suknię z rękawami w kształcie płatków tulipana.

- Ta, z błękitnego muślinu. Madame kiwnęła głową z aprobatą.

- Będzie pani w niej ślicznie...

- Krój może zostać - orzekła wicehrabina - ale muślin ma być granatowy.

- Czy granat nie będzie zbyt ciemny? Przecież miałyśmy nosić pastelowe kolory.

Karla bała się protestować stanowczo, ale nie chciała też mieć sukni, która jej się nie podobała. Lady Padbury skrzyżowała ramiona.

- Ciemne materiały wolniej się niszczą.

Modystka znowu skomentowała pod nosem tę uwagę. Lady Blackburn zerknęła na minę wicehrabiny i zauważyła:

- Muślin to muślin. Niszczy się tak samo bez względu na kolor.

Lady Padbury się nie ugięła.

- Ma być granat, Madame.

Modystka wzięła do ręki ołówki, ale było widać, że nie zgadza się z wyborem wicehrabiny. Lydia podała Karli kartę z katalogu.

- To jest poranna suknia z falbankami. Lady Padbury uśmiechnęła się do córki.

- Wygląda znacznie lepiej od tamtej. I muślin w kwiatuszki jest na nią idealny, prawda, Caroline?

Może dla kogoś innego, ale nie dla mnie! zbuntowała się w duchu Karla.

- Ja nie lubię sukni z falbankami.

- Ależ z ciebie dziwadło - zirytowała się wicehrabina. - Jaki materiał wybrałaś na tę suknię? - zwróciła się do córki.

- Jasnozielony muślin.

- W takim razie dla panny Lane niech będzie jaskrawożółty.

O ile to w ogóle możliwe, kolor był jeszcze gorszy niż krój sukni. Karla zacisnęła pięści.

- Wolalabym bladuróżowy.

Na widok groźnej miny macochy spróbowała wywalczyć kompromis.

- Jeśli z żółtego muślinu, to tę. - Karla wskazała następną stronę w katalogu.

Po chwili zastanowienia wicehrabina kiwnęła głową.

- Weźmiemy obie. Będziesz potrzebowała wielu porannych sukien.

Karla z trudem stłumiła westchnienie. Teraz zamiast jednej okropnej sukni będzie miała dwie: jedną o ładnym kroju i kolorze, który psuł cały efekt, i drugą o koszmarным kroju, a za to w ślicznym odcieniu. Z porannymi sukniami jej się nie powiodło, ale liczyła, że z wieczorowymi sukniami będzie miała więcej szczęścia.

- Chciałabym zamienić z tobą słowo, Hortensjo. Lady Blackburn wstała i podeszła do półki z materiałami.

- Nie teraz.

- Teraz.

- Co jest takiego ważnego...

- Teraz, Hortensjo.

Lady Padbury westchnęła ciężko i wstała.

- Jeśli nalegasz...

- Nalegam.

Karla spojrzała na obie kobiety, a potem na Lydię, która wzruszyła ramionami zdezorientowana.

Gdy wicehrabina oddaliła się od sofy, Madame wzięła do ręki ołówki.

- Następna suknia, panno Lane?

Karla wykorzystała nadarżającą się okazję i wskazała suknię balową, która podobała jej się najbardziej.

- Ta z marszczoną górą, z blad różowego muślinu. Modystka szybko zapisała zamówienie.

- Świetny wybór.

- Nie sądzi pani, że jest zbyt prosta? - niepewnym głosem spytała Lydia.

- Następna, panno Lane? - poprosiła modystka, po czym zwróciła się do Lydii: - Niskie kobiety lepiej wyglądają w sukniach o prostym kroju. Sama panienka zobaczy. W tej sukni pani siostra będzie wyglądała tres elegant.

- Ta, z brzoskwińowego jedwabiu - odezwała się Karla i dodała, przewróciwszy kilka kartek: - I ta, też z jedwabiu, ale w kolorze kości słoniowej.

Modystka kiwnęła głową i zapisała oba zamówienia.

- W kości słoniowej będzie panience bardziej do twarzy niż w białym.

- Te będą ładne, Caroline. Ja wybrałam taki krój - Lydia wskazała suknię - ale w błękitcie.

- Będiesz w niej ślicznie wyglądała. - Karla uśmiechnęła się do siostry. - Jeszcze ta koszulka, z różowego jedwabiu i ta z błękitnej wełny.

Madame i Lydia pokiwały głowami z aprobatą.

- Ta suknia wieczorowa - kontynuowała Karla - z różowej krepy i koronkowymi lamówkami. I...

Powrót macochy i lady Blackburn zbił Karłę z tropu. Sądząc po minie wicehrabiny, rozmowa z lady Blackburn nie sprawiła jej przyjemności. Jak gdyby nigdy nic, Karla wskazała modystce swój kolejny wybór,

- Ta suknia balowa, z kremowego batystu...

- Może być - przerwała zmęczonym głosem lady Padbury. - Ale biała. Młode damy powinny ubierać się na białą.

- Dobrze, biała - zgodziła się modystka, choć zapisała „kremowa”.

- Ta spacerowa suknia... - Karla zerknęła na listę, ale nie mogła odczytać nazwy koloru. - Czy pamięta pani, jaki kolor wybrałyśmy dla tej sukni, hrabino? Lady Blackburn schyliła się nad katalogiem.

- Błękitny jedwab.

- Zielony - zarządziła wicehrabina tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Karla wiedziała, że protestowałyby na próżno. Było jej przykro, że macocha za każdym razem kwestionuje albo krój, albo kolor sukien. Nawet jeden wybór Karli nie pozostał niezmienny. Kroplą, która przepełniła kielich goryczy, była decyzja lady Padbury, by suknia do przejażdżek powozem była z musztardowej krepy.

- Nie - sprzeciwiła się Karla. - Będzie zbyt ciemna i za ciężka.

- Musztardowa krepa - powtórzyła beznamiętnie wicehrabina.

- Nie. - Zła i upokorzona Karla wstała. - Przepraszam, Madame, ale nie chcę tej sukni. Nie jest mi potrzebna - powiedziała i szybkim krokiem podeszła do drzwi.

Nie sądziła, że dzisiejsza wyprawa na zakupy sprawi jej tyle przykrości.

Rozdział 7

Oślepiąca łzami Karla nie zauważyła dwóch kobiet, które stały na chodniku przed sklepem, i o mało nie wpadła na młodszą z nich.

- Bardzo przepraszam. - Choć bardzo starała się uspokoić, wyrwał jej się szloch. Sięgnęła ręką do torebki po chusteczkę. - Proszę mi wybaczyć. Ja...

- Och, nie. - Młoda dama podała Karli biały płócienny kwadracik. - Czy możemy pani jakoś pomóc?

Karla przetarła oczy.

- Dziękuję za dobre chęci, ale obawiam się, że sama muszę sobie poradzić z tym problemem.

Starsza kobieta położyła Karli dłoń na ramieniu.

- Czy w takim razie możemy panią gdzieś podwieźć? Gdy Karla zastanawiała się nad odpowiedzią, drzwi sklepu otworzyły się i stanęła w nich lady Blackburn.

- Dzień dobry, lady Julio, panno Castleton. - Hrabina dygnęła przed starszą kobietą i skinęła głową młodszej, po czym objęła Karłę. - Czy mogę paniom przedstawić moją przyjaciółkę i sąsiadkę? Miała bardzo ciężki poranek.

- Oczywiście. Ale najpierw - lady Castleton wskazała na powóz stojący przy chodniku - czy możemy was gdzieś podwieźć?

- Dziękuję. Czy byłyby panie tak łaskawe i zabrały nas do mnie do domu?

- Cała przyjemność po naszej stronie. Do rezydencji Blackburnów, Jamesie - poleciała lokajowi lady Julia.

Do Karli i lady Blackburn podszedł służący, który towarzyszył im tego ranka. Ukłonił się przed hrabiną i spytał:

- Czy mam coś przekazać lady Padbury, hrabino?

- Tak. Proszę jej powiedzieć, że panna Lane pojechała ze mną do domu. Po południu wrócimy do rezydencji Padburych.

- Dobrze, hrabino. - Lokaj ukłonił się ponownie i cofnął przed drzwiami sklepu.

Gdy dwukółka ruszyła ulicą Bond, Karla spróbowała wziąć się w garść.

- Przepraszam za moje niestosowne zachowanie.

- Nie trzeba - odezwała się wysoka, szczupła brunetka, siedząca obok Karli. Mówiła z obcym akcentem. - Przynajmniej rozładowała pani napięcie i nie zadreślała się.

Karla uspokoiła się nieco.

- Bardzo dziękuję za pani uprzejmość. - Zerknęła na lady Julię i dodała: - Pani także dziękuję.

Hrabina wyglądała na zamyśloną. Karla nie wiedziała, czy powinna sama się przedstawić, czy też mimo wszystko rozmawiać z damami, których nie знаła. Na szczęście lady Julia chrząknęła i zwróciła się do lady Blackburn:

- Jane, miałaś nas sobie przedstawić.

- Proszę mi wybaczyć. - Hrabina uśmiechnęła się smutno. - Lady Julio, panno Castleton, chciałabym wam przedstawić pannę Karolinę Lane, moją sąsiadkę w Yorkshire. Karlo, to lady Julia Castleton i jej siostrzenica, panna Beth Castleton.

- Bardzo mi miło panią poznać, lady Julio... panno Castleton.

Karla zdobyła się na niepewny uśmiech. Lady Julia, szczupła, elegancka siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce, spojrzała na nią badawczo.

- Jest pani córką wicehrabiego Lane i jego pierwszej żony, prawda?

- Tak.

- Jest pani bardzo podobna do matki. Karla rozpromieniła się.

- Dziękuję pani. Nie pamiętam dobrze mamy, to znaczy tego, jak wyglądała. Wspominam jej miłość, czułość i różane perfumy.

Panna Castleton musnęła palcami dłoń Karli.

- To wspaniałe wspomnienie. Szkoda, że nie ma pani jej portretu.

Karla drgnęła.

- Jak byłam małą, w salonie wisiał portret mamy, ale nie widziałam go od lat. Wydaje mi się, że moja macocha kazała go wynieść na strych.

- Pewnie tak - mruknęła lady Blackburn.

- Obawiam się, że nie znam pani macochy, panno Lane.

Ton lady Julii wskazywał, iż trudno jej uwierzyć, że druga lady Padbury mogła popełnić takie faux paux i do tej pory nie złożyć wizyty w rezydencji Castletonów.

- Ja i moja przyrodnia siostra debiutujemy w tym sezonie, więc będzie pani miała okazję poznać moją macochę.

- Jeśli zdecydujesz, że warto - burknęła lady Blackburn.

Lady Julia spojrzała na nią zaciekawiona. Panna Castleton uśmiechnęła się do Karli.

- Ja też będę teraz debiutowała. To zaskakujące w moim wieku, ale...

- Nie może mieć pani więcej niż dwadzieścia lat, więc nie jest pani wcale o wiele starsza od innych dziewcząt. Ja natomiast mam dwadzieścia trzy lata. Praktycznie jestem starą panną.

- Starą panną? - parsknęła śmiechem lady Julia. - Ja jestem starą panną, panno Lane. Pani jeszcze daleko do tego etapu.

Panna Castleton przyjrzała się Karli uważnie.

- Myślałam, że ma pani dziewiętnaście lat, panno Lane. Czy poczuje się pani lepiej, gdy powiem, że mam tyle samo lat co pani? Muszę przyznać, że bardzo się cieszę, iż w tym sezonie będzie debiutowała moja rówieśniczka.

Karla przytaknęła.

- To bardzo pocieszające, panno Castleton. Bałam się, że wszystkie dziewczęta będą miały po siedemnaście lat jak Lydia. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami - powiedziała nieśmiało.

- Myślę, że już nimi jesteśmy. - Panna Castleton uśmiechnęła się.
- Jako przyjaciółka powinnaś do mnie mówić Beth.

- Będę zaszczycona, Beth. Ja mam na imię Karolina. Albo zdrobniale Karla.

- Karolina. - W ustach świeżo upieczonej przyjaciółki to imię zabrzmiało niemal magicznie. - Jakie piękne imię! Ja tak naprawdę nazywam się Julia Elizabeth, ale od dziecka wszyscy mówią na mnie Beth.

- Bardzo ci pasuje to imię. Jest pełne życia w przeciwieństwie do „Julii”. - Karla zalała się rumieńcem i odwróciła do ciotki Beth. - Proszę o wybaczenie. Nie chciałam pani urazić.

Lady Julia z uśmiechem przyjęła przeprosiny.

- Jako młoda dziewczyna też uważałam, że to niewłaściwe imię dla mnie. „Julia” kojarzyło mi się z gnuśnymi damami rozpartymi na szeszlonych.

- Właśnie - uśmiechnęła się Karla do dowcipnej rozmówczyni.

Przyjazd do rezydencji Blackburnów tylko na chwilę przerwał ich konwersację. Panie Castleton przyjęły zaproszenie hrabiny na herbatę i zgodziły się opowiedzieć niedawno przybyłym do Londynu sąsiadkom z Yorkshire o najnowszych wydarzeniach w stolicy. W stylowo umeblowanym salonie Karla zaczęła się uspokajać. Wiedziała, że będzie musiała stawić czoła rozgniewanej macosze, ale

pocieszała się myślą, że nastąpi to dopiero za parę godzin. Na razie chciała przyjemnie spędzić czas z lady Blackburn i nowymi znajomymi.

Gdy kamerdyner przyniósł herbatę i gospodyni napełniła każdemu filiżankę, potoczyła się rozmowa na ogólne tematy. Karla nie знаła nikogo, o kim była mowa, więc pozwoliła sobie na chwilę zadumy. W takich chwilach zwykle jej myśli kierowały się ku Elstonowi. Gdy padło jego nazwisko, natychmiast zaczęła uważniej słuchać konwersacji.

- ... a kilku dżentelmenów spotkałam jeszcze przed sezonem, na przykład wicehrabiego Dunnleya i jego brata, kapitana Middleforda, ich kuzyna, księcia Weymouth, i jego przyjaciela, markiza Elston - mówiła Beth.

- Nie znam dobrze kapitana Middleforda, ale trzej pozostali są bardzo interesującymi i pożądanymi kawalerami - uśmiechnęła się lady Blackburn. - Fakt, że poznała ich pani przed sezonem, stawia panią w korzystnej sytuacji, panno Castleton.

- Jako Amerykance na pewno będzie mi trudniej niż pozostałym dziewczętom.

- Ależ skąd! Jest pani uroczą, śliczną, dobrze wychowaną młodą damą.

Słowa lady Julii sprawiły, że policzki jej siostrzenicy zalały rumieniec.

- Ty, kochana ciociu, nie jesteś obiektywna. - Beth uściśnęła ciotce dłoń. - I za to cię kocham.

- A ja jestem - wtrąciła hrabina - i całkowicie się z Julią zgadzam.

Karla ruszyła na pomoc przyjaciółce. - Beth, czy poznałaś którąś z dziewcząt debiutujących w tym sezonie?

- Nawet kilka: lady Christine Fairchild, córkę księcia Greenwich, lady Sarę Mallory, córkę księcia Tregaron, i pannę Harriett Broughton. Poznałam też panny Spencer i Cathcart, ale lady Christine, lady Sarę i pannę Broughton znam najlepiej. Wszystkie kochamy muzykę i postanowiłyśmy wystąpić wspólnie na wieczorku muzycznym u pani Broughton.

- Jesteś o wiele odważniejsza ode mnie, Beth. Gdybym to ja miała wystąpić - Karla zadrżała na samą myśl o tym - z nerwów pomieszałabym nuty. Oczywiście o ile najpierw bym nie zemdląła.

- Na jakim instrumencie grasz?

- Na fortepianie, ale nie tak dobrze, jak bym chciała. Także śpiewam, ale nie mam silnego ani wysokiego głosu

Beth wstała i przysunęła sobie krzesło bliżej Karli.

- Doigrała się pani, panno Lane - wesoło ostrzegła Karłę lady Julia. - Beth może godzinami rozprawić o muzyce.

Karla uśmiechnęła się do starszej pani, która przysiadła się do hrabiny na sofę.

- Bałabyś się zaśpiewać publicznie w grupie, Karlo?

- Chyba tak, chociaż może nie aż tak bardzo. Nie wiem na pewno, bo nigdy tego nie robiłam.

- A chciałabyś?

- Mogłabym spróbować zaśpiewać w grupie, jeśli o to pytasz. Ale nie publicznie. Nie od razu. - Mimo skrupułów ciekawość Karli została rozbudzona. - Co masz na myśli, Beth?

- Nic konkretnego. Po prostu pomyślałam sobie, że byłoby bardzo miło, gdyby te dziewczęta, które mają talent muzyczny i grają na różnych instrumentach, mogły zaprezentować swoje zdolności.

- Ile jest takich dziewcząt? - Karla stwierdziła, że w dużej grupie może nie rzucałyby się w oczy. - I na czym one grają?

- Ja na skrzypcach, ale uwielbiam też śpiewać. Tina, to znaczy lady Christina Fairchild - uściśliła Beth - gra na fortepianie, a lady Sara na harfie, ale sądzę, że obie potrafią śpiewać równie dobrze, jak grać. Czyli jednym słowem wyśmienicie.

- Och. - Karla zmartwiła się, że jej zdolności nie są wystarczające, by mogła przyłączyć się do tak utalentowanego zespołu.

- Harriett tak samo jak ty woli śpiewać, niż grać na fortepianie. Nie wiem, czy panna Spencer i Cathcart śpiewają, ale się dowiem. A więc mamy Tinę, Sarę, Harriett, ciebie i mnie na pewno. Harriett śpiewa sopranem jak ja, ty altem. Tina chyba też, chociaż nie jestem pewna. Sara na pewno sopranem. Gdybyśmy miały jeszcze jeden alt, byłoby trzy na trzy głosy.

- A panny Cathcart i Spencer?

- Według mnie obie są sopranami. - Beth zamyśliła się. - Czy twoja siostra śpiewa?

- Lydia jest moją przyrodnią siostrą i można ją prosić, by zaśpiewała wyłącznie wtedy, gdy chce się, by sala opustoszała. I to szybko.

Beth uśmiechnęła się.

- Naprawdę jest tak źle?

- Obawiam się, że tak. Ale za to Lydia dość dobrze gra na fortepianie.

- Dowiem się, jak śpiewają panny Carthcart i Spencer. Na pewno w tym sezonie debiutuje jeszcze co najmniej jedna dziewczyna, która śpiewa altem.

Karla napiła się łyka letniej już herbaty i zadała Beth pytanie, które ułożyła sobie w myślach już wcześniej.

- Wspomniałaś, że znasz lorda Elstona. Ja poznałam go wiele lat temu, gdy byłam małą dziewczynką. Nosił wówczas tytuł wicehrabiego Wrextona i mimo że był ode mnie znacznie starszy - miałam sześć, a on dwanaście lat - zaprzyjaźnił się ze mną i bardzo mi pomógł w trudnych chwilach. Jaki jest teraz?

Promienny uśmiech Beth zbił Karłę z tropu. Zaczęła się zastanawiać, czy jej nowa znajoma nie liczy na coś więcej niż przyjaźń ze strony markiza.

- Wydaje mi się, że wcale się nie zmienił. I dla mnie był bardzo uprzejmy, gdy niedawno znalazłam się w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji. Prawdę mówiąc, nawet się zdziwiłam, bo gdy nas sobie przedstawiono, wydawało mi się, że jest zamknięty w sobie i... powściągliwy.

- Moje pierwsze wrażenie było identyczne, ale być może z powodu różnicy wieku.

- Zdaje się, markiz planuje przyjazd do Londynu w tym sezonie, chociaż dokładnie nie wiem, kiedy przybędzie. Ale Weymouth na pewno będzie wiedział. Chcesz, żebym go zapytała?

Karla bardzo chciała, ale nie zamierzała ujawniać swojego zainteresowania.

- Nie ma takiej potrzeby. Ja tylko zastanawiałam się, czy go tutaj spotkam. Jest jedynym dżentelmenem, którego znam spośród arystokratów.

- W... Yorkshire nie mieszkają żadni kawalerowie z wyższych sfer?

- Nie. Moim jedynym rówieśnikiem jest syn lady Blackburn, ale on prawie nie wyjeżdża z Londynu.

Beth zerknęła na hrabinę.

- Mimo to muszą być sobie z matką bliscy. W listopadzie hrabina przyjechała do niego do Londynu na kilka tygodni.

Karla przytaknęła. Bardzo jej brakowało wówczas lady Blackburn, bo akurat wtedy macocha tak drastycznie ograniczyła jej swobodę.

- Właśnie. W czwartek organizuję muzyczne popołudnie, więc jeśli jeszcze niczego nie zaplanowałaś na ten dzień, serdecznie cię zapraszam. O ile pamiętam, żadne ważne przyjęcie się nie odbywa w tym czasie, więc i pozostałe dziewczęta na pewno przyjdą.

- Nie mam pojęcia, jakie plany na czwartek ma moja macocha. Przyjechałyśmy do Londynu zaledwie wczoraj.

Na samo wspomnienie macochy Karla posmutniała. Wiedziała, że lady Padbury ukaże ją za niesubordynację, którą okazała u modystki. Opuśczenie sklepu było oczywiście niegrzeczne, ale...

- Karlo? Coś się stało?

Karla dostrzegła w oczach Beth taką samą serdeczność i współczucie, z jakimi spotkała się ze strony lady Blackburn. Opuściła głowę i szybko zamrużyła powiekami.

Beth wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- Usiądźmy przy oknie - zaproponowała.

Karla nie odpowiedziała, bo w tej chwili nie ufała swojemu głosowi, ale podążyła za przyjaciółką. Gdy usiadły, Beth powtórzyła swoje wcześniejsze pytanie.

- Na pewno myślisz, że jestem beksą...

- Ależ skąd - oburzyła się Beth.

- Dziś rano postąpiłam bardzo nierozważnie, ale nie żałuję tego, co zrobiłam, bo dzięki temu poznałam ciebie.

- Chodzi ci o to, co się stało, zanim wybiegłaś ze sklepu Madame Celesty?

- Między innymi.

- Muszę przyznać, że zastanawiałam się, co skłoniło cię do tak impulsywnej reakcji. Ale - zażartowała Beth - gdybyś poczekała jeszcze minutę, ciocia Julia i ja weszłybyśmy do środka i zostałybyśmy sobie przedstawione w zwykły sposób.

- Może i tak, ale chyba lepiej się stało, że wybiegłam zapłakana.

- Naprawdę? - zdziwiła się Beth. - Dlaczego?

- Bo gdybyśmy poznały się w zwykłych okolicznościach, dopiero po wielu tygodniach przekonałabym się, jaką jesteś wspaniałą osobą.

Beth objęła Karłę ramieniem i mocno ją przytuliła.

- To piękny komplement. Wiem, że na niego nie zasługuję, ale mimo to będę go sobie bardzo cenić.

Zapadła cisza, w której Karla rozważała niezbadane wyroki losu. I dziękowała Bogu, że nie wybiegła ze sklepu wcześniej.

- Chcesz mi powiedzieć, co się stało? Może sprawi ci to ulgę.

- Raczej nie. Ale chętnie ci wszystko opowiem.

- Dobrze.

I Karla z najdrobniejszymi szczegółami przedstawiła przyjaciółce przebieg wizyty w sklepie.

- Suknia do przejażdżki powozem z musztardowej krepy? - wzdrygnęła się Beth. - Czy twoja macocha specjalnie wybierała dla ciebie tak brzydkie stroje, czy po prostu ma okropny gust?

Karla zachichotała i Beth zaczerwieniła się.

- Przepraszam, powinnam była sformułować to zdanie grzeczniej. Ale to wszystko wina mojej typowej dla Amerykanów szczerości, a nie braku wychowania.

- Amerykańska szczerość, oczywiście. - Karla znów posmutniała.

- Nie wiem, czy decyzje macochy były przemyślane, czy nie. Ona lubi falbanki i ozdóbki, ale mimo interwencji lady Blackburn specjalnie wybierała niepasujące do stylu kolory.

Uwagę dziewcząt zwrócił ruch po przeciwnej stronie salonu. To lady Julia wstała i nakładała rękawiczki.

- Beth, kochanie, musimy się zbierać. Obiecałyśmy Castletonowi, że wrócimy na lunch.

- Czy mogę cię jutro odwiedzić, Karlo? - spytała Beth.

- Oczywiście, ale jeśli lady Padbury wciąż będzie na mnie zła, nie pozwoli mi na niczyje odwiedziny.

- To mało prawdopodobne. Z ciotką Julią wszyscy muszą się liczyć. - Beth uśmiechnęła się przebiegle. - Musisz nas odwiedzić we środę. To dzień, w którym przyjmujemy gości, i możesz mi wierzyć, że cała śmietanka towarzyska Londynu zbiera się wtedy w naszym salonie.

- Gdzie...

Beth odwróciła się i wskazała kierunek za oknem.

- Rezydencja Castletonów jest zaraz za rogiem po prawej stronie, na placu Grosvenor.

- Rezydencja Padburych jest na ulicy Curzon.

Lady Julia schyliła się po torebkę siostrzenicy. Beth jeszcze raz uścisnęła Karłę. '

- Czy mogę opowiedzieć cioci Julii o twojej wizycie u modystki?

- szepnęła Karli na ucho. - Ona może nam pomóc.

Wahanie Karli trwało zaledwie sekundę.

- Możesz, jeśli chcesz.

- Odwiedzę cię jutro - obiecała Beth.

Potem razem z ciotką podziękowały gospodyni i pożegnały się. Po ich odejściu Karla posmutniała jeszcze bardziej.

Robert i jego ekonom spędzili cały dzień w polu, pomagając dzierżawcom umocnić brzegi rowu nawadniającego rozmyte podczas ostatniej ulewy, Robertowi praca sprawiała ogromną przyjemność. No, może nie wtedy, gdy pośliznął się i wpadł do wody, chociaż i to wydarzenie miało swoje dobre strony. Widok pana umazanego błotem stopił ostatnie lody między nim i dzierżawcami nieufnie patrzącymi na to, że lord pracuje z nimi ramię w ramię. Skierowawszy wierzchowca w stronę domu, Robert czuł się zadowolony i spokojny.

Gdy spał konia do skoku przez niskie kamienne ogrodzenie, odezwały się zmęczone mięśnie pleców i nóg, ale nie zepsuło mu to humoru. Obolałe ciało, brudne ubranie i pościerane kostki świadczyły o pożytecznie przeżytym dniu. Jego światowi przyjaciele nie poznaliby go teraz w takim stanie, ale za to stał się bliższy swoim pracownikom, a to było najważniejsze.

Roześmiał się radośnie i puścił wierzchowca galopem do domu.

Jego przyjazd wywołał nieoczekiwaną konsternację w stajni. O'Malley, główny stajenny, skrzyżował ramiona na piersi i spytał:

- Co się stało, lordzie? Tylko proszę nie mówić, że koń pana zrzucił.

Robert zeskoczył z siodła i uśmiechnął się do Irlandczyka.

- Skąd wiesz, że tak właśnie nie było?

Peebles, najstarszy wiekiem ze stajennych, parsknął.

- Niech pan da spokój. Ostatni raz przydarzyło się to panu, jak miał pan siedem lat.

- Faktycznie. Dziś pośliznąłem się na polu i wpadłem do rowu nawadniającego.

- Jak to?

- Ja... sturlałem się wzdłuż skarpy. Stajenni wybuchnęli śmiechem.

- Bardzo mi przyjemnie - oznajmił Robert - że tak was rozbawiłem, ale trzeba się zająć koniem. Siebie też muszę doprowadzić do porządku, zanim ciotka zobaczy mnie w tym stanie - zauważył i zwrócił się do najmłodszego ze służących: - Znajdź Higginsa i powiedz mu, żeby przyszedł do mnie do gabinetu. Niech przyniesie mój szlafrok.

Chłopak kiwnął głową i ruszył do domu, ale po kilku krokach zatrzymał się.

- Czy mam mu powiedzieć, że będzie pan brał kąpiel?

- Nie trzeba, chłopcze. Higgins wie, co ma robić.

Idąc do siebie, Robert zastanawiał się, co powiedziałyby damy, które ojciec umieścił w testamencie, gdyby go teraz zobaczyły. Gdy wyobraził sobie ich reakcje, ucieszył się, że ich tu nie ma. Nie wyglądał bowiem ani trochę na jednego z najbardziej pożądanych kawalerów w Anglii. Ale w przyszłym tygodniu wszystko się zmieni. Ciotka Liwy oznajmiła przy śniadaniu, że rano będzie gotowa do drogi. W przyszłym tygodniu kampania małżeńska wejdzie w kolejną fazę.

W czwartek rano Karla po raz pierwszy w życiu udała się na spotkanie towarzyskie bez macochy. Tego dnia odbywało się przyjęcie u Beth Castleton. Lydia była obrażona, bo nie dostała zaproszenia, a wicehrabina zła, gdyż Karla nie zgodziła się zabrać siostry ze sobą. Ku ogromnej radości dziewczyny towarzyszyć jej miała lady Blackburn.

Rezydencja Castletonów była jednym z największych domów przy placu Grosvenor. W korytarzu przywitał je surowy kamerdyner, który zabrał lady Blackburn do salonu, gdzie zebrały się matki i opiekunki dziewcząt biorących udział w wieczorku. Karlę inny służący zaprowadził do pokoju muzycznego

Beth uścisnęła przyjaciółkę na powitanie.

- Bardzo się cieszę, że przyszłaś. Chodź, poznasz dziewczęta.

Podeszły do czterech młodych dam, które prowadziły ożywioną rozmowę. Wszystkie były ubrane podobnie jak Beth i Karla w suknie z białego muślinu w kwiatowe wzory. Gdy Karla zajęła miejsce, Beth stanęła pośrodku.

- Chciałabym poprosić was, żebyście wszystkie same przedstawiły się grupie. Tak będzie szybciej, niż gdybym ja chciała przedstawiać każdą z was z osobna.

Dygnęła i zaczęła:

- Nazywam się Beth Castleton, jestem jedyną córką młodszego brata księcia Castleton. Urodziłam się i wychowałam w Ameryce, stąd mój dziwaczny dla was akcent. Mieszkam w Anglii z wujem i ciotką od ponad roku. Mimo podeszłego wieku, mam dwadzieścia trzy lata, będę w tym roku debiutowała. Gram na skrzypcach i fortepianie, ale lepiej na skrzypcach. Uwielbiam śpiewać i kocham matematykę. - To stwierdzenie powitały okrzyki zdumienia i niedowierzania, ale na Beth nie zrobiły one żadnego wrażenia. - Poza tym lubię jeździć konno i tańczyć. Dygnęła i usiadła.

- Lady Christino, teraz twoja kolej.

Młoda dama, która stanęła pośrodku grupy, była drobna, miała kruczoczarne włosy i ciemne oczy. Nie była piękną w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale wyglądała uroczo.

- Nazywam się Tina Fairchild, jestem córką księcia i księżnej Greenwich. Mam siedemnaście lat i też będę debiutowała w tym sezonie. Gram na fortepianie i śpiewam, ale wolę grać.

- Jesteś sopranem czy altem? - spytał ktoś.

- Alt. Moje ulubione rozrywki to... odpowiedź zależy od tego, kogo o to spytać. Moja mama powiedziała, że uwielbiam pakować się w kłopoty.

Dziewczeta roześmiały się, słysząc tę uwagę.

- Ja jednak twierdzę, że jest to muzyka, jazda konna i taniec. Całe życie mieszkałam w Londynie i Greenwich, ale bardzo chciałabym kiedyś podróżować i zwiedzać inne kraje.

Tina zerknęła na Beth, która skinęła głową z aprobatą. Lady Greenwich zajęła więc swoje miejsce.

- Zanim następna z nas się przedstawi, czy mogę zadać pytanie? - odezwała się ciemnowłosa dziewczyna siedząca naprzeciwko Karli.

- Oczywiście - odparła Beth.

- Beth, nie powiedziałaś nam, jakim głosem ty śpiewasz. Alt?

- Nie, sopranem - odparła gospodyni wieczorku i uśmiechnęła się. - Lady Deboro, teraz ty.

W poniedziałek Beth nie wspomniała o Deborze, więc Karla nic nie wiedziała o wysokiej, szczupłej blondynce o niebieskich oczach.

- Nazywam się Debora Woodhurst. Mam dwadzieścia lat i jestem najstarszą córką markiza i markizy Kesteven. Moja siostra jest ode mnie młodsza o dwanaście minut. Mam też dwóch starszych braci.

- Masz siostrę bliźniaczkę? - spytała z niedowierzaniem Tina.

- Tak - uśmiechnęła się Debora. - Wyglądamy identycznie, ale charakter i zainteresowania mamy zupełnie różne.

Tina jęknęła.

- To straszne. - Na widok zaskoczony miny Debory, dodała: - Jak taka mała, ciemnowłosa dziewczyna jak ja ma przyciągnąć uwagę dżentelmenów, jeśli na tej samej sali znajdują się dwie wysokie blond piękności?

- Będąc sobą - odparła Debora.

Tina potrząsnęła głową nieprzekonana o słuszności opinii przyjaciółki, ale aż podskoczyła do góry z radości, gdy dziewczyna siedząca naprzeciwko Karli stwierdziła:

- Niektórzy panowie nie poproszą do tańca wysokiej dziewczyny. Na przykład mój brat nigdy nie poprosi na parkiet damy, jeśli nie jest pewien, że jest od niego co najmniej trzy cale niższa.

- Mam nadzieję, że nas sobie przedstawi! - wykrzyknęła Tina, czym wzbudziła powszechną radość dziewcząt.

Po chwili wahania Debora ciągnęła dalej:

- Gram na harfie i fortepianie, ale wolę harfę. Lubię też śpiewać. Jestem altem. Uwielbiam jeździć konno, a w tym sezonie chcę się wytańczyć za wszystkie czasy - jak my wszystkie zresztą.

Zakończyła dygnięciem i usiadła. Beth skinęła głową dziewczynie siedzącej naprzeciwko Karli.

- Lady Saro.

Lady Sara była wysoką, szczupłą piękną, ale z wyraźnie zaznaczonymi kobiecymi krągłościami. Miała czarne włosy i intensywnie niebieskie oczy z długimi, podkreślonymi na końcach rzęsami.

- Nazywam się Sara Mallory, jestem córką księcia i hrabiny Tregaron. - Jej melodyjny głos brzmiał niemal jak śpiew. - Mam dwadzieścia jeden lat. Gram na harfie i jak większość Walijczyków uwielbiam śpiewać. Jestem sopranem. Lubię też jeździć konno, żeglować, tańczyć i haftować. Aha, i jeszcze jedno - przepadam za robieniem zakupów.

Po tym ostatnim komentarzu dziewczęta wybuchnęły śmiechem. Sara przyłączyła się do nich, po czym wróciła na miejsce.

Gdy Beth zwróciła się do Karli, ta myślała tylko o tym, żeby kolana nie odmówiły jej posłuszeństwa. Stała zawstydzona pośrodku grupy, ale zachęcające uśmiechy Beth i Sary pomogły jej się przełamać.

- Nazywam się Karolina Lane, zdrobniale Karla. Jestem córką świętej pamięci wicehrabiego Padbury i jego pierwszej żony. Mój ojciec był dyplomata, więc gdy byłam małą dziewczynką, mieszkaliśmy w wielu krajach Europy.

- Gdzie dokładnie? - zaciekawiała się Tina.

- Pamiętam Hiszpanię, Rosję i kilka królestw niemieckich.

- A jak byłaś starsza?

- Gdy miałam sześć lat, mój ojciec ożenił się ponownie, a ponieważ moja macocha nie lubi podróżować, nie towarzyszyłyśmy tacie. Mam sześcioro przyrodniego rodzeństwa. Lydia, jedna z moich sióstr, debiutuje w tym sezonie.

- A ty, Karlo? - spytała Debora.

- Ja też. Mam dwadzieścia trzy lata, ale jeszcze nie zostałam wprowadzona w towarzystwo.

- A ile lat ma Lydia? - spytała dziewczyna, która jeszcze się nie przedstawiała.

- Siedemnaście.

- Pewnie twoja macocha ze względu na niechęć do podróży wołała, żebyście debiutowały w tym samym roku.

Karla wzruszyła ramionami, ale w duchu podziękowała Deborze za tę uwagę. Była dość wiarygodna i nie tak wstydliva jak prawda.

- Odkąd skończyłam sześć lat, mieszkam w Yorkshire, więc nie znam prawie nikogo z wyższych sfer. Bardzo się cieszę, że mam okazję was poznać.

Wszystkie dziewczęta przytaknęły, niektóre chętniej niż inne.

- Gram na fortepianie i śpiewam - altem - ale wolę śpiewać niż grać. Lubię jeździć konno i tańczyć. Kocham czytać.

- Powieści? - rozległo się kilka głosów.

- Uwielbiam powieści.

Karla spróbowała naśladować walijski akcent Sary i chyba jej się to udało, bo kilka dziewcząt się roześmiało. Dygnęła i wróciła na miejsce zadowolona, że nie stchórzyła.

Ostatnia młoda dama wstała, nie czekając na znak gospodyni. Nie była tak piękna, jak niektóre z dziewcząt, ale bardzo miła. O jakiś cal lub dwa przewyższała Karlę wzrostem, miała brązowe włosy i ciepłe, kasztanowe oczy.

- Nazywam się Harriett Broughton. Mam dziewiętnaście lat i będę debiutowała w tym sezonie. Śpiewam sopranem i gram na fortepianie, ale tak jak panna Lane wolę śpiewać. Lubię tańczyć, ale zawsze gdy wychodzę na parkiet, boję się, że zapomnę kroków. I, znów podobnie jak panna Lane, jestem bardzo szczęśliwa, że mogłam was wszystkie poznać przed oficjalnymi przyjęciami, bo wstydę się rozmawiać z nieznajomymi.

Debora, Beth i Karla kiwnęły głowami, przyznając Harriett rację. Tina natomiast zmarszczyła brwi.

- Ja zawsze chętnie rozmawiam z ludźmi, których dopiero co poznałam.

- Bo ty jesteś słodką szczebiotką - zażartowała Beth. - I niczego się nie wstydzisz - zawyrokowała Harriett. Tina uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba macie rację.

Dosyć szybko Beth udało się zebrać dziewczęta przy fortepianie. Sara, Harriett i Beth stanęły po jednej stronie, po drugiej Karla i Tina. Grała Debora. Beth miała rację - ich głosy idealnie pasowały do siebie. Dwie godziny później miały już opracowany repertuar składający się z pięciu piosenek. W nagrodę Beth poprosiła o herbatę dla wszystkich.

Podczas spokojnej rozmowy Tina nagle machnęła ręką, o mało nie wytrącając filiżanki z ręki Harriett.

- Spójrzcie na nas. Dwie czarnowłose dziewczyny, dwie brunetki i dwie blondynki. Przydałyby się nam dwie rude - wtedy nasza grupa mogłaby zadowolić gusta każdego mężczyzny.

Dziewczęta zachichotały.

- A w każdej parze jest jedna wysoka, jedna niska dziewczyna - zauważyła Karla.

- Myślę, że naszą mocną stroną jest to, że są wśród nas trzy piękności - Beth wskazała na Sarę, Deborę i Karlę - i trzy bardzo ładne dziewczęta. Niektórzy panowie wolą piękności, ale inni nie chcą mieć żony ładniejszej od nich samych.

Dziewczęta zaniósły się donośnym śmiechem, a Karla w głębi duszy pomyślała, że uwaga Beth jest bardzo trafna.

- Jest jednak i słaba strona - odezwała się Harriett. - Mamy wśród nas córkę księcia, markiza, wicehrabiego i siostrzenicę księcia. Powinnyście zamienić mnie na córkę barona, żeby reprezentować wszystkie tytuły arystokratyczne.

Dziewczęta zaprotestowały gorąco. W ciągu trzech godzin, które spędziły razem, tak bardzo zdążyły się zaprzyjaźnić, że nie potrafiły sobie wyobrazić, by którakolwiek z nich mogła opuścić grupę.

Rozdział 8

Karla rzuciła ostatnie spojrzenie w wiszące na ścianie podłużne lustro, wzięła szal, torebkę i rękawiczki, po czym wyszła z pokoju. Trzy ostatnie przedpołudnia spędziła z Lydią i macochą na zakupach. I mimo że pierwsza wyprawa skończyła się nieprzyjemną kłótnią, nowe, modne stroje zostały nabyte. Właściwie był to powód do radości tylko dla Lydii, bo Karla dostała wyłącznie suknie, których krój i kolor nie pasował ani do jej figury, ani cery, ani włosów. Lady Padbury nie zaprosiła hrabiny, by im towarzyszyła, więc nikt nie podtrzymywał argumentów Karli. Dziewczyna zresztą nie upierała się przy swoim za wszelką cenę, by nie zepsuć do reszty i tak już napiętych stosunków z macochą.

Trzy nerwowe popołudnia spędzone na odwiedzaniu znajomych zaowocowały pokaźną liczbą zaproszeń. Tego dnia, cztery dni po przybyciu do stolicy, Karla i Lydia miały po raz pierwszy pojawić się w towarzystwie na wieczorku w rezydencji Castletonów. Lady Blackburn zdradziła pannom Lane, że lady Julia jest jedną z najbardziej liczących się w towarzystwie dam i każdy chciałby znaleźć się wśród jej gości.

Karla zdziwiła się, że spotkał je ten zaszczyt, bo chociaż ona sama zrobiła dobre wrażenie na lady Julii, lady Padbury nie miała tyle szczęścia. Może dostały to zaproszenie ze względu na przyjaźń Karli z Beth, a może nie. Tak czy inaczej, Karla cieszyła się, że na debiucie towarzyskim będzie miała okazję spotkać koleżanki, które poznała tego ranka.

Podczas popołudniowych wizyt u znajomych Karli przedstawiono mnóstwo osób. Choć bardzo się starała, wiedziała, że nie zdoła zapamiętać wszystkich. Liczyła na to, że jeśli dziś okaże się, iż kogoś nie pamięta, gafa zostanie jej wybaczona.

Zbliżając się do salonu, Karla usłyszała podekscytowany głos Lydii i spokojniejsze odpowiedzi starszej kobiety. Nie była pewna, czy to macocha, czy lady Blackburn, ale wydawało jej się, że raczej hrabina.

W czasie lunchu Lady Padbury była co najmniej tak samo podniecona jak jej córka. Karla miała jedynie nadzieję, że wszystkie trzy zrobią tego wieczoru dobre wrażenie na gospodarzach. Charles, który wyjeżdżał następnego ranka, także został zaproszony, ale o

niego Karla się nie martwiła. Miał doskonałe maniery i czuł się zaszczycony, że znalazł się na liście gości.

Przed drzwiami salonu Karla zatrzymała się na chwilę i spojrzała na swoją brzoskwińową jedwabną suknię. Dostała już od Madame Celesty dwie suknie wieczorowe, dwie poranne i trykotową koszulkę. Ta, którą zdecydowała się założyć, podobała jej się bardziej, bo w drugiej - dopasowanej, ale ze zbyt dużą ilością ozdób - źle się czuła.

Gdy tylko weszła do salonu, wicehrabina skoczyła na równe nogi.

- Przecież miałaś się ubrać w tę białą atlasową suknię, Caroline.

- Wolę tę.

- Białą atlas? - zdziwiła się lady Blackburn. - Nie przypominam sobie, żebyśmy zamawiały suknię z takiego materiału.

- Prawdę mówiąc, ja też - przyznała Karla.

- Oczywiście, że nie, głuptasie. - Lydia wzięła siostrę pod rękę. - Mama zamówiła ją dla ciebie pierwszego dnia po twojej ucieczce ze sklepu.

Karla przeniosła wzrok z siostry na macochę i z powrotem.

- Czy zamówiła tylko tę jedną?

- Och, nie. Wybrała co najmniej sześć.

Lady Blackburn westchnęła zrezygnowana i z groźną miną zbliżyła się do wicehrabiny, która wpatrzona w córkę nie zauważyła grożącego jej niebezpieczeństwa. Charles, widząc gniew hrabiny, wycofał się w róg pokoju. Lady Blackburn usiadła na sofie obok wicehrabiny.

Karla zignorowała naiwne wywody Lydii i wsłuchała się w prowadzoną półgłosem rozmowę między lady Padbury i lady Blackburn,

- Czy suknie, które zamówiłaś dla Karli, wybrałaś ty czy ona? - spytała wyjątkowo opanowanym głosem hrabina.

- Oczywiście, że ja. Przecież nie wiedziałam, co chciała Caroline.

- Karla przygotowała listę, Hortensjo. Nie przyszło ci do głowy, żeby do niej zajrzeć? - wycedziła hrabina.

- Listę? - Lady Padbury zmarszczyła brwi. - Nie przypominam sobie.

- A czy ty założyłabyś suknie, które wybrałaś dla Karli?

- Przecież są podobne do strojów Lydii - odparła wicehrabina - kolorowe, białe i pastelowe.

Karla stłumiła westchnienie. Jeśli miała szczęście, przynajmniej część sukien będzie uszytych z materiałów w kolorach, które dobrze na niej leżą.

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś pozwoliła Karli samej decydować o swoich strojach? To ona będzie je nosiła, a nie ktoś inny.

Wicehrabina wzruszyła ramionami.

- Być może, ale stwierdziłam, że lepiej będzie zamówić je tego samego dnia co Lydii.

- Gdybyście zrobiły to nazajutrz, nic by się nie stało. Lady Padbury rozłożyła ręce. Hrabina opadła na oparcie sofy.

- Proszę, opowiedz nam o tych sukniach, żeby Karla wiedziała, czego się spodziewać.

Lydia i Karla przestały udawać, że są pogrążone w dyskusji i wsłuchały się w rozmowę starszych dam. Karla z westchnieniem niedowierzania zgarbiła się zrezygnowana, gdy usłyszała z ust macochy opis dwóch tak bogato ozdobionych sukien, że wyglądałaby w nich jak pajac. Kiedy Lydia opisała jeszcze cztery, lady Blackburn skoczyła na równe nogi.

- Ta dziewczyna ma zadebiutować w towarzystwie, a nie iść na służbę!

- Ale przecież wszystkie kroje są wzięte z najnowszych katalogów mody, a kolory pastelowe są obowiązkowe w tym sezonie...

- Granat nie jest kolorem pastelowym, Hortensjo - warknęła hrabina. - Podobnie szkarłat.

- Ale...

- Powiedz mi, proszę, czy dla Lydii wybrałaś suknie w takich samych odcieniach?

Wicehrabina zaczerwieniła się.

- Nie, ale...

- Mówiłam ci, że musisz traktować obie dziewczyny jednakowo.

- Mają tyle samo nowych sukien!

Lady Blackburn potarła skronie zmęczonym gestem.

- Nie chodzi tylko o ilość, Hortensjo. Czy są one jednakowo szykowne? Czy Lydia i Karla będą w nich dobrze wyglądały?

- Ta wyniosła Francuzka nie zgodziłaby się uszyć tandetnej sukni. A czy pasują dziewczętom, czy nie, przekonamy się, gdy będą miały okazję je założyć.

- Możesz oszukiwać siebie, Hortensjo, ale mnie nie oszukasz. Ani swojej pasierbicy. My - hrabina wskazała na siebie, Karłę i Lydię - wiemy, że suknie, które wybrałaś dla Karli, nie będą dobrze na niej leżeć. I - głos lady Blackburn stwardniał - zrobiłaś to celowo.

- Ja nie...

- Uważasz, że jeśli Karla będzie nosiła brzydkie suknie, nikt nie będzie na nią zwracał uwagi i wszyscy skupią się na Lydii, ale mylisz się. Grubo się mylisz.

- Nie...

- Kto według ciebie wywołuje większe zainteresowanie: osoba ubrana modnie czy ekscentrycznie?

Lady Padbury zbladła.

- Wreszcie zrozumiałaś to, co próbuję ci wytłumaczyć od tygodni. Jeśli będziesz traktowała Karłę gorzej niż swoją córkę, to straci na tym nie twoja pasierbica, tylko ty sama i Lydia.

- Ja? - przestraszyła się Lydia. - Ale ja... Wzrok hrabiny bezlitośnie przeszył dziewczynę.

- Nie próbuj mi wmówić, że nie wiedziałaś, co robi twoja matka. Nie jesteś aż tak niemądra.

Zawstydzona Lydia opadła na krzesło.

- Co teraz będzie? - spytała zrozpaczona wicehrabina. Charles spojrział na matkę nieprzychylnym wzrokiem i wstał.

- Teraz powinniśmy pójść na wieczorek do Castletonów.

Sądząc po zaskoczonej minie lady Padbury, Karla stwierdziła, że macocha zupełnie zapomniała o zaproszeniu.

- Ale co z sukniami Caroline? - jęknęła. Charles zatrzymał się przed drzwiami.

- Może lady Blackburn zgodzi się pójść jutro z tobą do modystki i razem wybierzecie coś bardziej odpowiedniego. - Odwrócił się i mruknął pod nosem: - Chociaż naprawdę nie wiem, dlaczego miałyby to zrobić, skoro sama jesteś wszystkiemu winna.

Na szczęście tę ostatnią uwagę usłyszały tylko Karla i hrabina. Młody wicehrabia uklonił się im i podał ramię lady Blackburn, by odprowadzić ją do powozu.

Robert z ciotką przybyli do rezydencji Symingtonów na ulicy Upper Brook wieczorem czwartego kwietnia. Higgins był niezadowolony, że podróżują w niedzielę, ale swoje zdanie wyraził tylko raz. Mimo przesądów służącego dotarli na miejsce bez

przeszkód. W innych okolicznościach Robert przychyliłby się do prośby lokaja, ale ten sezon miał całkowicie różnić się od innych. Ku swemu własnemu zaskoczeniu Robert z niecierpliwością czekał na dzień, w którym rozpocznie londyński etap swojej kampanii.

Dzień przed opuszczeniem Gloucestershire Elston otrzymał list od George'a. Przyjaciel zawiadamiał go, że wszystkie siedem panien, a także cztery, które Robert znał wcześniej, ale nie zamierzał nawet rozważać ich kandydatur, przybyły do Londynu. Beth zaprzyjaźniła się z trzema dziewczętami, które znała wcześniej, i zapoznała z trzema innymi: panną Lane oraz pannami Deborą i Dianą Woodhurst. Robert kolejny raz pomyślał, że podjął słuszną decyzję, zwierając się przyjaciółom ze swojego problemu.

Ciotka była bardzo zmęczona po podróży, bo nie dała rady zasnąć w powozie, i położyła się wcześniej. Robert natomiast udał się do gabinetu. Napisał krótki liścik do George'a i przejrzał stertę listów i zaproszeń, na które powinien był odpowiedzieć. Przed pójściem spać przygotował sobie listę przyjęć i spotkań towarzyskich, na które został zaproszony, i do kilku nadawców napisał wiadomości z potwierdzeniem przybycia. W sprawie pozostałych zamierzał najpierw skonsultować się z przyjaciółmi.

Poniedziałek był chłodny i deszczowy, ale mimo pogody niesprzyjającej spacerom, ciotka Liwy uparła się, by wybrać się do modystki i powiększyć swoją garderobę. Napisała do lady Julii Castleton i lady Blackburn z prośbą o polecenie krawcowej. Obie damy podały adres Madame Celesty i zaproponowały, że będą jej towarzyszyć. Robert odetchnął z ulgą, bo obawiał się, że będzie musiał sam pojechać z ciotką do modystki. Lavinia znała lady Julię od ponad pięćdziesięciu lat, a dokładnie od dnia, kiedy razem debiutowały, wysłała więc do hrabiny liścik z podziękowaniem i wyruszyła do rezydencji Castletonów.

Do południa Robert nie otrzymał żadnej wiadomości od George'a. Zaniepokojony sam odwiedził rezydencję Bellinghamów na placu Portman.

- Dzień dobry, Hargrave. Czy zastałem Weymoutha? Kamerdyner uklonił się.

- Dzień dobry, lordzie Elston. Lord Weymouth jest w Dorsetshire od tygodnia, ale ma wrócić dziś po południu.

- Proszę, dopilnuj, żeby dostał list, który wysłałem mu wczoraj wieczorem.

- Tak, lordzie.

Robert uśmiechnął się na pożegnanie i udał do rezydencji Castletonów przy placu Grosvenor.

- Dzień dobry, North. - Robert wręczył kamerdynerowi kapelusz i wizytówkę. - Czy zastałem lady Julię i pannę Castleton?

Co prawda lady Julia nie przyjmowała gości w poniedziałki, ale Robert miał nadzieję, że brzydka pogoda zatrzymała obie damy w domu.

- Tak, lordzie. Proszę za mną.

Ponieważ kamerdyner nie uprzedził pań o jego przybyciu, Robert stwierdził, że Beth wydała służbie polecenie, by wpuszczać go bez względu na to, kiedy przybędzie. North przyprowadził go do pokoju, w którym Beth czytała haftującej ciotce.

Dziewczyna przywitała go promiennym uśmiechem.

- Robercie, jak miło pana widzieć!

- Panią również, panno Castleton. - Ukłonił się hrabinie. - Dzień dobry, lady Julio. Obie wyglądacie dziś uroczo.

Lady Julia wskazała mu krzesło.

- Rzeczywiście jesteśmy w doskonałej formie. Z przyjemnością obserwuję, jak moja ukochana siostrzenica łamie serca kawalerom.

Beth zarumieniła się.

- Ależ ciociu!

- Cóż, dziecko, i mnie to sprawia radość, i tobie. Robert uśmiechnął się.

- Bardzo mi przykro, że nie wziąłem udziału w pani pierwszym balu, panno Castleton. Szczególnie, że zarezerwowałem sobie taniec.

- Wiem, że ma pan teraz na głowie inne zobowiązania, lordzie. Jeśli natomiast chodzi o taniec, to rezerwacja jest nadal aktualna.

- Czy wybiera się pani na bal u lady Throckmorton dziś wieczorem?

Beth przytaknęła.

- Wobec tego proszę mnie wpisać na pierwszy menuet i trzeci walc, jeśli jeszcze ich pani nikomu nie obiecała.

- Nie, chyba że trzeci walc będzie tańcem podczas kolacji. - Beth zawahała się, po czym dodała niepewnie: - Jeśli Weymouth nie wróci z Dorsetshire, chętnie zatańczę z panem także podczas kolacji,

Robert skinął głową.

- Będę zaszczycony, panno Castleton. Jeśli George zdąży wrócić, a założę się, że tak będzie, poproszę o taniec po kolacji.

Beth uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Dziękuję.

- Czy George ma pani towarzyszyć dziś na balu? Jeśli nie, to ja chętnie stanę u pani boku.

- Dziś wieczorem ten honor przypadł Dunnleyowi - oznajmiła zadowolona hrabina.

Po półgodzinie Robert pożegnał się. Beth także wstała i powiedziała ciotce, że odprowadzi gościa do drzwi. Gdy wyszli z pokoju, powiedziała, znizywszy głos do szeptu:

- Muszę panu powiedzieć dwie rzeczy. Sześć z dam, które są na pana liście, będzie dziś na balu. Mogę im pana przedstawić, jeśli pan sobie życzy. Robert uśmiechnął się.

- Bardzo. A ta druga sprawa?

- My - to znaczy pan i ja - spotkaliśmy się na przyjęciu w Szkocji. - Beth spuściła wzrok, ale zaraz podniosła głowę. - Gdy powróciłam do Londynu, nie spodziewałam się, że kogoś zainteresuje moja nieobecność, więc nie byłam przygotowana na deszcz pytań, którymi mnie zasypano. Stwierdziłam, że najlepiej będzie opowiadać właśnie o przyjęciu.

- Słusznie. Zresztą jest to zgodne z prawdą, po prostu pomija pani uprowadzenie, ucieczkę i ratunek.

W korytarzu czekał na nich kamerdyner z kapeluszem, rękawiczkami i laską Roberta. Elston wziął je od niego i uklonił się Beth.

- Do zobaczenia wieczorem, panno Castleton.

- Czekam z niecierpliwością na dzisiejszy bal, lordzie - odparła Beth z błyskiem radości w oczach.

Robert nie chciał jej martwić, ale nie miał wyjścia. Pochylił się na nią i szeptem przekazał jej ostrzeżenie, które zawarł także w liściku do George'a. Poprosił, żeby przekazała mu tę wiadomość, gdy tylko się z nim zobaczy.

Beth, choć zaniepokojona, kiwnęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

- Au revoir, Robercie.

Na pożegnanie Robert przytknął palce do kapelusza i wyszedł na zewnątrz.

Karla stała wpatrzona w swoje odbicie w lustrze i z trudem hamowała łzy. Wśród sukni balowych, które przesłała Madame Celesta, nie było ani jednej, którą Karla zdążyła zamówić podczas pierwszej wizyty u modystki. Dziewczyna uważała, że w sukni wybranej przez macochę wygląda koszmarnie.

Bal u Throckmortonów był jej pierwszym. Tymczasem zamiast przypominać Kopciuszka albo księżniczkę z bajki, sprawiała wrażenie złej czarownicy. Marzenie o tańcach z przystojnymi dżentelmenami wydawało się niemożliwe do spełnienia. Żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie będzie chciał się do niej zbliżyć. Karla zamrużyła powiekami. Postanowiła nie płakać, by nie dać powodu do radości macosze.

Rozległo się pukanie do drzwi i dziewczyna szybko przetarła oczy. Do środka zajrzała pokojówka Mary.

- Właśnie dostarczono dla paniąki wiadomość. Z rezydencji Castletonów.

- Dziękuję, Mary.

Pokojówka rzuciła przeciągłe spojrzenie na swoją panią, potrząsnęła z dezaprobatą głową i wyszła, mruczac pod nosem z oburzeniem:

- To po prostu okropne. Tę złośliwą starą jędzę powinno się zastrzelić za to, że każe naszej paniące nosić tę okropną suknię.

Tymczasem naprawdę straszne było to, że pozostałe suknie były jeszcze brzydsze.

Rozdział 9

Robert wspiął się na schody. Na ich szczycie został przywitany przez lorda i lady Throckmorton. Potem zaanonsowany przez kamerdynera wszedł na salę balową. Przez chwilę stał w drzwiach, szukając wzrokiem Beth Castleton, z którą miał zatańczyć pierwszego menueta. W grupie szacownych matron dostrzegł srebrnosiwe włosy lady Julii, a niedaleko niej stojącą w grupie rozbawionych młodych ludzi Beth. Robert rozpoznał płową fryzurę Dunnleya i ciemne loki Howe'a. Pozostałych osób nie znał. Nie spiesząc się, ruszył w ich kierunku, przystając po drodze, by porozmawiać ze znajomymi.

Przywitał się z lady Julią i pozostałymi matronami, po czym przyłączył się do grupy młodych ludzi. Beth zerknęła na kartę z listą tańców założoną na nadgarstek. Okazało się, że następny był menuet.

- Tak, panno Castleton, trochę się spóźniłem. Nie spodziewałem się, że na zewnątrz będzie czekało tyle powozów, a środkiem zastanę tak wielu gości. Chyba zbyt dużo czasu spędziłem na wsi. - Robert skinieniem głowy wskazał na wiszącą na nadgarstku Beth kartę. - Świetny pomysł. Lady Throckmorton na pewno zapoczątkuje nową modę.

Gdy dżentelmeni rozeszli się w poszukiwaniu partnerek do tańca, Robert podał ramię Beth i zaprowadził ją na parkiet.

- Wygląda pani uroczo, Beth.

Panna Castleton miała na sobie brzoskwiniową suknię, która idealnie pasowała do jej karnacji.

- Dziękuję. Pan także wygląda świetnie.

Tańcząc, prowadzili spokojną, towarzyską rozmowę. Gdy muzyka ucichła, Robert odprowadził Beth do lady Julii. Zanim dotarli do hrabiny, przypomniał sobie, że nie wie, czy będzie miał okazję zatańczyć z Beth trzeciego walca.

- Nie wiem, czy George już wrócił. Zostawiłem mu wiadomość w rezydencji Bellinghamów, ale do tej pory nie dostałem żadnej odpowiedzi. Trzeci walc będzie grany podczas kolacji, więc mam nadzieję, że wtedy spotkamy się ponownie. Jeśli George się jednak zjawi, czy zatańczy pani ze mną po kolacji?

- Obiecał już pan komuś drugi taniec ludowy?

- Nie prosiłem o taniec nikogo z wyjątkiem pani.

- Robercie, takie uwagi mogłyby przewrócić w głowie każdej młodej damie!

- Może kokietce, ale nie pani. Beth westchnęła.
- Ja nawet nie potrafię kokietować. Robert uśmiechnął się lekko.
- I dobrze.

Gdy zbliżyli się do lady Julii, Robert uklonił się przed Beth i podziękował za taniec.

- Czy w związku z nieobecnością George'a ma pani jakieś wolne tańce? - spytał przyciszonym głosem.

- Tak, pierwszy kotylion, ale wcale się tym nie martwię. Niepokoi mnie natomiast, co się dzieje z Weymouthem. - Beth przygryzła wargi, po czym rozchyliła je, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili zmieniła zdanie.

- O co chciała pani zapytać? Beth zerknęła szybko na ciotkę.

- Powiedział pan, że jeszcze nie rezerwował sobie tańców u nikogo. Czy obrazi się pan, jeśli poproszę, żeby zatańczył pan z kilkoma moimi koleżankami, które mają wolne miejsca na kartach?

- Ależ skąd. To wspaniałe, że troszczy się pani o swoje przyjaciółki. Kogo mam teraz poprosić?

Beth rozejrzała się po sali.

- Pannę Broughton. Zna ją pan?

Robert zacisnął wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, słysząc niewinny ton Beth.

- Nie, ale zakładam, że to ta brunetka w białej sukni stojąca obok pani Broughton.

Beth przytaknęła.

- Wobec tego ruszam.

- Dziękuję, Robercie. Harriett jest trochę nieśmiała, ale bardzo sympatyczna. Lubi muzykę i książki.

Robert podziękował przyjaciółce uśmiechem i odszedł w stronę piątej potencjalnej narzeczonej.

Serce Karli podskoczyło do góry z radości, gdy kamerdyner ogłosił przybycie Elstona. Lord wyglądał wyjątkowo przystojnie w grafitowym surducie, białych spodniach do kolan i jasnoszarej kamizelce. Był ubrany elegancko i modnie. Stał w drzwiach i rozglądał się po sali, szukając kogoś, po czym podszedł do grupy, w której stała Beth Castleton i wicehrabia Dunnley. Szczęściara! pomyślała Karla.

Dziewczyna chętnie przyłączyłaby się do nich, ale nie chciała, żeby porównywano jej brzydką suknię z eleganckimi strojami gości.

W dodatku nie chodziło tylko o suknię, ale i zaczerwienione od płaczu oczy. Gdy dowiedziała się od Beth, że Elston będzie obecny na balu, Karla wybuchnęła płaczem na samą myśl, że markiz zobaczy ją w tej idiotycznej sukni.

Martwiła się także nieuprzejmym zachowaniem macochy, która nie przestawała narzekać od samego wyjścia z domu. Teraz głośno rozprawiała na temat ślepoty obecnych na sali kawalerów, bo żaden z nich nie poprosił do tańca Lydii ani Karli.

W rezultacie mimo że Karla bardzo chciała podejść do przyjaciółek i opowiedzieć im o przykrew sytuacji, w jakiej się znalazła, wolała pozostać w cieniu szerokiej kolumny wznoszącej się w rogu sali. Stamtąd obserwowała, jak uśmiechnięty Elston tańczy z Beth.

Robert zatrzymał się przed panią Broughton i uklonił.

- Dobry wieczór, pani Broughton.
- Dobry wieczór, lordzie Elston.

Robert spojrzał na córkę swojej rozmówczynie. Pani Broughton nie zawiodła go.

- Pan chyba nie zna mojej córki, Harriett. Harriett, to markiz Elston.

Uklonił się, a dziewczyna grzecznie dygnęła. Była bardzo ładna, nieco niska i miała piękne, brązowe oczy. Jej kasztanowe włosy miały delikatny czerwony połysk, jak świeżo wypolerowany blat stołu w rezydencji Symingtonów. Niezbyt romantyczne porównanie, pomyślał Robert. Chyba nie powinienem się nim z nikim dzielić.

- Czy podoba się pani bal, panno Broughton?
- O, tak. Lady Throckmorton zorganizowała wspaniałe przyjęcie.

Orkiestra zagrała pierwsze takty tańca ludowego. Robert rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnego dżentelmena śpieszącego w ich kierunku.

- Jeśli nie zarezerwowała pani dla nikogo tego tańca, czy mógłbym ja panią prosić?

Panna Broughton spojrzała na matkę i gdy ta skinęła przyzwalająco głową, odparła:

- Oczywiście, lordzie.

Robert podał Harriett ramię i zaprowadził ją na parkiet. Kroki tańca uniemożliwiały spokojne prowadzenie rozmowy, ale udało mu się dowiedzieć, że młoda dama denerwowała się swoim występem na

przyjęciu wydawanym przez matkę następnego wieczoru oraz że zaprzyjaźniła się z kilkoma dziewczętami debiutującymi w tym sezonie, a mianowicie z Beth, lady Christiną Fairchild, lady Deborą Woodhurst, lady Sarą Mallory i panną Karoliną Lane. Te młode damy także miały występować. Robert na szczęście przyjął już zaproszenie na jutrzejszy wieczór do Broughtonów.

Gdy muzyka umilkła, odprowadził Harriett do jej matki.

- Bardzo dziękuję za taniec. Chętnie posłucham pani śpiewu na jutrzejszym przyjęciu.

Dziewczyna zarumieniała się i odparła:

- Inne osoby są bardziej utalentowane ode mnie: panna Castleton, lord Bellingham, lady Christina, lady Debora, lady Sara, lord Howe...

- Howe? - zdziwił się Robert.

Wiedział, że Howe jest świetnym sportowcem, ale nigdy nie słyszał, żeby miał także talent muzyczny.

Panna Broughton energicznie przytaknęła.

- Tak. Ma czysty, niski głos.

W ich stronę szedł Selwyn, znany londyński dandys, więc Robert ukłonił się i poprosił Harriett o jeszcze jeden taniec po kolacji. Skinął na pożegnanie pani Broughton i odszedł.

Karla poczuła ukłucie zazdrości, gdy Elston zaprowadził Harriett na parkiet. Ciekawe z iloma dziewczętami z naszej szóstki będzie dziś tańczył? zastanawiała się. Z jednej strony bardzo chciała zatańczyć z przystojnym markizem, a z drugiej wolała, żeby wcale jej dziś nie zobaczył. Odezwała się w niej ta sama duma, która skłoniła ją do oszustwa w Paddington Court. Dostała jednak nauczkę i nie zamierzała ponownie popełnić tego samego błędu. Jeśli los zdecyduje, że ma dziś spotkać Elstona, niech tak będzie.

Ucieszyła się, gdy spostrzegła, że siedząca niedaleko matrona przekonała swojego młodego krewniaka, by zatańczył z Lydią. Natomiast w ogóle nie spodobało jej się, że ją do tańca poprosił syn lady Blackburn. Wiedziała, że wygląda koszmarnie i nie chciała wystawiać się na publiczny widok, ale nie był to wystarczający powód, by odmówić, więc uniosła brodę, wyprostowała się i pozwoliła Blackburnowi zaprowadzić się na parkiet.

Ku przerażeniu Karli zaczynał się właśnie taniec ludowy, w którym damy ustawiały się w rzędzie naprzeciwko panów. I chociaż panie musiałyby mocno wyciągać szyje, żeby popatrzeć na Karłę,

wszyscy dżentelmeni widzieli ją wyraźnie. Niestety kroki nie pozwoliły im na dłuższą rozmowę i zbliżał się moment, gdy musieli przejść wzdłuż szpaleru przed wszystkimi tańczącymi.

Damy zaczęły szeptać, gdy tylko znaleźli się u szczytu szpaleru. Blackburn ścisnął dłoń Karli, by dodać jej otuchy. Dziewczyna uśmiechnęła się z przymusem i starała się nie zwracać uwagi na niepochlebne spojrzenia. Była to najdłuższa sekwencja, jaką Karli przyszło kiedykolwiek tańczyć, ale w końcu znaleźli się na końcu rzędu i mogli odetchnąć.

Karla przyjrzała się swojemu partnerowi. Znała Geoffreya, lorda Blackburn, całe życie, ale ostatnio rzadko go widywała, bo jako polityk większość czasu spędzał w Londynie. Księżę miał trzydzieści trzy lata i był wysokim brunetem o kasztanowych oczach. Podobnie jak u matki na środku głowy miał siwe pasemko włosów. Był przystojny, oczywiście nie tak przystojny jak Elston, ale z pewnością przyciągał wzrok kobiet. Kiedy znowu przyszła ich kolej, by przejść na szczyt szpaleru, Karla uśmiechała się już zupełnie szczerze. Doceniła uprzejmość Blackburna, mimo że nie było jej łatwo pokonać wstyd.

Drugi przemarsz wzdłuż szpaleru był znacznie łatwiejszy. Nie przyjemny, ale łatwiejszy niż poprzedni. W sumie nawet najlepiej ubranej osobie jest trudno poddać się ocenie wymagających dam. Ponieważ jednak Karla lubiła tańczyć, udało jej się w końcu na chwilę zapomnieć o stroju, który miała na sobie.

Kiedy muzyka ucichła, odetchnęła z ulgą. Chciała szybko uciec, ale lord miał inne plany.

- Czy napije się pani lemoniady, panno Lane?

Karla chciała odmówić, ale zorientowała się, że Blackburn i tak zamierzał przejść się dookoła sali. Stwierdziła, że w pokoju z przekąskami będzie mniej osób, i odparła:

- Dziękuję, lordzie. Chętnie.

- Grzeczna dziewczyna - powiedział i dodał szeptem: - Niech pani nie pozwoli macosze zwyciężyć. Proszę sobie wyobrazić, że ma pani na sobie swoją ulubioną suknię i patrzeć na wszystkich z góry.

Była to dobra rada, ale Karla załapała się rumieńcem.

- Przepraszam, Karolino. Nie chciałem pani zdenerwować - zmartwił się Blackburn.

Karla spojrzała na niego i kiwnęła głową. Wolą się nie odzywać, bo obawiała się, że głos zdradzi jej emocje. Kilka metrów przed nią stał Elston i rozmawiał z mężczyzną w mundurze i lewą ręką na temblaku.

Rozdział 10

Robert skinął głową przechodzącemu obok Blackburnowi. Przyjaciel prowadził pod rękę dziwacznie ubraną dziewczynę. Robert spodziewał się po wybrednym księciu lepszego gustu, ale może on teraz po prostu zabawiał zahukaną córkę jakiegoś wpływowego polityka. Jednak kolejne spojrzenie na niedobraną parę wyprowadziło Elstona z błędu. Dziewczyna była piękna, to jej okropna suknia robiła tak złe wrażenie. Ciekawe, kim ona jest, pomyślał. Gdyby to on wybierał jej ubrania, byłyby to wyłącznie suknie z delikatnych, pastelowych tkanin. Szybko otrząsnął się z zamyślenia i wrócił do rozmowy z kapitanem Ashtonem, który przyniósł najświeższe wieści z frontu.

Robert przedstawił go Beth Castleton, a ona z kolei zapoznała go z lady Sarą Mallory i jej rodzicami, księciem i księżną Tregaron. Walijka była śliczną, wysoką, szczupłą dziewczyną o czarnych włosach i błękitnych oczach.

- Panna Castleton zdradziła mi, że ma pani niespotykany talent muzyczny. Podobno gra pani na harfie i śpiewa.

- Jakie to uprzejme ze strony Beth, że mnie pochwaliła - melodyjnym głosem odparła Sara. - Rzeczywiście lubię grać i śpiewać, ale Beth jest o wiele bardziej utalentowana.

Robert nie wiedział, czy dziewczyna mówi prawdę, czy jedynie stara się być grzeczna. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego i dlatego Elston zrobił się podejrzliwy.

- Czy będzie pani występować na jutrzejszym wieczorze muzycznym u pani Broughton?

- Tak. Czy pan wybiera się na to spotkanie, lordzie? Robert skinął głową.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać tego przyjęcia.

Faktycznie z zadowoleniem myślał o wieczorze, podczas którego przekona się, czy młode damy z listy ojca są muzykalne. Poza tym będzie miał okazję posłuchać Beth.

- Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani dziś ze mną zatańczyć, lady Saro. Jeśli ma pani wolny taniec, oczywiście.

Sara uśmiechnęła się i wręczyła Robertowi kartę.

- Z przyjemnością, lordzie.

Na karcie pozostało niewiele wolnych miejsc, jedynie taniec ludowy i szkocki.

- Ostatni taniec ludowy? - spytał Robert i gdy Sara kiwnęła głową, wpisał swoje inicjały na karcie.

- W takim razie do zobaczenia później.

Gdy orkiestra zaczęła grać kotyliona, zbliżył się do nich Dunnley. Sara uśmiechnęła się niezobowiązująco do obu mężczyzn i przyjęła ramię wicehrabiego. Razem ruszyli na parkiet, a Robert pożegnał państwa Tregaron.

Karla wypita lemoniadę i poczuła, jak wraca jej pewność siebie. Blackburn przedstawił ją dwóm dżentelmenom, lordowi Durwoodowi i sir Kennethowi Peytonowi. Obaj poprosili Karłę do tańca. Dziewczyna miała nadzieję, że gdy zostaną przedstawieni lady Padbury, poproszą także Lydię.

Kiedy wracała z księciem na salę balową, rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu Beth. Zamiast niej zauważyła Sarę, której właśnie kłaniał się Elston. Po chwili podszedł do nich Dunnley, który zabrał Sarę na parkiet. A więc taniec Elstona miał nastąpić później. Blackburn przyspieszył kroku i Karla pomyślała, że lord ma ten taniec zarezerwowany, ale jako dżentelmen nie chciał pozwolić, żeby sama wracała na miejsce.

Gdy znaleźli się przy lady Blackburn, Karla wysunęła rękę spod ramienia księcia i dygnęła.

- Dziękuję, lordzie. Proszę przekazać następnej partnerce moje przeprosiny za zatrzymanie pana.

Blackburn ukłonił się.

- Spieszyłem się, bo obawiałem się, że to ja zatrzymuję panią, Karolino.

Zdziwiona Karla potrząsnęła głową. Księżę zdjął jej kartę tańców z nadgarstka, wpisał się i pożegnał. Karla zerknęła na kartę, żeby sprawdzić, który taniec wybrał.

- Hrabino! On wybrał taniec podczas kolacji!

- Kto, moja droga?

- Pani syn!

Lady Blackburn uśmiechnęła się.

- Geoffrey ma świetny gust. To oczywiste, że wybrał właśnie ciebie.

Karla przewróciła oczami.

- Nie jest pani obiektywna, ale za to właśnie panią uwielbiam.
- Moja droga...
- Och, nie! - jęknęła Karla.
- Co się stało?
- Nie poprosił do tańca Lydii.
- I boisz się, że siostra i macocha będą obrażone? - chłodno spytała hrabina. - Zostaw je mnie.

Chociaż Karla wątpiła, żeby lady Blackburn mogła w czymś pomóc, nic nie powiedziała. Kilka chwil później dostrzegła Beth przechadzającą się po sali w towarzystwie kapitana z ręką na temblaku. Karli wydawało się, że z tym właśnie mężczyzną Elston rozmawiał wcześniej, ale nie była pewna. Chociaż nie знаła tego dżentelmena, modliła się w duchu, żeby do niej podeszli

Szczyście uśmiechnęło się do niej. Beth dostrzegła ją i jej oczy rozszerzyły się na widok okropnej sukni. Po powitaniu przedstawiła Karli swojego partnera, kapitana Ashtona. Gdy mężczyzna zaczął rozmawiać z hrabiną, Beth odciągnęła Karłę na bok.

- Jeśli ta suknia odzwierciedla preferencje twojej macochy, to muszę powiedzieć, że ona nie ma za grosz gusta

Szczerłość i złość Beth nieco pocieszyły Karłę.

- To prawda. A i tak ta suknia jest najlepsza ze wszystkich, które mi zamówiła - z trudem zachowując spokój, odparła Karla. - Pozostałe są jeszcze brzydsze.

Beth ścisnęła dłoń przyjaciółki w geście pocieszenia.

- Trudno to sobie wyobrazić.
- Suknie balowe są najgorsze, stroje poranne i popołudniowe prezentują się trochę lepiej.
- To dobrze. - Beth rozejrzała się dookoła, żeby upewnić się, że nikt ich nie podsłucha. - Czy nic nie możesz z tym zrobić?

- Kilka dni temu po zagorzalej dyskusji z lady Blackburn moja macocha zrozumiała, że popełnia błąd, zachowując się w ten sposób, ale większość moich strojów była już wówczas gotowa. Madame Celesta ma usunąć zakładki i falbanki z sukien, których jeszcze nie skończyła, ale jeśli chodzi o materiały i kolory, jest za późno na zmianę.

- Odwiedzę cię jutro z Moirą, moją pokojówką. Może ona coś zaradzi. - Beth uśmiechnęła się i zniżyła głos: - Dostałaś mój liścik? Elston jest dziś na balu.

- Tak, dostałam, ale nie miałam czasu, żeby odpowiedzieć. Ja... widziałam już dzisiaj lorda Elstona.

- Rozmawiałaś z nim? Wiem, że chciałaś odnowić z nim swoją znajomość.

Beth nie знаła oczywiście całej historii. Na szczęście. Karla chciała odnowić znajomość z markizem, ale na myśl, że powinna wyznać swoje oszustwo, dostawała gęsiej skórki.

- Nie, nie rozmawiałam z nim.

- Jestem pewna, że będziesz miała taką okazję dziś wieczorem.

Pewność siebie Beth była trochę onieśmielająca, szczególnie, że Karla wyglądała w swojej okropnej sukni jak pajac.

- Być może - rozchmurzyła się nieco Karla. Jedno spojrzenie hrabiny wystarczyło, by dziewczęta

przypomniały sobie o dobrych manierach... i partnerze Beth. Kapitan Ashton machnął ręką na ich przeprosiny i zamówił taniec u Karli. Gdy został przedstawiony lady Padbury i Lydii, poprosił tę drugą do tańca. Karla była mu za to bardzo wdzięczna w przeciwieństwie do swojej przyrodniej siostry, która odmówiła, twierdząc, że wszystkie tańce ma już zamówione. Matka zganiła ją za to, gdy tylko Beth i kapitan oddalili się na bezpieczną odległość.

Robert kontynuował spacer wokół sali balowej z nadzieją, że znajdzie lady Blackburn albo lady Padbury. Dziś po południu Beth powiedziała mu, że Karla weźmie udział w balu, i bardzo liczył na to, iż uda mu się odnowić dawną znajomość i przyjaźń. W rogu sali dostrzegł charakterystyczną fryzurę lady Blackburn i skierował się w jej stronę, ale po drodze zatrzymał się na widok markizy Kesteven.

- Dobry wieczór, lady Kesteven - ukłonił się.

- Wrex... Lordzie Elston! Bardzo się cieszę, że pana widzę.

Ton, jakim markiza wypowiedziała te słowa, wskazywał, że nie była to tylko zwykła wymiana grzeczności.

- Czy zechciałaby pani ze mną zatańczyć?

- Trudno jest odmówić tak przystojnemu dżentelmenowi, ale dziś wieczorem jestem tu z córką.

Robert spojrzał zdziwiony na markizę.

- Czy to oznacza, że nie może pani tańczyć?

- Nie powinnam. - Lady Kesteven skinęła głową w stronę grupy matron. - Matki zawsze stoją albo siedzą niedaleko parkietu i obserwują swoje pociechy.

- Z parkietu widziałyby lepiej.

- Tak, ale porwane tańcem równie dobrze mogłyby zapomnieć, po co tu przyszły.

Robert popatrzył uważniej na grupę kobiet.

- Nie wyobrażam sobie, by ta dama w turbanie dała się porwać do tańca.

Markiza roześmiała się.

- Ja też nie.

- Proszę mi w takim razie powiedzieć, jak ten sezon podoba się pani córkom.

- Może pan sam je o to zapytać, gdy orkiestra skończy grać. Okazuje się, że miał pan rację.

Robert przypomniał sobie wizytę w Woodhurst Castle.

- Miałem rację, przewidując, że dżentelmeni będą się ścigać, komu pierwszemu uda się je odróżnić od siebie?

- Właśnie. Nikt spoza rodziny tego nie potrafi oprócz pana i jeszcze jednej młodej damy, debiutującej w tym sezonie.

- Która jest tak spostrzegawcza?

- Panna Castleton. Robert uśmiechnął się lekko.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jest niezwykle inteligentna i bystra.

- Takie właśnie odniosłam wrażenie.

Muzyka ucichła i bliźniaczki wróciły do matki. Lady Debora pożegnała swojego partnera i przywitała Roberta uśmiechem i dygnięciem.

- Lordzie Elston, bardzo mi miło znów pana widzieć. Robert ukłonił się.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nie słyszałam, że jest pan w stolicy.

Lady Kesteven skarciła drugą córkę wzrokiem za niezbyt grzeczne powitanie.

- Przyjechałem wczoraj wieczorem - krótko odparł Robert.

- Cóż, jeśli chciałby pan z nami zatańczyć, jest już za późno.

Nasze...

- Diano! - krzyknęły jednocześnie lady Kesteven i Debora.

Markiza chwyciła córkę za ramię i, przeprosiwszy Roberta, odciągnęła ją na bok. Lady Debora kilka chwil stała ze spuszczoną głową.

- Przepraszam za brak wychowania mojej siostry, lordzie Elston.

Robert uśmiechnął się pocieszająco.

- Pani siostra na pewno sama potrafi przeprosić za nieodpowiednie zachowanie. Pani nie musi jej w tym wyręczać. - Zawahał się, po czym dodał: - Jestem jednak rozczarowany, że wszystkie tańce mają już panie zarezerwowane.

Debora uśmiechnęła się nieśmiało. Widać było, że i jej jest z tego powodu przykro.

- Czy mogę...

Przybycie pana Radnora przerwało ich rozmowę. Robert przywitał się z dobrym znajomym, a po kilku minutach powoli ruszył dalej. Zmierzał w stronę lady Blackburn. Obok niej siedziały lady Padbury i panna Lydia, która rozmawiała ze śliczną dziewczyną w okropnej sukience.

Karla spoglądała na zbliżającego się Elstona z mieszaniną radości i strachu. Na chwilę jej uwagę odwróciło przybycie lorda Selwyna, który przystanął, by porozmawiać z lady Blackburn, po czym został przedstawiony pannom Padbury. Baron zyskał przychylną wicehrabiny, bo poprosił Lydię do następnego tańca. Gdy Selwyn odchodził z Lydią na parkiet, Karla zorientowała się, że Elston jest już tuż obok nich. Z bijącym sercem obserwowała, jak lord kłania się lady Blackburn, a lady Padbury zaledwie kiwa głową. Karla odniosła wrażenie, że Elston nie darzy jej macochy takim szacunkiem jak hrabinę.

Gdy zwrócił się do niej, bała się, że zemdleje.

- Wiem, że znaliście się jako dzieci, ale... - Lady Blackburn uśmiechnęła się do nich. - Karlo, pozwól, że ci przedstawię markiza Elstona. Markizie, to panna Lane. Karla dygnęła, a lord uklonił się. Dziewczyna odniosła wrażenie, że mężczyzna bacznie się jej przygląda. Jej i jej sukni.

- Chyba mnie pani nie pamięta, panno Lane. Gdy się ostatnio spotkaliśmy siedemnaście lat temu, byłem wicehrabią Wrextonem.

Karla uśmiechnęła się na myśl, że Elston mógł sądzić, iż o nim zapomniała.

- Ależ oczywiście, że pana pamiętam, lordzie. Szczególnie pańską dobroć wobec zagubionej małej dziewczynki.

- Czy dobrze się pani bawi podczas tego sezonu towarzyskiego?

- Raczej tak, choć muszę przyznać, że jest to zupełnie inny świat niż ten, do którego przywykłam w Yorkshire.

Markiz uśmiechnął się.

- A ja w Gloucestershire.

- Podobnie jest w pozostałych hrabstwach - dodała lady Blackburn.

- Nie przyszło mi to do głowy, ale teraz rzeczywiście czuję się pewniej, wiedząc, że inne dziewczęta mają zbliżone do moich doświadczenia. - Na myśl o energicznej Tinie Fairchild Karla uśmiechnęła się szeroko. - No, może nie wszystkie.

- Muszę przyznać, że chętnie dowiedziałbym się, o kim mowa, ale nie śmiem pytać.

- Dziękuję, lordzie.

Do Karli i Roberta dołączyła wicehrabina i stanęła między nimi.

- Kiedy przyjechał pan do stolicy, lordzie? Robert cofnął się i odwrócił, by znów znaleźć się obok

Karli i lady Blackburn. Ten manewr mógł ujść uwagi wicehrabiny, ale na pewno zauważyła jego chłodny ton.

- Razem z ciotką przybyliśmy do Londynu wczoraj wieczorem.

- Bardzo się ucieszyłam na wieść o tym, że towarzyszy panu lady Lavinia. - Hrabina uśmiechnęła się szelmowsko. - Czy odwiedziła już modystkę?

Robert kiwnął głową.

- Dziś rano. Wróciła bardzo zadowolona.

- Powinien pan być nas odwiedzić dziś po południu, lordzie. Lydia czekała na pana wizytę.

Karla zaczerwieniła się ze wstydu, słysząc tę bezczelną uwagę.

- Musiałem dziś złożyć wiele wizyt i nie starczyło mi czasu na wszystkie - grzecznie, ale chłodno odparł Elston.

- Ja miałam ten sam problem po przyjeździe do stolicy - wtrąciła lady Blackburn. - Kilka dni zajęło mi odwiedzenie wszystkich znajomych.

Wicehrabina zaczerpnęła tchu, co nieuchronnie oznaczało, że zamierza się spierać z tym stwierdzeniem. Na szczęście Elston odezwał się pierwszy:

- Czy ma pani ochotę na szklanekę lemoniady, panno Lane?

- Tak. Dziękuję, lordzie.

Karla spodziewała się, że Elston ulotni się po tej niezręcznej wymianie zdań, ale on był najwyraźniej człowiekiem odpornym psychicznie. Karla upewniła się, że lady Blackburn pochwała jej

decyzję, i mimo oczywistej dezaprobaty macochy wzięła lorda pod ramię.

Skierowali się do pokoju z przekąskami.

- Czy pan często ratuje młode damy z opresji, lordzie Elston? - Karla odchyliła głowę do tyłu i uśmiechnęła się do wysokiego, przystojnego markiza.

Robert odpowiedział szczerym, szerokim uśmiechem.

- Jako prawdziwy dżentelmen staram się to robić. Skoro jesteśmy starymi przyjaciółmi, proszę nazywać mnie po prostu Robertem.

- Dziękuję, Robercie. Ja... nie byłam pewna, czy będzie pan chciał odnowić naszą przyjaźń.

- Nie będę chciał? Panno Lane, miałem nadzieję spotkać panią w czasie mojej wizyty w Paddington Court kilka tygodni temu.

Karla to wyznanie sprawiło prawdziwą przyjemność.

- Dziękuję. Bardzo liczyłam na to spotkanie. - Po chwili dodała niepewnym głosem: - Proszę się do mnie zwracać po imieniu, tak jak kiedyś.

- Nie mogę niestety w miejscu publicznym. W każdym razie dopóki wszyscy nie będą wiedzieli, że znam panią od kołyski.

- A tak jest? Ja pamiętam pana wizyty dopiero z czasów, gdy ojciec poślubił macochę.

- Ja naprawdę kołysałem panią do snu po pani chrzcie i później jeszcze kilkakrotnie.

Karla nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła przecież podziękować Elstonowi za to, że od dzieciństwa jest jej bohaterem. Na szczęście właśnie dotarli do pokoju z przekąskami i nie musiała nic mówić. Zaczęła się za to zastanawiać, jak wyznać mu oszustwo, którego dopuściła się w Paddington Court.

Elston zaprowadził ją do stolika pod oknem i usiadł naprzeciwko niej, bawiąc się kieliszkiem wina.

- Czy w Londynie macocha dobrze panią traktuje?

Karla nie wiedziała, co skłoniło lorda do zadania takiego pytania, ale odpowiedziała szczerze: . - Tak samo albo lepiej niż w domu.

- Czy pozwala pani na to samo co Lydii?

- Mogę odwiedzać przyjaciół, jeśli o to pan pyta.

- Nie o to.

Markiz zacisnął palce na kieliszku i na chwilę spuścił wzrok.

- Mam nadzieję, że nie obrażę pani swoją szczerością, ale czy to macocha wybiera pani suknie?

Przerazona Karla odwróciła wzrok.

- Wybrała większość z nich. Niespodziewanie dla samej siebie opowiedziała Elstonowi, co wydarzyło się podczas pierwszej wizyty u Madame Celesty. Potem zawstydzona przeprosiła.

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam była...

- Mówić mi o tym? - łagodnie dokończył za nią Robert. - Bzdura! Jesteśmy przyjaciółmi i może pani opowiadać mi o wszystkim.

Gdyby to tylko była prawda!

- Do niedawna nie miałam przyjaciółki, której mogłabym się zwierzać.

- Ale teraz pani ma?

- Tak. I...

Do pokoju weszło kilka osób. Karla i Elston wstali. Domyślili się, że z parkietu zeszła grupa tańczących osób. Markiz podał dziewczynie ramię.

- Czy znajdzie pani wolny taniec dla starego przyjaciela?

Karla bez słowa podała Elstonowi kartę. Było na niej wiele pustych miejsc.

- Wygląda na to, że mało kto z moich znajomych miał okazję panią poznać. Pozwolę sobie przedstawić im panią.

- Dziękuję, lordzie. Jest pan bardzo uprzejmy.

- Moi przyjaciele na pewno się z tym zgodzą - odparł z wesołym błyskiem w oku.

Gdy wrócili do lady Blackburn, Karla dygnęła.

- Dziękuję za lemoniadę, lordzie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Lane.

Robert oddał Karli kartę tańców i uklonił się. Chwilę porozmawiał z hrabiną, wpisał się na jej kartę, po czym pożegnał się z uśmiechem. Karla wyraźnie poczuła pustkę, którą pozostawił po sobie.

Kontynuując spacer po sali balowej, Robert zastanawiał się, kogo mógłby poprosić, żeby zatańczył z Karłą. Na pewno żaden z salonowych dandysów nie zgodzi się, by zobaczono go w towarzystwie przebranej za pajaca dziewczyny, ale pozostałych mężczyzn nie powinien zniechęcić strój. Jeśli znane w towarzystwie

osoby zatańczą z Karłą, będzie to oznaczało sukces jej pierwszego balu.

Blackburn, Ashton, Durwood i Peyton już wpisali się na kartę tańców panny Lane. Księżę był wpływową osobistością raczej w rządzie, a nie w salonach, ale fakt, że zarezerwował dwa tańce z Karłą, w tym jeden podczas kolacji, na pewno nie umknie niczyjej uwagi. Robert zasugerował lordowi Howe'owi, panu Radnorowi i panu Brewsterowi, by zapoznali się z protegowaną lady Blackburn, córką świętej pamięci wicehrabiego Padbury'ego. To samo zaproponował księciu Fairfaxowi. Ten spokojny, cichy i przeciętny pod względem urody mężczyzna nie należał do śmietanki towarzyskiej, ale wszyscy zwracali uwagę na kobiety, z którymi się pokazywał. Robert wiedział, że Fairfax i Karła się polubią.

Z parkietu schodził właśnie Dunnley i Elston zaczął się zastanawiać, czy i jego poprosić o tę samą przysługę. Wicehrabia, który był niekwestionowanym lwem salonowym, niewątpliwie pomógłby Karli zdobyć uwagę arystokracji. Robert wahał się jednak, bo nie znał dobrze Dunnleya mimo jego pokrewieństwa z George'em.

- Cieszę się, że pana widzę, Robercie! - przywitał się Dunnley. - Beth szukała pana przed tym tańcem.

- Tak?

- Chyba chciała pana przedstawić swojej przyjaciółce, pannie Lane.

- Znam Karłę - pannę Lane - od dzieciństwa.

- Czy to prawda, że to jej macocha wybrała dla niej tę koszmarną suknię? - spytał szeptem wicehrabia.

- Beth pewnie miałyby więcej do powiedzenia na ten temat, ale to prawda, że Karla ma dziś na sobie tę nietwarzową suknię z winy macochy.

Dunnley spojrzał zaskoczony na Roberta.

- Podejrzewam, że lady Padbury próbuje wyeksponować swoją córkę, ośmieszając przy tym pasierbicę. Jako stary przyjaciel pozwoliłem sobie o to zapytać.

Wicehrabia rozejrzał się po sali.

- Ja nie widziałem jeszcze dziś panien Padbury.

- Są tam, w rogu. Karla na pewno jest przy lady Blackburn.

- Poznałem pannę Lane na wieczorku w rezydencji Castletonów w zeszłym tygodniu. Jest o wiele bardziej interesującą osobą niż jej

przyrodnia siostra. - Oczy rozbłysły mu szelmowsko. - Nie sądzi pan, że to nasz obowiązek pokazać wszystkim zalety panny Lane i jednocześnie dać lady Padbury nauczkę? Robert uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Rzeczywiście. Dlatego właśnie poprosiłem kilku przyjaciół, by zawarli znajomość z panną Lane.

- Świetnie. Pozwoli pan, że ja zrobię to samo.

Gdy Dunnley odszedł, Robert zaczął się zastanawiać, kogo wybrał sobie na następną partnerkę do tańca. Karty przygotowane przez gospodynię dawały przewagę damom, które mogły kontrolować swoje listy, ale panowie musieli pamiętać wszystkie partnerki aż do końca wieczoru. Robert pomyślał, że mężczyźni też powinni mieć podobne karty. To oni musieli podejść do odpowiedniej damy w odpowiednim momencie. Kobiety po prostu stały ze swoimi matkami lub opiekunkami i czekały.

Jeśli nie chciał, by rozeszła się plotka, że szuka żony - a bardzo sobie tego nie życzył - powinien zatańczyć z kilkoma starszymi damami i dziewczętami, których nie było na liście ojca. Wolał, żeby nikt nie dowiedział się o warunku w testamencie, żeby niepotrzebnie nie rozbudzać niczyich nadziei.

Dostrzegł sir Christiana i lady Yates stojących niedaleko niego. Ubrana w szmaragdową jedwabną suknię Robin Yates była młodą mężatką. Taniec z nią nie wywołałby żadnych domysłów ani plotek. Po uprzejmym powitaniu Robert i lady Yates dołączyli do tańczących na parkiecie par.

Potem sir Christian zatańczył z żoną walca. Robert przyjechał do stolicy niedawno, więc nie wiedział jeszcze, którym z młodych dam (oprócz Beth) wolno było tańczyć ten taniec, poprosił więc lady Blackburn.

Chciał zadać jej kilka pytań i wspólny walc był do tego wspaniałą okazją.

Karla patrzyła z pewną dozą zazdrości, jak jej przyjaciółka i mentorka tańczy z Elstonem. Hrabina, co prawda, nie od razu się zgodziła. Twierdziła, że powinien wybrać sobie młodszą partnerkę, ale markiz tylko uśmiechnął się i ponowił prośbę. Karla marzyła o tym, by pewnego dnia samej znaleźć się w jego ramionach. Taniec z ukochanym mężczyzną musiał być wspaniałym przeżyciem.

Karla rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że nie ona jedna nie tańczy. Także Harriett, Debora, jej złośliwa siostra i Tina obserwowały tańczące pary ze swoich miejsc. Harriett i Tina były w stolicy od kilku tygodni i Karla zastanawiała się, czy nie tańczą, bo im nie wolno, czy też nie mają partnerów. Obie miały karnety na bale u Almacka i wzięły udział już co najmniej w jednym.

Czy i ona dostanie taki karnet? W zeszłym tygodniu poznała lady Sefton i lady Cowper, które zajmowały się organizacją balów, ale ani ona, ani Lydia nie dostały karnetów. Przynajmniej na razie. Jeśli ich nie dostaną, wicehrabina będzie wściekła. Karla wzdrygnęła się na samą myśl o reakcji macochy.

Na parkiecie Robert zadał podobne pytanie lady Blackburn.

- Czy Karla i Lydia dostały już karnety do Almacka?

- Karnety, o ile w ogóle zostaną przyznane, otrzyma Karla i lady Padbury. Lydia będzie mogła brać udział w balach, ale na liście mogą być tylko dwie kobiety z danej rodziny.

- O ile w ogóle zostaną przyznane? Ależ...

- Słyszałam - hrabina ściszyła głos - że Hortensja nie zjednała sobie sympatii organizatorek.

- Ach, tak? Nic dziwnego.

- Jej stosunek do Karli nie uszedł uwagi dam. No i pochodzenie Hortensji...

Robert spojrział zdziwiony na lady Blackburn, ale hrabina nie rozwinęła tego wątku.

- Czy Karla może otrzymać karnet, jeśli jej macocha go nie dostanie? - spytał po chwili.

- Tak, ale mam nadzieję, że tak się nie stanie. Stosunki między Karłą i Hortensją i tak są bardzo napięte.

- Na pewno nie z winy Karli.

- Oczywiście, ale... - Hrabina westchnęła. - W Paddington Court Hortensja traktowała Karłę jak służącą. Tu jest trochę lepiej, ale proszę mi wierzyć, że ona nienawidzi tej dziewczyny.

Na widok zbierających się w oczach lady Blackburn łez, Robert mocniej przytulił hrabinę.

- Proszę panią o wybaczenie, hrabino. Gdy zwróciłem się do pani z prośbą o pomoc, nie zdawałem sobie sprawy, jak trudne może okazać się dla pani to zadanie.

Lady Blackburn spuściła wzrok i kilka chwil dochodziła do siebie. Gdy podniosła głowę, orkiestra przestała grać i Robert nie mógł już zadać kolejnych pytań.

Po powrocie do domu Elston czuł się wyczerpany. Nie fizycznie, ale psychicznie. Chyba także emocjonalnie. Położył się, złożył ramiona za głowę i zaczął analizować wieczór.

Pod wieloma względami bal można było uznać za udany. Poznał pannę Broughton i lady Sarę, dwie damy z listy ojca, których do tej pory nie miał okazji spotkać, porozmawiał z bliźniaczkami Woodhurst i odnowił znajomość - oraz, jak sądził, przyjaźń - z panną Karoliną Lane.

Mniej przyjemne wspomnienia związane z baleem dotyczyły swatających matek, impertynenckich pytań na temat jego planów na przyszłość i ohydnej plotki. Wyglądało na to, że zostały mu przedstawione wszystkie panny przebywające w tym sezonie w Londynie. Co do swoich planów, to w najbliższym czasie zamierzał znaleźć żonę i zająć się polityką. Oczywiście z wyjątkiem ciotki Liwy, Beth i George'a nikt o tym nie wiedział.

Najtrudniej było mu przejść do porządku dziennego nad plotką, która krążyła wśród arystokracji. Było to oczywiste kłamstwo. Beth i George nie podróżowali z Stranraer do Cumberland, udając małżeństwo. Biorąc jednak pod uwagę nieobecność George'a na balu, trudno było wszystkim o tym przekonać. Oczywiście Robert nie zamierzał się poddawać podobnie jak jego wierny sojusznik, Dunnley.

Elston westchnął ciężko i zamknął oczy. Czy obrona honoru przyjaciół była jego czwartą czy piątą kampanią tego sezonu?

Rozdział 11

Karla jadła śniadanie i zastanawiała się, czy Elston ją dziś odwiedzi, gdy do jadalni weszły Lydia z macochą. Nie było jeszcze dziesiątej, a na ten ranek nie planowały żadnych wycieczek. Fakt, że opuściły sypialnię tak wcześnie, nie wróżył nic dobrego. Niewątpliwie Karlę czekała bura. Dziewczyna westchnęła. Lydia też na pewno doda swoje trzy grosze na temat wczorajszego balu i czasu, jaki Karla w przeciwieństwie do niej spędziła na parkiecie.

- Wspominasz bal, siostrzyczko? - słodkim, ale podszytym jadem głosem spytała Lydia.

- Wcale nie.

- Nie wierzę ci!

- Zastanawiałam się, kto mógłby nam dziś po południu złożyć wizytę. - Karla za wszelką cenę starała się zachować spokój. - Jak myślisz, który z dżentelmenów chciałby cię odwiedzić?

- Nie mam tak dużego wyboru jak ty - rzuciła Lydia. - To takie niesprawiedliwe! Ty wyglądałaś tak brzydko i miałaś setki partnerów do tańca...

Karla roześmiała się.

- Nikt nie miał setek partnerów. Było tylko około dwudziestu tańców.

- No to kilkunastu - upierała się Lydia. - Każdy chciał z tobą tańczyć, chociaż wyglądałaś jak pajac. Ja miałam śliczną suknię, a mimo to przesiedziałam prawie cały bal.

- Ja nie kłamałam, że mam wszystkie tańce zajęte.

- On był kaleką! Poza tym tylko ty, mama i lady Blackburn wiedziałyście, że kłamię.

Karla z całych sił starała się być cierpliwa, chociaż dziwił ją spokój lady Padbury.

- Kapitan Ashton nie jest kaleką. Był ranny na wojnie i niedługo wraca na front. A jeśli chodzi o kłamstwo, czy sądzisz, że nie zauważył, iż nie tańczysz?

- Może i tak - przyznała Lydia - ale żaden z pozostałych dżentelmenów nie wiedział, że oszukałam kapitana.

- A jeśli widzieli, że mu odmawiasz, i nie chcieli podchodzić?

- Albo kapitan powiedział o tym swoim znajomym? - wtrąciła wicehrabina.

- To byłoby bardzo niegrzeczne z jego strony!

- A ty postąpiłaś grzecznie? Zresztą nie wiemy, czy w ogóle powiedział cokolwiek innym panom. Ale nawet jeśli tak i jego słowa sprawiły, że jacyś panowie do ciebie nie podeszli, nie zmienia to faktu, że zachowałam się bardzo nieuprzejmie.

- Ale...

- Każde działanie ma swój skutek. Mam jednak nadzieję, że wyciągniesz wnioski z tej lekcji i nie będziesz więcej tak postępować.

Lydia energicznie kiwnęła głową.

- A więc - Karla uśmiechnęła się - kogo chętnie być dziś zobaczyła u nas w salonie?

- Lorda Selwyna, pana Martina i sir Henry'ego Smythe'a.

Karla pamiętała tylko pierwszego z wymienionych mężczyzn.

- A ty, Caroline? - spytała wicehrabina. - Kto według ciebie nas odwiedzi?

Było to trudne pytanie.

- Myślę, że to zależy od tego, którzy panowie będą dziś występować na wieczorku muzycznym u pani Broughton.

Lydia otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Panowie będą występować?

- I to niejeden.

- Kto? - krótko zapytała macocha.

Lydia nie chciała iść na ten wieczorek, więc razem z matką wybierały się na inne przyjęcie. Karla miała iść do pani Broughton z lady Blackburn.

- Lord Howe, lord Weymouth i lord Bellingham. - Tina miała akompaniować baronowi, a Beth zagrać duet z księciem, a potem trio z nim i jego ojcem. - Harriett wspomniała też chyba o wicehrabi Dunnleyu.

Lydia zerknęła niepewnie na matkę. Karla przestraszyła się, że zmienią swoje plany. Wicehrabina skinęła służącemu, by dolał jej kawy.

- Kto jeszcze?

- Nie pamiętam innych dżentelmenów.

- Pytam - powoli i wyraźnie wyjaśniła wicehrabina - które z dziewcząt będą występować.

- Harriett oczywiście - spokojnie odparła Karla. - Beth Castleton, Tina Fairchild, Debora Woodhurst, Sara Mallory. - Zmarszczyła brwi,

przypominając sobie pozostałe nazwiska. - Panna Applegate, pani Kincaid, lady Sherworth...

- Aż tyle?

Lydia najwyraźniej sądziła, że zanosi się na nudny wieczór.

- I jeszcze kilka innych.

Karla uśmiechnęła się pewna, że wicehrabina nie zmieni decyzji.

- Lydia i ja idziemy na ciekawsze przyjęcie. Ty, Caroline, już przyjechałaś zaproszenie pani Broughton.

Zadowolona Lydia klasnęła w dłonie. Karla kiwnęła jedynie głową, by nie zdradzać swojej radości. Lady Padbury uśmiechnęła się do córki.

- Jeśli skończyłaś, idź na górę i zdecyduj, którą suknię dziś założysz.

Gdy Lydia wyszła, wicehrabina odesłała służbę. Karla przygotowała się na najgorsze.

- Caroline, życzę sobie, żebyś zakończyła swoją znajomość z Beth Castleton.

- Słucham? - Karla nie wierzyła własnym uszom.

- Musisz zakończyć...

- Słyszałam, ale nie rozumiem dlaczego.

- Panna Castleton nie jest tak dobrze wychowana, jak się wszystkim wydawało.

Karla potrząsnęła głową.

- Nie wierzę.

- Wczoraj na balu słyszałam plotkę, że...

- Plotkę? - zdziwiła się Karla. - Przecież plotki zwykle nie mają nic wspólnego z prawdą.

- Nieważne. Prawdziwa czy nie, ta plotka zrujnuje Beth Castleton.

Pewność siebie macochy była zastanawiająca, ale Karla nie wierzyła, że jej przyjaciółka mogła kiedykolwiek zachować się niegodnie.

- O co chodzi? I kto rozpowiada tę plotkę?

Wicehrabina pochyliła się do przodu.

- Lady Moreton powiedziała mi, że panna Castleton i lord Weymouth podróżowali ze Szkocji do Londynu jako małżeństwo.

Karla roześmiała się.

- To śmieszne.

- Lady Moreton usłyszała tę wiadomość od kogoś, kto przebywał w tym samym zajeździe.

- Beth była w Szkocji na przyjęciu. - Z tego co pamiętała Karla, tam właśnie Beth poznała Elstona. - Gdzie była lady Julia, gdy Beth niby to romansowała z księciem?

Wicehrabina wyglądała na zaskoczoną. Najwyraźniej w ogóle nie myślała o szacownej ciotce Beth.

- Ta plotka nie może być prawdziwa. - Karla kuła żelazo póki gorące. - Musiał ją wymyślić ktoś, kto zazdrości Beth.

- Być może, ale udało mu się zaszkodzić reputacji panny Castleton.

- Nikt, kto zna Beth, nie da wiary tej plotce. Inni goście, którzy uczestniczyli w tym przyjęciu i podróżowali z nimi do Londynu, na pewno powiedzą wszystkim, jak było naprawdę.

- Prawdopodobnie.

- Wszyscy się wkrótce przekonają, że to nie może być prawda - oznajmiła Karla, święcie wierząc, że tak właśnie się stanie.

- Nie powinnaś spotykać się z Beth Castleton, dopóki ta sprawa się nie wyjaśni.

- Czy dużo osób słyszało tę plotkę? - Karla zadała to pytanie, choć na odpowiedź czekała z drżeniem serca.

Wicehrabina wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Czy ktoś oprócz lady Moreton rozmawiał z tobą na ten temat?

- Nie, ale słyszałam, jak inni goście dyskutowali o tym.

- Ciekawe, czy Castletonowie wiedzą o tych oskarżeniach?

- Jak to sobie wyobrażasz, Caroline? Myślisz, że ktoś byłby na tyle odważny, żeby poruszyć tę kwestię z lady Julią?

Lady Padbury wzdrygnęła się na samą myśl o takiej sytuacji.

- Ktoś musi im powiedzieć - oznajmiła Karla. - Jeśli nie wiedzą, że taka plotka krąży, nie będą mogli się bronić.

- Nikt nie uwierzy pannie Castleton.

- Dlaczego? Przecież ona wie najlepiej, co się wydarzyło.

- Ale skłamałaby, żeby ocalić reputację.

Beth nie potrafiłaby kłamać, ale Karla nie miała zamiaru przekonywać o tym macochy. Co gorsza, wszyscy będą myśleć tak samo jak lady Padbury i coś trzeba było przedsięwziąć.

- Jeśli nie zamierzacie nigdzie wyjeżdżać dziś rano, chciałabym wziąć powóz i udać się do lady Blackburn.

- Jest za wcześnie na wizyty, Caroline. Zresztą zobaczysz się z Jane dziś wieczorem.

- Lady Blackburn pozwoliła mi przyjeżdżać do siebie o każdej porze. Chciałabym poprosić ją o radę w sprawie tej plotki.

- Caroline, zabraniam...

- Chciałabym - szybko wtrąciła Karła, by zmienić temat - żebyś poprawnie wymawiała moje imię albo nazywała mnie Karłą. Dobrze wychowane damy na pewno pomyślą sobie, że coś jest nie w porządku w naszej rodzinie, jeśli macocha i przyrodnia siostra przekręcają moje imię.

- Dobrze, Karlo - wycedziła wicehrabina. - Możesz wziąć powóz i jechać do lady Blackburn, ale odeślij go do rezydencji, jak tylko będziesz na miejscu. Lydia i ja chcemy dziś złożyć kilka wizyt towarzyskich. I nie wolno ci nic mówić lady Julii.

- Ale...

- Możesz powiedzieć pannie Castleton, ale nie waz się nadużywać zaufania lady Julii.

Karla nie widziała logiki w rozumowaniu macochy.

- Wydaje mi się, że całkowicie je stracę, jeśli ukryję przed nią, iż wiem o tej plotce.

Lady Padbury zmarszczyła brwi.

- Jeśli panna Castleton będzie nalegała, powiedz lady Julii. Ale lepiej byłoby, gdyby powiedziała jej o tym jakaś starsza osoba.

- Ty?

- Wykluczone! Nie chcę się narazić lady Julii. Może Jane...

- Dobrze. - Karła wstała od stołu i podeszła do drzwi. - Muszę się przebrać. Powóz odeślę natychmiast po przyjeździe. Lady Blackburn na pewno odwiezie mnie do domu.

Robert obudził się zdezorientowany i podniecony. Całą noc śniły mu się Karła albo panna Lindquist. Kobieta, którą widział w marzeniach, wyglądała jak Karła, ale twierdziła, że nazywa się Catherine Lindquist.

Odwrócił się na plecy i wyrównał oddech. Do tej pory nigdy nie śniły mu się kobiety, a nawet jeśli tak, to rano o tym nie pamiętał. W zasadzie nie powinien się dziwić, że przyśniła mu się akurat Karła. Po tygodniach oczekiwania wczoraj wreszcie udało mu się ją spotkać.

Tyle że w jego śnie zajmowali się czymś o wiele bardziej intymnym niż tylko odnawianiem dawnej przyjaźni! Biorąc pod uwagę, że Karla i panna Lindquist były kuzynkami, rzeczywiście mogły być do siebie podobne. Na pewno były tego samego wzrostu. Ale dlaczego teraz właśnie zjawiły się w jego snach?

Na razie nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zresztą miał inne, bardziej palące problemy do rozwiązania. Odrzucił kołdrę i wstał, po czym zadzwonił po lokaja. O jedenastej umówił się w rezydencji Bellinghamów z Dunnleyem. Liczył na to, że do tej godziny George już wróci z Dorsetshire. Jeśli nie, poinformują o złośliwej plotce ojca George'a. Robert podejrzewał, że wie, kto jest autorem nieprawdziwej pogłoski, ale potrzebował niezbitego dowodu.

Późnym popołudniem Karla i lady Blackburn udały się do rezydencji Castletonów. Karla chciała przyjść wcześniej, ale hrabina słusznie zauważyła, że nawet jeśli Beth ćwiczy w domu przed wieczornym występem, lady Julia najprawdopodobniej wyszła do znajomych. Lady Blackburn uważała, że złe wieści najlepiej przekazywać wtedy, gdy wokół są życzliwe osoby, które będą gotowe zaoferować pomoc i radę. Karla nie mogła nie zgodzić się z tak logicznym rozumowaniem i cierpliwie czekała, aż nadejdzie odpowiednia pora, by złożyć wizytę.

Gdy sięgała po kołatkę, drzwi otworzyły się. Elston cofnął się, by wpuścić panie, i przywitał je z uśmiechem.

- Dzień dobry, lady Blackburn... Panno Lane.

Po markizie tymi samymi słowami powitał je kamerdyner.

- Dzień dobry, lordzie - odparła Karla i odwzajemniła uśmiech. - Witaj, North.

Gdy markiz kłaniał się hrabinie, kamerdyner zręcznie wziął od niego pudło, które wyglądało jak futerał na ogromne skrzypce.

- Nie wiedziałam, że pan jest muzykiem - zdziwiła się Karla. - Czy wystąpi pan na dzisiejszym wieczorku?

- Jestem almistą. Tak, będę dziś grał u Broughtonów. Bellingham przekonał mnie, że powinienem się przyłączyć. Początkowo miałem zastąpić Weymoutha, żeby Beth mogła zagrać to, co sobie zaplanowała. Ponieważ jednak George już wrócił, Bellingham postanowił poszerzyć repertuar.

Karla ucieszyła się na wiadomość, że wieczorem znowu spotka się z Elstonem.

- Oprócz duetu i tria będzie jeszcze kwartet?
- Na początku miały być dwa duety i trio. Teraz ustaliliśmy, że będą trzy duety, trio i kwartet.

- Czy wystąpi pan i w duecie, i w kwartecie?

- Tak - z dumą odparł Robert.

- Chętnie posłucham państwa występu. Słyszałam, że Beth jest wyjątkowo utalentowana, podobnie jak lord Weymouth i lord Bellingham. Śmiem twierdzić, że pan także zasługuje na ten komplement.

- Nie jestem tak zdolny jak oni, ale wiele lat grałem z Winterbrookami i bardzo dobrze wspominam ten okres. Rzadko występuję publicznie, więc - Robert uśmiechnął się - cieszę się, że wśród publiczności będę miał tak oddaną przyjaciółkę.

- Dlaczego... - Karla urwała, bo nagle uświadomiła sobie, że jeśli Elston spędził część popołudnia z Beth i George'em, na pewno wie, czy są oni świadomi ohydnej plotki krążącej na ich temat.

Nie chciała jednak zadawać tego pytania w obecności kamerdynera, który stał obok.

- Dlaczego co, panno Lane? - zdziwił się Elston.

- Och, to nieistotne. Ale... - znów speszona nie dokończyła.

Markiz rozwiązał ten problem.

- North, nie wiesz, czy moglibyśmy wejść do saloniku na kilka minut?

- Ależ oczywiście, lordzie.

Kamerdyner zaprowadził ich do pokoju, po czym zamknął za sobą drzwi. Karla i hrabina usiadły na sofie. Elston przysunął sobie do nich krzesło.

- O co chciała mnie pani zapytać?

Karla nie wyobrażała sobie, że tak trudno będzie jej poruszyć ten temat.

- Przy śniadaniu macocha powiedziała mi, że podczas wczorajszego balu ktoś podzielił się z nią ohydną plotką na temat Beth i Weymoutha. Stwierdziłam, że Beth i lady Julia powinny się o tym dowiedzieć, aby mogły się bronić. Zasięgnęłam w tej sprawie rady lady Blackburn i ona łaskawie zgodziła się towarzyszyć mi. - Przerwała na chwilę. - Gdy rozmawialiśmy w korytarzu, przyszło mi do głowy, że pan być może wie, czy Beth i lady Julia wiedzą już o tej pogłosce.

Elston przyjrzał się Karli baczny wzrokiem.

- Czy macocha powiedziała pani, czego dotyczy ta plotka?

- Gdy ją o to spytałam. Jak ktoś może w ogóle dać wiarę takiemu oczywistemu kłamstwu! - oburzyła się Karla.

- Niestety arystokracji nie interesuje, czy plotka jest prawdziwa, czy nie.

- Chyba tak - westchnęła Karla. - Wiem, że Beth brała udział w przyjęciu w wiejskiej rezydencji w Szkocji. Powiedziałam macosze, że prawdopodobnie inni goście wracali do Londynu razem z Beth i Weymouthem i będą mogli dowieść nieprawdziwości tej plotki. Nie wiem jednak, kto brał udział w tym przyjęciu. Wydaje mi się, że Beth wspomniała, iż pan był z nimi w Szkocji.

Markiz przytaknął.

- Ma pani rację. Tam poznałem Beth. I wiem, że w tej plotce nie ma nawet ziarnka prawdy, bo wracałem do Londynu razem z panną Castleton i Weymouthem.

- Pan najwyraźniej słyszał tę plotkę, Robercie - powiedziała lady Blackburn - ale nie odpowiedział pan na pytanie Karli. Czy Castletonowie o niej wiedzą?

- Tak. Weymouth przekazał wiadomość Beth, a Dunnley, Bellingham i ja poinformowaliśmy lady Julię. Dunnley zamierzał dziś po południu dowiedzieć się, kto rozpuścił tę pogłoskę.

Działania podjęte przez Elstona były godne pochwały, ale Karle niepokoiło, jak teraz czuje się jej przyjaciółka.

- Beth musi być zrozpaczona. Chciałabym jej jakoś pomóc.

- Jak Dunnley chce się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za to zamieszanie? - spytała lady Blackburn.

Elston odpowiedział najpierw hrabinie.

- Wczoraj wieczorem przypadkiem usłyszałem, jak lady Cathcart mówi o tym pani Phillips. Gdy ją wprost o to zapytałem, przyznała, że z nią rozmawiała lady Smithson. Potem moja matka chrzestna chciała się dowiedzieć ode mnie, ile w tej pogłosce jest prawdy. Ją z kolei poinformowała lady Moreton. Dunnley miał dziś złożyć wizytę lady Smithson i lady Moreton, a później odwiedzić osoby, od których one dowiedziały się o całej sprawie. - Zwrócił się do Karli. - Może pani pomóc Beth, wspierając ją w tych trudnych chwilach...

- Oczywiście, że to zrobię!

- Proszę też spytać macochę, kto z nią podzielił się tą informacją - dokończył z uśmiechem Elston.

- Lady Moreton.

- Miejmy nadzieję, że liczba osób, które słyszały plotkę, okaże się niewielka i Dunnley pozna dziś nazwisko tego, kto próbuje zniszczyć reputację Beth.

- Ze względu na Castletonów modłę się, by tak się stało - powiedziała lady Blackburn. - Jeśli nie, proszę mnie powiadomić. Ja także chciałabym się do czegoś przydać.

- Dziękuję, hrabino. - Elston wstał. - Przykro mi, że muszę już iść. Chcę poćwiczyć przed dzisiejszym występem. Czy mogę odprowadzić panie do domu?

Robert nie zamierzał się poddawać, mimo niezbyt udanych prób przedstawienia prawdy o podróży Beth i George'a członkom klubu, do którego należał. Uznał nawet, że to zadanie jest ważniejsze niż przygotowania do wieczornego występu.

Do rezydencji Broughtonów przybył w towarzystwie George'a i jego ojca, Castletonów oraz Dunnleya. Robert z przyjacielem szli na przedzie, za nimi podążała Beth pod ramię z Bellinghamem, a pochod zamykali Dunnley, lady Julia i księżę Castleton. Robert miał nadzieję, że jeśli będzie się publicznie pokazywał z Beth i zaprzeczał ohydnej plotce, arystokracja zacznie wątpić w prawdziwość pogłoski o złym prowadzeniu się panny Castleton.

Bellingham natomiast zamierzał zwrócić uwagę towarzystwa na Beth ich wspólnym występem u pani Broughton. Pragnął przekonać wszystkich, że Beth jest piękną, inteligentną, utalentowaną, szczerą, serdeczną i niewinną młodą dziewczyną.

Pani Broughton powitała Beth uprzejmie, ale chłodno. Harriett za to przyjęła ją z otwartymi ramionami. Jeśli nawet słyszała obrzydliwe pomówienie, nie dała mu wiary. Podobną lojalność wobec przyjaciółki wykazała Karla. Jej zachowanie było tym bardziej godne podziwu, że znała pannę Castleton zaledwie od tygodnia. Tego dnia Harriett i Karla zyskały w oczach Roberta. Karla przesunęła się nawet na pierwsze miejsce na jego liście ewentualnych narzeczonych i wyprzedziła Deborę. Na następnym miejscu znalazła się Harriett mimo swojej nieśmiałości, daleko za nimi była lady Sara.

Beth w białej muślinowej sukni haftowanej różyczkami weszła do salonu Broughtonów spokojna i opanowana. Wraz z Bellinghamem dołączyła do stojących w rogu pokoju Roberta i George'a.

- Pani Broughton jest zachwycona naszym rozszerzonym repertuarem - oznajmił Bellingham, gdy usiedli. - Będziemy występować jako ostatni.

- Mam nadzieję - odparła Beth - że nerwy nie odmówią mi wcześniej posłuszeństwa.

Robert miał podobne odczucia.

- Trema przed występem jest naturalna. A nawet pożądana, bo pozwala się lepiej skupić.

- A więc dziś wszystkich oczarujemy.

- Tak trzymać - uśmiechnął się Bellingham i kiwnął głową z aprobatą.

W oczekiwaniu na występy Robert i wuj Beth przeszli się z dziewczyną po salonie. Kilkoro gości spojrzęło krzywo na pannę Castleton, ale tylko dwie osoby otwarcie zrobiły aluzję do plotki. Robert wyniośle zaprzeczył pogłoskom. Stanowczym tonem oznajmił, że podróżował ze Szkocji do Anglii z Weymouthem. Nikt nie musi wiedzieć, że Beth też z nimi jechała i jakie były przyczyny, dla których musieli przedsięwziąć tę wyprawę.

Wszyscy siedmioro uspokoił się, gdy rozpoczęły się występy. Program rozpoczęła Harriett Broughton arią Handla i szkocką balladą. Równie dobrze zaczęła lady Christina Fairchild sonatą fortepianową Mozarta, ale w drugim utworze, prostej melodii ludowej, popełniła błąd i czym prędzej zakończyła grę. Lady Debora Woodhurst idealnie wykonała fortepianową sonatę Beethove - na, ale Sara Mallory, która występowała po niej, już tak nie zachwyciła publiczności.

Gdy pani Broughton ogłosiła przerwę, Robert skwapliwie zaproponował:

- Panno Castleton, czy mogę odprowadzić panią do jadalni na kolację?

- Dziękuję, lordzie. - Beth ujęła go pod ramię drżącą ręką. - Jeśli to możliwe, chciałabym usiąść obok Tiny i Harriett.

Robert kiwnął głową, choć wątpił, by te dwie młode damy o tak różnych charakterach zajęły miejsca obok siebie.

- Zmarzła pani? - spytał szeptem, gdy przekonał się, że palce Beth są zimne jak lód.

- Nie, jestem zdenerwowana.

Robert nie wiedział, czy Beth martwi się ich występem, czy raczej boi się nieprzychylnych spojrzeń i uwag. Przykrył jej dłoń swoją, by ją ogrzać.

Beth najwyraźniej знаła swoje przyjaciółki lepiej niż Robert. Gdy znaleźli się w jadalni, okazało się, że Harriett rzeczywiście siedzi obok Tiny. Przy tym samym stole zajęły miejsca Debora, Karla i Sara. Robert odsunął krzesło dla Beth, po czym nałożył jej i sobie kolację. Do ich grupy po chwili dołączył Dunnley.

Zwykle na przyjęciach towarzyskich przy stołach siadało po tyle samo pań i panów, ale wieczorki muzyczne stanowiły wyjątek. Dżentelmeni raczej nie gustowali w tego typu rozrywkach i tego dnia większość gości stanowiły kobiety, głównie młode damy i ich matki lub opiekunki. Robert naliczył w sali zaledwie czternastu mężczyzn.

Gdy Beth pochwaliła przyjaciółki, markiz dodał kilka komplementów od siebie. Lady Christina była tak niezadowolona ze swojego występu, że nie przyjmowała do wiadomości żadnych pochwał.

- Grałaś naprawdę bardzo dobrze, Tino, nawet pomimo tego jednego błędu - powiedziała Beth. - Nie zmieszałaś się i skończyłaś utwór. Ja kiedyś tak mocno przewróciłam kartkę z nutami, że wyrwałam ją z zeszytu, a ona poszybowała w publiczność.

Wszyscy roześmiali się, wyobrażając sobie tę scenę.

- Mnie kiedyś przydarzyło się to samo - wyznał Robert. Pocieszona Christina spytała:

- A czy rzuciliście się w pogoń za nutami i dokończyliście utwór?

Beth uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

- Ja też - odparł Robert - ku ogromnemu niezadowoleniu dyrygenta. Później zawsze krzywił się z niesmakiem na mój widok.

Po kolacji Harriett szepnęła coś do Tiny, która z kolei powiedziała coś na ucho Karli. Z ust panny Lane natychmiast zniknął uśmiech. Robert zaniepokoił się.

- Coś się stało?

- Tina, Harriett, Debora i Sara chcą okazać Beth swoje wsparcie i wspólnie z nią zaśpiewać. Ale my tylko raz przeciwiczyłyśmy tę piosenkę i obawiam się, że będę zbyt zdenerwowana, żeby wystąpić

nawet w grupie. - Karla zacisnęła dłonie w pięści. - Chcę pomóc Beth, ale...

- Ona nic nie mówiła o...

- Jeszcze jej nie poprosiły. Obawiam się, że chyba wcale nie zamierzają jej uprzedzać.

Z tonu dziewczyny wynikało niezbiecie, że według niej ta niespodzianka wcale nie spodoba się Beth. Robert myślał podobnie. Beth już teraz była wystarczająco spięta. Zerknął na Dunnleya ponad głową panny Castleton i spojrzał wymownie w kierunku salonu.

Wicehrabia wstał.

- Beth, czy mógłbym panią odprowadzić do salonu?

Robert poczuł na sobie spojrzenie Beth, ale nie podniósł głowy, żeby sądziła, iż on kończy deser. Podstęp zadziałał.

- Tak, dziękuję.

Tina wstała ze swojego miejsca i uściskała Beth, zapewniając ją o swojej lojalności. Robert obawiał się, że Beth może być trudno się opanować, ale ona zebrała siły i przytuliła przyjaciółkę.

Gdy Beth i Dunnley opuścili jadalnię, Robert zwrócił się do dziewcząt:

- Drogie panie, chciałbym pochwalić was za to, że pragniecie wspólnie wesprzeć Beth w trudnych dla niej chwilach, ale obawiam się, iż wasza niespodzianka może przynieść więcej szkody niż pożytku.

- Ale ona jest taka spokojna - sprzeciwiła się Harriett.

- Tylko na taką wygląda - ponuro odparła Tina. - Gdy ją uścisnęłam, o mało nie wybuchnęła płaczem.

- Myślę, że wzruszyła ją pani swoją publiczną demonstracją uczuć. Ludzie różnie reagują w trudnych sytuacjach: uciekają albo walczą, płaczą albo załamują ręce. Beth na pewno będzie walczyć.

- Jak my - Tina szerokim gestem objęła cztery przyjaciółki - możemy jej pomóc?

Robert zastanowił się.

- Możecie zrobić dwie rzeczy, ale najpierw chcę wam coś powiedzieć. Podejrzewam, że stoicie po stronie Beth, bo jesteście lojalne wobec swojej przyjaciółki. Musicie wiedzieć, że plotka dotycząca panny Castleton i Weymoutha jest całkowicie nieprawdziwa, zmyślona od początku do końca. Weymouth był w Szkocji tylko raz w ciągu ostatnich dwóch lat i ja towarzyszyłem mu

w podróży powrotnej. Beth była z nami i zatrzymywała się w tych samych zajazdach i gospodach co my, ale nigdy w jednym pokoju z Weymouthem. - Robert przerwał i spojrzał każdej dziewczynie w oczy. - Jeśli możecie, nadal wspierajcie Beth. Przekonajcie swoje rodziny i znajomych, że pogłoski na temat złego prowadzenia się panny Castleton są nieprawdziwe. Powiedzcie im też, skąd o tym wiecie.

Karla dotknęła ręki Elstona.

- Dziękujemy panu, lordzie.

- Tak, dziękujemy - powtórzyły Debora, Christina i Harriett.

Sara tylko kiwnęła głową.

- A teraz wracamy do salonu na drugą część programu. - Robert wstał i odsunął Karli krzesło. - Czy mogę odprowadzić panią na miejsce?

Uradowana Karla przyjęła ramię Elstona. Gdy nikt ich nie słyszał, jeszcze raz wyraziła swoją wdzięczność i dodała:

- Bardzo chcieliśmy okazać Beth nasze wsparcie, ale nie wiedzieliśmy jak. Dzięki panu już wiemy.

- Cieszę się, że mogłem okazać się pomocny.

Kiedy Karla zajęła miejsce obok lady Blackburn, Robert wrócił na swoje krzesło w kącie pokoju. Karla nie mogła się doczekać końcowej części programu, a szczególnie występu Elstona i Beth z Winterbrookami.

Druga część występu była tak samo dobra jak pierwsza. Tina i lord Howe wykonali wspólnie fragment oratorium Handla Mesjasz. Potem lord Howe i sześciu innych dżentelmenów zaśpiewało dwa uroczy madrygały. Jednak najlepszy występ był na końcu.

Rozpoczęli go Beth i Elston duetem na skrzypce i altówkę, potem panna Castleton zagrała trio z lordem Weymouthem i Bellinghamem oraz duet z księciem. Czwarty utwór, kwartet Beethovena (lord Bellingham ogłaszał tytuł utworu i jego kompozytora przed rozpoczęciem gry) tak bardzo podobał się publiczności, że otrzymali owacje na stojąco. Wreszcie Beth i lord Bellingham wykonali duet Bacha na altówkę, który wywołał burzę oklasków i prośby o bis.

Sądząc po przerażonej minie Beth, artyści nie byli na to przygotowani. Po krótkiej konsultacji z Beth lord Bellingham oznajmił, że panna Castleton wykona solo kantatę Bacha. Był to najpiękniejszy utwór, jaki Karla słyszała w swoim życiu. Gdy Beth

skończyła, zapadła chwila ciszy, a potem rozległy się oklaski tak gromkie, że szyby w oknach drżały. Lord Bellingham chciał odprowadzić Beth na miejsce, ale uszli zaledwie kilka kroków, gdy otoczyli ich goście, by pogratulować pannie Castleton.

Karla nie chciała przepychać się przez tłum i ze łzami wzruszenia w oczach odeszła z lady Blackburn na swoje miejsce. Gdy w końcu podeszła do nich Beth, Karla uściskała ją z całej siły. W nagrodę usłyszała od Elstona: „Dziękuję ci, droga przyjaciółko”.

Rozdział 12

W środę przebudzenie Roberta wyglądało tak samo jak poprzedniego dnia - z tego samego powodu. Sny, w których wciąż nie potrafił odróżnić Karli od panny Lindquist, zaczęły go niepokoić. Stwierdził więc, że w tej sytuacji najlepiej mu zrobi przejażdżka po Hyde Parku. Miał nadzieję, że George, który zwykle towarzyszył mu podczas porannych wypraw, nie zwróci uwagi na jego dziwne zachowanie. Nie miał ochoty zwierzać się nikomu, nawet przyjacielowi, z dręczących go myśli.

Okazało się, że niepotrzebnie się martwił. George i jego kuzyn czekali już w parku. Robert przyłączył się do nich.

- Uważam, że dzięki pana zdecydowanemu stanowisku - zaczął interesujący wszystkich temat Dunnley - ludzie przestali emocjonować się tymi plotkami. Wczoraj w klubie nawet gdy ktoś wspomniał o tej historii, zaraz ktoś inny przedstawiał pana wersję wydarzeń. Panowie zaczynają sądzić, że na Beth rzucają oszczerstwa. Jeśli chodzi o panie, wydaje mi się, że jej wczorajszy występ wpłynie na zmianę ich zdania.

- Tak? - r Robert nie widział związku między reputacją Beth i jej talentem.

- Tak. Gdyby nie wystąpiła albo fałszowała, wszyscy uważaliby, że dręczy ją poczucie winy. A ponieważ niewątpliwie jej występ zdobył wczoraj największe uznanie, nikt nie pomyśli, że Beth ma coś na sumieniu.

- Nie brzmi to logicznie - mruknął George.

- Od kiedy to arystokracja myśli logicznie? - odparował Dunnley.

Robert i George przyznali mu rację. Troszcząc się o dobre imię Beth i nie chcąc pozostawiać niczego przypadkowi, zaplanowali ten dzień z dokładnością, której nie powstydziliby się dowódcy armii Wellingtona.

Robert chciał odwiedzić Karłę, lady Deborę, Harriett Broughton i lady Sarę, ale wiedział, że raczej całe popołudnie spędzi w rezydencji Castletonów, zadając kłam ohydnej plotce podczas przyjęcia lady Julii. Wiedział, że w rezydencji Padburych i Kestevenów zostałby przyjęty nawet całkiem rano, ale Broughtonów i Mallorych nie znał na tyle dobrze, by odważyć się na wizytę o zbyt wczesnej porze. Gdy wyjechał z parku, zamówił bukiety kwiatów dla wszystkich czterech dam. Miał nadzieję, że dzięki temu gestowi pozostanie w ich łaskach.

Był przekonany, że i tak zobaczy się z nimi dziś na balu u Almacka. Lady Debora i lady Sara na pewno miały już karnety, podobnie jak Harriett Broughton. Ponieważ Karla go jeszcze nie otrzymała, postanowił dziś odwiedzić najpierw ją.

Prezent Elstona sprawił Karli ogromną przyjemność. Oczywiście i wcześniej dostawała bukiety, ale różowe pączki róż od markiza były ładniejsze od wszystkich pozostałych. Nawet od pięknej wiązanki, którą po balu u lady Throckmorton przesłał jej Blackburn. Karla miała nadzieję, że kwiaty Elstona oznaczały, iż chce on kontynuować ich przyjaźń.

Gdy przyszedł z wizytą - wcześniejszą niż nakazywała etykieta - była w siódmym niebie. Jej radość potęgował fakt, że akurat tego dnia miała na sobie jedną ze swoich ulubionych sukien: tę z błękitnego muślinu wykończoną delikatną koronką. Nastrój nieco psuła jej niedawna sprzeczka z macochą, ale postanowiła o niej nie myśleć. Z jednej strony liczyła na to, że Elston przyszedł wcześniej, bo nie mógł się doczekać, żeby ją zobaczyć, z drugiej rozsądek podpowiadał jej, iż prawdopodobnie po południu miał ważniejsze spotkania.

- Dzień dobry, lady Padbury... Karlo. Karla uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, lordzie.

- Dzień dobry, lordzie Elston. Jak to miło, że nas pan odwiedził. - Wicehrabina wskazała mu krzesło. - Pójdę na górę i sprawdzę, co robi Lydia. Wiem, że przyszedł pan się z nią zobaczyć.

Gdy lady Padbury opuściła pokój, Robert usiadł na sofie obok Karli.

- Mam nadzieję, że pani nie zawstydzę, jeśli powiem, że ślicznie pani wygląda.

- Dziękuję za komplement.

- Czasem nie jest łatwo powiedzieć prawdę, ale - Robert uśmiechnął się - w tym przypadku jest to dla mnie przyjemność.

- Dziękuję. - Zawstydzona Karla spuściła wzrok. Ścisnęło jej się serce, gdy pomyślała, że Elston odrzuci jej przyjaźń, gdy opowie mu o oszustwie, którego się dopuściła. - Dziękuję także za wczorajszą pomoc.

- Nie ma za co. - Po chwili wahania Robert dodał: - Mam nadzieję, że zawsze będzie mnie pani prosić o pomoc, gdy będzie jej potrzebowała.

Niewątpliwie powiedział to szczerze. Serce Karli zabiło mocniej.

- Dziękuję. Naprawdę jest pan moim przyjacielem.
- Czy pojedzie pani jutro ze mną na przejażdżkę do parku?

Karla uśmiechnęła się.

- Bardzo bym chciała, ale macocha ma chyba inne plany.
- Wobec tego zapytam panią o to ponownie, gdy lady Padbury

wróci do salonu.

- Czy jest pan dobrym jeźdźcem? - spytała Karla. Robert zdziwił się.

- Jestem członkiem klubu jeździeckiego, jeśli o to pani pyta.
- Niezupełnie, ale już znam odpowiedź na swoje pytanie.

Robert nadal nie rozumiał, więc wyjaśniła:

- Niektórzy panowie słyną ze swoich zdolności bokserskich albo strzeleckich... Zastanawiałam się, jaki jest pana ulubiony sport. Najwyraźniej jeździectwo.

Robert zawahał się.

- Jeździectwo i fechtunek - powiedział w końcu.
- No i gra na altówce - dodała Karla.
- Aż do wczoraj niewiele osób wiedziało, że mam talent muzyczny.

- Dlaczego? - Ja...

Wejście lady Padbury i Lydii uratowało go z opresji Karla chciała się o nim dowiedzieć czegoś więcej, ale w obecności macochy nie odważyła się zapytać. Obawiała się też, że Elston wspomni o panie Lindquist, i zrozumiała, że musi jak najszybciej wyznaczyć swoje kłamstwa. Markiz wyszedł dość szybko, ale nie omieszkał poprosić, by Karla towarzyszyła mu jutro podczas przejażdżki do parku. Ku zaskoczeniu Karli macocha nie tylko zgodziła się na to spotkanie, ale nawet nie nalegała, by pojechała z nią Lydia.

Czwartkowy ranek niczym nie różnił się od dwóch poprzednich z wyjątkiem pogody. Ulewny deszcz uniemożliwił Robertowi wycieczkę do parku. Pluchy nie wystraszył się George, który odwiedził markiza jeszcze przed śniadaniem.

- George! Co cię sprowadza tak wcześnie? W dodatku w taką okropną pogodę? - spytał Robert, chociaż doskonale znał powód wizyty. - Siadaj, Baxter należy ci kawy.

Weymouth przycupnął na krześle. Wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka. Robert polecił kamerdynerowi podać gościowi

śniadanie. Baxter spełnił tę prośbę, nalał obu dżentelmenom kawy i wyszedł z jadalni.

Robert uświadomił sobie, że do tej pory nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytania od przygnębionego przyjaciela. Przypomnił sobie, że poprzedniego dnia Beth odebrano jej karnet do Almacka, gdy tylko się tam zjawiała.

- George? - Ponieważ przyjaciel nie zareagował, Robert powtórzył znacznie głośniejszym głosem: - George!

Weymouth zerwał się z krzesła i stanął na baczność, mimo że w wojsku obaj mieli tę samą rangę.

- Zamierzasz tak siedzieć cały czas, czy powiesz mi, co cię gryzie? - spytał Robert.

George potarł dłońmi twarz, po czym przeczesał palcami włosy. Markiz wiedział, co ten gest oznacza: wzburzenie.

- To moja wina, że Beth ma zniszczoną reputację.

Arabella i jej kuzynka wymyśliły to idiotyczne porwanie, żeby zmusić mnie do małżeństwa. Beth spełniała dobry uczynek, gdy próbowała uwolnić moją siostrzenicę. Potem uratowała mnie ze szponów Arabelli, a teraz musi cierpieć z mojego powodu. Miała wstrząs mózgu, została postrzelona. Jej reputacja została nadszarpnięta. To Arabella rozpuściła tę ohydłą plotkę.

Robert kiwnął głową. Znał już historię porwania.

- Ale - westchnął George - Beth chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Rozumiem, dlaczego odrzuciła moje oświadczenia, ale przecież my nie zrobiliśmy nic nieprzyzwoitego. Ty i nasze rodziny wiedzieliście, że podróżujemy razem.

Robert powstrzymał się, by nie wytknąć George'owi, że ich wspólna podróż była skandalem w oczach społeczeństwa głównie dlatego, że żaden z nich nie był krewnym Beth. On sam dobrze wiedział, że jechali razem tylko i wyłącznie ze względów praktycznych. Nie chodziło o stworzenie okazji do cudzołóstwa.

- A wczoraj wieczorem?

Po wyjściu z Almacka cała grupa udała się do rezydencji Castletonów. Gdy lady Julia zaprosiła ich na późną kolację w saloniku, George został w salonie z Beth. Miał okazję oświadczyć się i na pewno z niej skorzystał.

- Też cię odrzuciła?

- Tak - ponurym tonem odparł George.

- Czy podała jakiś powód?

- Ten sam co wcześniej: Nie chce mnie zmuszać do małżeństwa z rozsądku.

Robert zastanawiał się, kiedy jego przyjaciel, jeden z najwybitniejszych członków Królewskiego Towarzystwa Matematycznego, wreszcie uświadomi sobie, że kocha Beth. Po dwóch wspólnie spędzonych dniach Robert był przekonany, że z wzajemnością.

Rozważając perypetie miłosne przyjaciela, markiz nie usłyszał początku wypowiedzi George'a.

- ... lubię Beth. Lubię, szanuję i podziwiam ją. Na pewno bylibyśmy szczęśliwym małżeństwem.

- Nie wątpię, ale nie byłby to związek zawarty z miłości, czy nie tak myślisz?

George skrzyżował ramiona na piersi.

- Z czasem mogłoby między nami pojawić się uczucie.

- Tak - zgodził się Robert, zastanawiając się, kogo przyjaciel próbuje przekonać: jego czy siebie.

- Do diabła! - George walnął pięścią w stół. - Jak mam namówić Beth, żeby za mnie wyszła?

- Czy naprawdę chcesz się z nią ożenić?

- Muszę się z nią ożenić. Powinienem się z nią ożenić.

- Dlaczego, George? - spytał cicho Robert. - Dlaczego tak to odczuwasz?

Wstał i wyszedł z pokoju, zostawiając przyjaciela pogrążonego w myślach.

Karla nie miała pojęcia, w co się ubrać na przejażdżkę z Elstonem, bo żadna siła nie zmusiłaby jej do założenia sukni z musztardowej krepy. Poza tym martwiła się, jak markiz zareaguje na wyznanie, którego nie mogła dłużej odkładać. Stała przed szafą i prawie godzinę szukała czegoś odpowiedniego. Żałowała, że nie ma przy niej lady Blackburn, Beth albo którejś z przyjaciółek. Karla bała się zaufać sugestiom macochy, Lydii czy nieznających się na modzie pokojówek. W końcu zdecydowała, że założy jasnoróżową suknię poranną, jedwabny spencer, różowe rękawiczki i słomkowy kapelusz ze wstążkami w tym samym odcieniu.

Gdy się ubrała, stanęła przed lustrem. Choć nie była w stroju odpowiednim na przejażdżkę, wyglądała całkiem... ładnie. Miała

nadzieję, że Elston też tak pomyśli. Z drugiej strony gdyby okazał jej lekceważenie, na pewno łatwiej byłoby jej wyznać prawdę o pannie Lindquist. Dlaczego - wyrzucała sobie - dlaczego pozwoliła, by owładnęła nią fałszywa duma?

Kiedy rozległo się stukanie do drzwi, była niemalże strzępkim nerwów. Na widok przyrodniej siostry w modnej błękitnej sukni zaczęły się jej trząść ręce. Podczas lunchu ani Lydia, ani lady Padbury nie wspomniały nic o wycieczce. Karla miała nadzieję, że Lydia nie sądzi, iż zaproszenie Elstona dotyczyło i jej.

Zanim Karla zdążyła porozmawiać z siostrą, zaanonsowano markiza. W ciemnozielonym surducie i kamizelce w szaro - zielone paski wyglądał wyjątkowo przystojnie. Po powitaniu z wicehrabiną i Lydią, ukłonił się Karli.

- Czy jest pani gotowa na przejażdżkę?

- Tak, lordzie.

Karla ujęła go pod ramię i razem ruszyli w stronę drzwi. Dziewczyna wstrzymała oddech, modląc się, by wyszli bez przeszkód.

Niestety nie udało się.

- Lordzie, a Lydia? - rozległ się głos lady Padbury. Elston odwrócił się zdziwiony.

- Lydia, madame?

- Tak. Chyba nie zamierza pan zabrać na przejażdżkę samej Caroline?

Markiz zacisnął zęby, ale gdy się odezwał, głos miał spokojny.

- Zaprosiłem tylko Karolinę. W moim kabriolecie są jedynie dwa miejsca. - Zawahał się, po czym dodał, zwracając się do Lydii: - Proszę o wybaczenie, jeśli wcześniej nie wyraziłem się jasno.

Ukłonił się i wyprowadził Karłę z salonu. Na schodach mruknął pod nosem coś niezrozumiałego. Przerażona zachowaniem macochy Karla nie wiedziała, co powiedzieć.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, wyjąkała:

- P - przepraszam, l - lordzie.

- Proszę mnie nie przepraszać za macochę.

- Ale...

Elston zatrzymał się i zmusił Karłę, by spojrzała mu w oczy.

- Karlo, pani nie odpowiada za zachowanie swojej macochy. Wiem, że nie miała pani nic wspólnego z tym... występem. -

Uśmiechnął się szelmowsko. - Jeśli lady Padbury upiera się, by ośmieszyć siebie i córkę, proszę im na to pozwolić.

W innych okolicznościach Karli spodobałby się ten żart, ale nie w tej chwili. Kiedy wsiedli do powozu, Elston zadrwił:

- Przyjaciele zwykle śmieją się ze swoich dowcipów.

- Nie na taki temat. - Karla spuściła wzrok.

- Co się dzieje, moja droga?

Troska, z jaką się do niej zwrócił, rozculiła Karłę niemal do łez.

- Później to wytłumaczę.

Po kilku chwilach ciszy Elston wziął do ręki wodze. Gdy dojechali do ulicy Audley, Karla odzyskała panowanie nad sobą.

- Jeszcze nigdy nie jechałam kabrioletem - odezwała się spokojnie.

- Wobec tego cieszę się, że wybrała się pani na swoją pierwszą przejażdżkę właśnie ze mną - nieco zdziwiony odparł Elston. - Jakim powozem jeżdżą młodzi dżentelmeni w Selby? Faetonem?

- Większość ma gigi.

Karla nigdy nie jeździła powozem na przejażdżki z młodzieńcami z Selby, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

- Gigi są także popularne w Gloucestershire. Znów zapadło milczenie.

- Czy był pan wczoraj na balu u Almacka? - spytała w końcu Karla.

- Nie rozmawiała dziś pani z Beth ani innymi przyjaciółkami?

Pytanie wydało się Karli retoryczne, ale odpowiedziała mimo wszystko.

- Nie.

Markiz zmarszczył brwi i skręcił w ulicę Upper Gros - venor.

- To był chyba najgorszy wieczór w historii Almacka. Gdy tylko Beth przekroczyła próg sali balowej, lady Jersey oznajmiła, że odbierają jej karnet.

- Słucham?!

- Beth zachowała się wspaniale. Spojrzała hrabinie prosto w oczy i spokojnym głosem stwierdziła, że jest jej przykro, iż ogólnie szanowane i szlachetne osoby wierzą w plotki. Potem z godnością, której mogłaby jej pozazdrościć królowa, opuściła Almacka. Dunnley i ja natychmiast wyprowadziliśmy lady Jersey z błędu, a później razem z lady Julią, George'em i jego ciotkami wróciliśmy do domu.

- Biedna Beth! Musi być zrozpaczona!

- Dziś rano w klubie dowiedziałem się, że wiele innych osób również wyszło po nas od Almacka - dodał z satysfakcją Robert. - Lady Blackburn oznajmiła, że to smutny dzień, gdy powszechnie poważana osoba próbuje zniszczyć reputację niewinnej młodej damy. Ona i jej syn także wrócili do domu. Księżna Greenwich stwierdziła, że jeśli taka pełna wdzięku, serdeczna i dobrze wychowana dziewczyna jak Beth Castleton nie zasługuje na karnet do Almacka, nikt inny też nie ma do niego prawa. I ona wyszła razem z lady Christiną. Markiza Kesteven powiedziała, że jeśli do Almacka nie wpuszcza się przyzwoitych dziewcząt, jej córki także nie będą tam przychodzić. Zabrała córki i męża i wszyscy opuścili salę.

- Jakie to wspaniale ze strony lady Blackburn, księżnej i lady Kesteven, że odważyły się publicznie bronić Beth! - Karla żałowała, że ona nie miała takiej okazji.

- Po tym skandalu matki jeszcze kilku dziewcząt zabrały swoje pociechy do domu. Może po to, by okazać swoją solidarność z Beth, a może po wypowiedzi markizy bały się, żeby ich córki nie uznano za źle się prowadzące. Albo dlatego, że większość dżentelmenów również opuściła salę.

- Oprócz Weymoutha, Dunnleya, pana, Blackburna i lorda Henry'ego?

Elston przytaknął.

- Wiem, że wyszli Brummell, Howe, Ashton, Radnor i Bruster. Pewnie nie tylko oni.

- Czy oni także stanęli w obronie Beth?

- Brummel i Ashton tak. Jeśli chodzi o pozostałych, to nie jestem pewien.

Gdy Elston zatrzymał kabriolet, Karla rozejrzała się dookoła. Okazało się, że są już w parku, a obok nich stoi lando Greenwichów. W środku siedziały księżna i Tina. Po powitaniu Christina wykrzyknęła niecierpliwie:

- Karlo! Gdzie byłaś cały dzień?

- W domu. Przygotowywałam kostium na bal maskowy.

- Ale...

Księżna przerwała córce:

- Dziś rano odwiedziłyśmy rezydencję Padburych, panno Lane, a potem przyszłyśmy jeszcze raz po południu. Pani macocha poinformowała nas, że nie ma pani w domu.

Karla zacisnęła pięści i spuściła wzrok.

- Przepraszam, księżno. Nie wiem, dlaczego lady Padbury skłamała.

Robert natomiast od razu domyślił się przyczyny. Księżna zresztą też, sądząc po wyrazie jej twarzy.

- Lady Padbury próbowała nas skłonić do porozmawiania z Lydią, ale wymówiłyśmy się innymi zobowiązaniami - powiedziała Tina.

Robert zastanawiał się, czy pogarda, z jaką Christina wypowiadała się o Lydii, wynikała z niechęci do przyrodniej siostry Karli, czy z lojalności wobec przyjaciółki.

- Słyszałaś, co wydarzyło się wczoraj u Almacka? - spytała Tina.

Karla kiwnęła głową.

- Tak, Elston właśnie mi powiedział. Księżno - zwróciła się do matki Christiny - chciałabym wyrazić swoją wdzięczność za to, że opowiedziała się pani publicznie po stronie Beth.

- Mimo że zrobiłam to w tak „dramatyczny” sposób, jak to nazwał mój mąż? - spytała ironicznie księżna.

- Myślę, że rzeczywiście mogło to wyglądać dramatycznie. Na pewno było bardzo sugestywne.

Obok powozu w bardzo bliskiej odległości przejechał faeton, omal nie zaczepiwszy o koła kabrioletu. Robert uspokoił przestraszone konie.

- Drogie panie, nie chciałbym przerywać wam rozmowy, ale obawiam się, że blokujemy drogę.

- Rzeczywiście - przyznała księżna. - Panno Lane, mam nadzieję, że odwiedzi nas pani wkrótce.

- Dziękuję. Nie wiem, jakie lady Padbury ma plany na popołudnie, ale wieczorem na pewno zobaczymy się w rezydencji St. Ivesów.

Tina pomachała przyjaciółce.

- Do jutra, Karlo.

Podczas przejażdżki spotkali jeszcze kilku znajomych i okazało się, że tego dnia rezydencję Padburych odwiedziły także lady Debora, panna Broughton i lady Blackburn. Wszystkim powiedziano, że Karli

nie ma w domu. Robert był wściekły, a Karla bliska łez. Żeby dać jej czas uspokoić się, Elston skręcił w boczną ścieżkę.

- Może pójdziemy na krótki spacer? - zaproponował. Dziewczyna kiwnęła głową, więc wysiadł z powozu

i stanął obok niej, by pomóc jej wyjść. Dla żartu chciał chwycić ją w tali, obrócić w powietrzu i dopiero wtedy postawić na ziemi.

Gdy objął ją w tali, poczuł dziwne mrowienie w palcach i lekki zawrót głowy. Zastanawiał się, czy i Karla przeżyła coś podobnego.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Robert oddałby wszystko, żeby dowiedzieć się, czy rumieniec wywołał jego niespodziewany manewr, czy też fakt, że poczuła to samo co on. Oczywiście nie mógł zapytać, więc po prostu podał jej ramię.

Karla zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs.

- Tak samo zdejmował mnie pan z siodła, jak byłem mała.

- Faktycznie. - Robert uśmiechnął się. - Miałem nadzieję, że będzie pani o tym pamiętała i nie wymierzy mi policzka.

Teraz wreszcie i Karla się uśmiechnęła.

- Nie wyobrażam sobie, by pan kiedykolwiek zachował się w sposób nieprzystojny dżentelmenowi.

Robertowi przypomniały się sny, które nawiedzały go od kilku nocy, i wcale nie był przekonany co do słuszności tej opinii, tym bardziej że Karla nie była jego żoną. Myśl o małżeństwie towarzyszyła mu do końca dnia i wcale nie tylko dlatego, że wiążąc się z panną Lane, uwolniłby ją od podłej macochy.

- Chciałbym, by zawsze darzyła mnie pani szacunkiem, Karlo.

Kilka minut spacerowali w ciszy, rozkoszując się uroczym wiosennym popołudniem, zanim Robert poruszył temat, o którym zamierzał z nią porozmawiać.

- Przykro mi słyszeć, że pani macocha znów zaczyna panią upokarzać.

- Mnie również się to nie podoba, ale wątpię, abym mogła cokolwiek na to poradzić.

- Czy życzy pani sobie, żebym porozmawiał o tym z wicehrabiną?

Karla przystanęła i spojrzała Elstonowi w oczy.

- Zrobiłby pan to dla mnie?

- Oczywiście, że tak.

Robert nie rozumiał, dlaczego Karłę zaskoczyła jego deklaracja. Przecież często powtarzał, że jest jej przyjacielem.

- Od śmierci mojego ojca nikt nie wstawił się za mną u wicehrabiny z wyjątkiem lady Blackburn i ostatnio mojego brata. Wydaje mi się zresztą, że wsparcie Charlesa zawdzięczam panu.

- A pani kuzynka?

- K - kuzynka?

- Czyżby miała ich pani tyle, że nie wie, o którą mi chodzi? - zażartował, ruszając do przodu. - O pannę Lindquist.

- O - ona z - zrobiła wszystko, c - co w jej m - mocy, ale...

- Wiem, że w Paddington Court jej sytuacja jest podobna do pani.

- F - faktycznie.

Robert nie wiedział, czy nagłe zakłopotanie Karli wynikało z poruszenia niezręcznego tematu, czy może raczej dziewczyna zawstydziała się, że znaleźli się na osobności. Postanowił więc porozmawiać o czymś innym.

- Nie powiedziała mi pani, czy życzy sobie, abym spotkał się z lady Padbury.

- Nie jestem pewna, czy byłby to rozsądny krok.

- Tak? A dlaczego?

- Wicehrabina uważa, że jest pan... zainteresowany Lydią.

- Absolutnie nie - obruszył się Robert.

- Mimo to uważam, iż nie jest to najlepszy pomysł. Ale bardzo dziękuję za propozycję.

- Proszę dać mi znać, jeśli zmieni pani zdanie. - Uśmiechnął się. - Z chęcią wyjaśnię lady Padbury, jak bardzo się myli.

- Dziękuję.

- A teraz proszę mi powiedzieć, jaki kostium zakłada pani na bal maskowy. Nie będę mógł przyjść punktualnie, ale liczę, że zachowa pani dla mnie jeden z tańców po kolacji.

- Będę przebrana za damę z zeszłego stulecia. Na strychu znalazłam suknie mojej matki i chciałabym oddać jej cześć, zakładając jedną z nich.

- Pani matka na pewno byłaby dumna z pani.

- Tak pan sądzi?

- Oczywiście. Każda matka by była.

- Lydia i wicehrabina uważają, że jestem zbyt sentymentalna.

- Ja się zupełnie nie zgadzam z takim stanowiskiem. Rozdrażniony zachowaniem lady Padbury Robert kolejny raz zaklął w myślach. Po kilku minutach milczenia, spytał:

- Czy powie mi pani, jakiego koloru będzie pani suknia?

- Błękitna.

- I obiecuje pani, że zatańczy ze mną?

- Oczywiście. - Karla uśmiechnęła się szeroko. - Który taniec mam zarezerwować dla pana?

- Pierwszego menueta po kolacji?

- Dobrze.

- I pierwszego walca. - Ja...

- Wiem, że nie otrzymała pani jeszcze pozwolenia, by tańczyć walca, ale ja chętnie z panią posiedzę w czasie, gdy orkiestra będzie go grała.

Elston poczuł, że woli przesiedzieć walca z Karłą, niż zatańczyć go z jakąkolwiek inną kobietą.

Rozdział 13

W piątkowy poranek panny Lane miały kilku gości. Lady Padbury nie była zachwycona tymi wizytami. Pierwsza zjawiała się z wyrzutami lady Blackburn. Miała za złe gospodyni, że wczoraj nie pozwoliła jej spotkać się z Karłą. Te same zarzuty przedstawiła później księżna Greenwich i markiza Kesteven. Wicehrabina była bardzo niezadowolona, że jej kłamstwo wyszło na jaw i oczywiście nie ukrywała tego przed Karłą.

Dziewczyna od rana miała zły humor. Była zła na siebie, że nie potrafiła poprzedniego dnia wyznać Elstonowi prawdy. Gdy macocha rozładowywała na niej swą złość, musiała zagryzać wargi, by nie odezwać się niegrzecznie. Gdyby powiedziała macosze, że sama nawarzyła sobie piwa, które teraz musi wypić, tylko pogorszyłaby swoją i tak trudną sytuację.

Po nieprzyjemnym lunchu Karła nie mogła się doczekać, żeby wyjść z domu. Perspektywy spotkania innych ludzi nie przyćmiewał nawet fakt, że wizyty mogła składać jedynie w towarzystwie macochy i przyrodniej siostry. Jako pierwszą odwiedziły rezydencję Castletonów. Lady Padbury nie udało się oczywiście zaskarbić sobie sympatii lady Julii, ale Karła z przyjemnością porozmawiała z Beth. Amerykanka miała nadzieję, że przetrwała najgorsze i wkrótce wszyscy zapomną o rzucanych na nią oszczerstwach. Bardzo życzliwie wypowiadała się o dżentelmenach, którzy pomogli jej w trudnych chwilach: o Weymouthie, Elstonie i Dunnleyu. Karła odniosła wrażenie (albo bardzo chciała je odnieść), że Beth oddała swe serce księciu.

W piątkowy wieczór sala balowa w rezydencji St. Ivesów zaroїła się od gości. Karła była zadowolona ze swojego kostiumu tym bardziej, że lady Blackburn założyła bardzo podobną suknię, tylko w kolorze dojrzałej śliwki. Jeszcze przed pierwszym menuetem Karła miała zajęte prawie wszystkie tańce. Podobnie Lydia, dzięki czemu nie obraziła się jak zwykle na przyrodnią siostrę. Niestety tego samego nie można było powiedzieć o lady Padbury, która nie rozchmurzyła się nawet wtedy, gdy kilku panów zamawiających taniec u Karli podeszło również do Lydii.

Blackburn przebrany za dworzanina z czasów elżbietańskich wyglądał jeszcze bardziej wytwornie niż zwykle. Karła zdziwiła się, że zazwyczaj poważny ksiądz zdecydował się założyć kostium.

Pomyślała, że być może Blackburn jest w gruncie rzeczy wesołym i dowcipnym mężczyzną. Zastanawiała się, czy zatańczył z nią, aby sprawić przyjemność matce, czy rzeczywiście miał na to ochotę. Tych pytań oczywiście nie odważyłaby się zadać, więc po prostu cieszyła się jego towarzystwem.

Gdy po menuecie wracali na miejsce, Karla wskazała na mężczyznę ubranego podobnie do księcia.

- Czy widzi pan tego dżentelmena przy Beth Castleton, którego kostium jest prawie taki sam jak pana?

Blackburn spojrział w stronę wskazaną przez Karłę. Stało tam kilka grupek gości. Potrząsnął głową.

- Nie widzę panny Castleton i nie jestem pewien, czy bym ją rozpoznał, nawet gdybym ją zobaczył. Nigdy nie byliśmy sobie przedstawieni.

- Z przyjemnością naprawię to niedopatrzenie. - Karla uśmiechnęła się. - Szczególnie po pana odważnym wystąpieniu u Almacka.

- Chętnie poznam pani przyjaciółkę, choć ja u Almacka jedynie towarzyszyłem matce. Jej należą się wyrazy uznania, nie mnie.

Karla pociągnęła go delikatnie za rękaw.

- Beth jest przebrana za Euterpe; ma na sobie białą, grecką szatę ozdobioną wyszywanymi nutami. Stoi obok Dunnleya.

- Patronka muzyki i poezji lirycznej - panna Castleton nie mogła wybrać sobie odpowiedniejszego kostiumu. Słyszałem, że oczarowała wszystkich gości na wieczorze muzycznym u pani Broughton. O - zauważył po chwili - widzę drugiego dworzanina. To Fairfax.

- Tak? - Karla zerknęła na księcia, którego miała okazję poznać na balu u lady Throckmorton. - Nie poznałam go. Muszę przyznać, że dziś udało mi się rozpoznać zaledwie kilka osób.

- Jest pani w Londynie od kilkunastu dni. Zdziwiłbym się, gdyby od razu zapamiętała pani wszystkich - dodał Blackburn i wskazał jej kilka osób, którym została już wcześniej przedstawiona.

Obok nich przeszła pulchna blondynka, potrącając Karłę. Przestraszony książę chwycił swoją partnerkę za ramię.

- Wszystko w porządku?

Karla zmieszana bliskością Blackburna cofnęła się i kiwnęła głową.

- Tak, dziękuję. Kto to był?

Książę przyjrzał się kobiecie, która stanęła w pobliżu obok dwóch starszych dam.

- Nie wiem. Kogoś mi przypomina, ale nie jestem pewien kogo.

Blackburn podał Karli ramię i ruszyli dalej. Gdy zbliżyli się do grupy zebranej wokół Beth, zauważyli, że Dunnley szepcze jej coś do ucha. Po uprzejmym powitaniu wicehrabia powiedział:

- Wygląda pani uroczo, panno Lane. Mam nadzieję, że ma pani jeszcze wolne tańce.

Uradowana komplementem Karla uśmiechnęła się.

- Dziękuję, lordzie. Na mojej karcie są jeszcze wolne miejsca.

- Może pierwszy walc?

- Ja... nie wolno mi tańczyć walca.

- Wobec tego chętnie przesiedzę z panią ten taniec. Komplementary Dunnleya mogłyby zawrócić w głowie nawet najskromniejszej dziewczynie.

- Jest pan bardzo uprzejmy.

- Czy zechciałaby pani w takim razie zatańczyć ze mną pierwszy taniec ludowy po kolacji?

- Ja już go zamówiłem - wtrącił Blackburn.

- Wobec tego drugi? - nie poddawał się wicehrabia.

- Oczywiście - odparła Karla i dygnęła.

Gdy Dunnley zaczął z księciem rozmawiać o wczorajszej debacie w Izbie Lordów, Karla przysunęła się do Beth.

- Ślicznie wyglądasz. Jak się dziś czujesz? Mam nadzieję, że te ohydne plotki na twój temat już nie krążą w wyższych sferach.

- O ile wiem nie. - Amerykanka uśmiechnęła się lekko. - To dobrze. Nie widziałam Weymoutha ani Elstona - szepnęła Karla na ucho przyjaciółce. - Sądziłam, że jeden z nich będzie ci dziś towarzyszył.

- Przyjdą, ale później. Teraz biorą udział w uroczystości wojskowej.

- Są żołnierzami? - zdziwiła się Karla.

- Służyli w armii królewskiej przez cztery lata, ale odeszli z niej, gdy zostali ranni.

- Nie wiedziałam o tym. Synowie parów raczej nie wstępują do wojska. - Szczególnie jeśli są jedynakami jak Elston, dodała w myślach Karla.

- Rzeczywiście, ale oni obaj bardzo chcieli służyć w armii, chociaż z różnych powodów.

- Mam nadzieję, że nie byli poważnie ranni?

- Nie wiem, ale sądzę, że raczej nie. Obaj są według mnie okazami zdrowia.

- Rzeczywiście.

U boku Karli stanął Blackburn. Dziewczyna uścisnęła więc Beth i szepnęła jej na ucho: „Wszystko będzie dobrze”, po czym razem z księciem wróciła spacerowym krokiem do lady Padbury i hrabiny.

Robert stał przed lustrem i z niedowierzaniem patrzył na swoje odbicie. Nawet na wojnie rzadko zakładał mundur. W wojsku jego zadanie zwykle polegało na wyśledzeniu pozycji wroga, strzelali inni żołnierze.

Higgins mruknął coś pod nosem o zbyt opiętych spodniach, ale Robert nie zwracał na niego uwagi. Gdy rozległo się kołatanie do drzwi, założył czapkę i wyszedł, z pokoju. Służący ruszył za nim.

- Dobry wieczór, George.

Jedno spojrzenie na przyjaciela wystarczyło, żeby stwierdzić, iż i na nim uniform leży jak ulał.

- Dobry wieczór, Robercie - przywitał się Weymouth. Na widok umundurowanego Higginsa, dodał: - Nie wiedziałem, że idziesz z nami, sierżancie.

Były ordynans pokraśniał z zadowolenia. Swoją wysoką rangę zawdzięczał odwadze, którą wykazał się, wynosząc z pola bitwy ранego Weymoutha i kilku innych oficerów.

- Oczywiście, że idę. Stary doktor MacInnes tyle razy łątał wasze rany, że zasłużył sobie na moją dozgonną wdzięczność.

- O, tak. Ale ja nie... nie byłem... - Zmieszany George przeczesał palcami włosy. - Myślałem, że będziemy tylko we dwóch i przyjechałem kabrioletem.

- O ile nie zabrał pan swojego stangreta, znajdzie się miejsce i dla mnie. Mogę też pójść na piechotę.

- Będę zaszczycony, jeśli tego wieczoru zechcesz być moim stangretem.

- Brzmi to bardzo zachęcająco, prawda, majorze?

Ponieważ Robert i George mieli ten sam stopień wojskowy, Elston nie zorientował się, że Higgins zwraca się do niego. Dopiero po dłuższej chwili domyślił się, o kogo chodzi.

- Tak, rzeczywiście - odparł roztargniony.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że teraz Karla i panna Lindquist zaprzatają jego myśli nawet w dzień!

Choć zapowiadał to wcześniej, Karla zdziwiła się, że Dunnley stanął przed nią, gdy tylko rozbrzmiały pierwsze dźwięki walca. Wicehrabia chyba zauważył jej zaskoczenie, bo uśmiechnął się i spytał:

- Czy zapomniała pani, że obiecała mi ten taniec? Zapomniała, że obiecała salonowemu lwu przesiedzieć z nim walca?

- Och, nie zapomniałam, ale...

- Ale? - spytał zaciekawiony Dunnley.

- Trudno mi uwierzyć, że chce pan przesiedzieć ze mną ten taniec, choć mógłby pan teraz wirować na parkiecie z każdą z dam.

Wicehrabia przybrał nieprzeniknioną minę. Także jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Czy ma pani ochotę przejść się po sali i popatrzeć na tańczących?

Karla kiwnęła głową i wzięła Dunnleya pod ramię. Gdy znaleźli się z dala od lady Padbury, wicehrabia podjął przerwany temat.

- Chcę posiedzieć z panią, bo pani towarzystwo sprawia mi przyjemność.

- Dziękuję panu.

Dunnley przyglądał jej się dłuższą chwilę.

- Mam nadzieję, że nie obrazi się pani na mnie za to, co teraz powiem. Stosunek, jaki ma do pani macocha, nie ma żadnego wpływu na opinię wyższych sfer na pani temat.

Karla poczuła, że się czerwieni, i spuściła wzrok.

- Z tego, co słyszałem, w towarzystwie jest pani lubiana i szanowana w przeciwieństwie do pani macochy. Lady Padbury zasłużyła sobie na takie traktowanie, poniżając panią.

Karla nie wiedziała, gdzie podziać oczy. Na szczęście Dunnley nie oczekiwał odpowiedzi.

- Ja i wiele innych osób podziwiamy i szanujemy panią za to, z jaką godnością znosi pani ubliżające zachowanie macochy.

- Dziękuję, lordzie. Jest pan bardzo uprzejmy. Wicehrabia ponuro potrząsnął głową.

- Żałuję, że powiedziałem to w sposób, który wywołał rumieniec na pani twarzy.

- Co znaczy rumieniec podczas rozmowy dwojga przyjaciół? - Karla bardzo starała się, by to stwierdzenie zabrzmiało niefrasobliwie.

- Cieszę się, że nazywa mnie pani swoim przyjacielem. To dla mnie zaszczyt włączyć panią do grona moich przyjaciół.

Powiedziawszy to, Dunnley szybko zmienił temat i Karla rozpogodziła się. Czas mijał niepostrzeżenie i ani się spostrzegli, gdy rozległy się ostatnie takty walca. Karla rozejrzała się i niedaleko dostrzegła spacerujących Beth i Fairfaxa.

Kilka chwil później zaczęły się kłopoty.

Robertowi wystarczyła godzina, by porozmawiać ze wszystkimi żołnierzami, którymi dowodził w wojsku, i życzyć doktorowi MacInnesowi wszystkiego najlepszego. Kolacja jednak dopiero się zaczęła. Robert siedział u szczytu długiego stołu obok niedosłyszającego pułkownika. W dodatku był znudzony przedłużającym się przemówieniem kolejnego z gości. Usiadł więc wygodniej i oddał się rozmyślaniom.

Zastanawiał się, czy George również się nudził. Był ciekawy, czy rozpozna Karłę po przybyciu na przyjęcie do rezydencji St. Ivesów, o ile w ogóle uda mu się tam dotrzeć. Niepokoiło go też pytanie, czy po skandalu u Almacka Beth zostanie dobrze przyjęta na balu. Martwił się, czy lady Padbury nie dokuczwała dziś swojej pasierbicy.

Po wydarzeniach poprzedniego dnia Robert coraz bardziej przejmował się losem Karli. Wstąpił nawet do lady Blackburn, by z nią przedyskutować ten problem, ale tak naprawdę żadne z nich nie było w stanie pomóc dziewczynie. Chyba że ożeniłby się z Karłą.

Pomysł ten był godny rozważenia. Nie tylko uwolniłby pannę Lane spod władzy despotycznej macochy, ale także mógłby sprawdzić, jak jego marzenia senne mają się do rzeczywistości. Jednak mimo że jego uczucia wobec Karli były o wiele silniejsze niż wobec którejkolwiek z pozostałych młodych dam, nie potrafił jeszcze podjąć ostatecznej decyzji. Przede wszystkim wczoraj wydawała się zmieszana, przebywając z nim sam na sam. Do tej pory nigdy się nie jąkała podczas rozmowy z nim, ale przecież nigdy dotąd nie byli zupełnie sami.

Czy Karla czuła się w jego towarzystwie równie dobrze jak on w jej? Może tylko ucieszyła się, że odnowili przyjaźń z dziecięcych lat i nic więcej. A on zaczął liczyć na tak wiele...

Karla spostrzegła, jak Beth uśmiecha się do pani Kincaid, po czym podchodzi do pulchnej blondynki, która kilka chwil wcześniej o mało nie przewróciła Karli. Potem nastąpiła ostra wymiana zdań.

Karla szepnęła do Dunnleya:

- Wydaje mi się, że kobieta stojąca obok pani Kincaid powiedziała coś, co zdenerwowało Beth.

Tymczasem panna Castleton zsunęła maskę z twarzy i coś powiedziała. Potem także książę zdjął maskę.

- Dobry Boże - jęknął Dunnley i przyspieszył kroku. Gdy podeszli do rozmawiających, pani Kincaid położyła dłoń na ramieniu blondynki i oznajmiła:

- Mówiłam ci, że to nieprawda, Arabello, ale ty nie słuchasz.

Beth zbladła.

- Czy pani nazwisko brzmi lady Arabella Smalley? Wcale się nie dziwię, że próbuje mnie pani oczernić. Mogę przecież odkryć przed wszystkimi zbrodnie, które popełniła pani razem z kuzynem. Grozi pani za to surowa kara.

Dunnley i Karla stanęli obok Amerykanki. Karla była zdecydowana okazać przyjaciółce wsparcie.

Blondynka zacisnęła zęby, ale nie spuściła z tonu.

- Zbrodnie? Myli się pani. Nie zrobiłam nic złego.

- A więc według pani fałszerstwo, trzy uprowadzenia i próba popełnienia morderstwa to nie są przestępstwa? Zaryzykuje stwierdzenie, że większość ludzi by się z panią nie zgodziła.

Karla nie miała pojęcia, czego dotyczy ta rozmowa. Sądząc po szmerze, który rozległ się na sali, pozostali goście także nie wiedzieli, o co chodzi. Z wyjątkiem Dunnleya, który szepnął coś Beth na ucho.

Kilka minut później panna Castleton opowiedziała całą historię. Okazało się, że lady Arabella i jej kuzyn uknuli plan, by zmusić Weymoutha do poślubienia Arabelli. Zaczęło się od porwania siostrzenicy księcia, a potem w ich sidła wpadła Beth, która próbowała uwolnić dziewczynkę. Kilka dni później także książę został uprowadzony. Z pomocą dwojga służących Beth i pozostałym udało się zbiec, ale podczas karkołomnej ucieczki Beth została ranna w ramię. Uciekinierzy znaleźli schronienie w wiejskiej willi Elstona, gdzie Beth zaopiekował się lekarz. Markiz, który przebywał wówczas w majątku, wracał z nimi do Londynu i mógł udowodnić, że rozgłaszane przez Arabellę plotki są nieprawdziwe.

Karla pomyślała, że Beth zasłużyła na medal za odwagę. Tymczasem zgromadzona w sali balowej arystokracja zupełnie zlekceważyła fakt, że panna Castleton uratowała dwojgu ludziom życie. Usłyszawszy, że została porwana, a potem podróżowała samotnie setki mil w towarzystwie dwóch niespokrewnionych z nią mężczyzn i jedynie pokojówką jako przyzwoitką, śmietanka towarzyska Londynu wyraźnie się oburzyła. Na szczęście Arabella przyznała się do zarzucanych jej czynów i została wyprowadzona z sali przez obecnego wśród gości sędziego i księcia St. Ives.

Gdy wyszli, Fairfax uklonił się Beth. Jasnym i wyraźnym głosem zapytał:

- Panno Castleton, czy będę miał honor zatańczyć z najuczciwszą i najszlachetniejszą damą w całej Anglii?

Karla nie zdziwiła się, gdy okazało się, że jej przyjaciółka woli tańczyć, niż odpowiadać na pytania, które goście zadawali jeden przez drugiego. Gdy muzycy zaczęli grać walca, Fairfax zaprowadził Beth na parkiet. Wśród eleganckich obrotów powoli, ale nieubłaganie zbliżali się do drzwi sali balowej. Karla nagle uświadomiła sobie, że chcą opuścić to pomieszczenie, gdy tylko ucichnie muzyka.

Dunnley też najwidoczniej zorientował się, co się dzieje.

- Dziękuję za taniec, panno Lane, ale muszę już iść. Wziął Karłę pod rękę i ruszył w stronę wyjścia, rozglądając się w poszukiwaniu lady Padbury.

- Proszę się mną nie przejmować, lordzie. Sama wrócę do macochy albo lady Blackburn, gdy tylko pożegnam się z Beth.

- Na pewno?

- Tak, nie zgubię się - zażartowała Karla, by go rozchmurzyć.

Dunnley uśmiechnął się samymi wargami.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem. Chcę tylko powiedzieć Beth, że jestem całym sercem po jej stronie.

Tymczasem przy drzwiach Beth przepraszała księżną St. Ives. Gospodyni pospieszała ją, by wyszła, zanim dopadnie ich tłum, ale Karla zdążyła rzucić się przyjaciółce na szyję.

- Beth, tak mi przykro, że musiałaś przeżyć ten koszmar.

- Dziękuję, Karlo. Jesteś wspaniałą przyjaciółką.

- Jutro postaram się odwiedzić cię.

- Zawsze jest pani u nas mile widziana - powiedziała lady Julia.

Beth dygnęła przed księżną. Dunnley, który przyciszonym głosem rozmawiał z Fairfaxem, podał jedno ramię Beth, drugie jej ciotce. Razem wyszli z sali balowej.

Karla patrzyła na nich z bólem serca. Gdy chciała wrócić do macochy, natknęła się na grupę gości, którzy wciąż głośno debatowali na temat tego, co się właśnie wydarzyło. Karla stwierdziła, że Beth wymknęła się z sali w samą porę. Zanim zdążyła odejść, podszedł do niej Fairfax i uklonił się.

- Panno Lane, czy mogę odprowadzić panią do lady Padbury?

Karla z wdzięcznością przyjęła uprzejmą propozycję księcia.

- Dziękuję.

Gdy Fairfax torował im drogę wśród tłumu, dodała:

- Wspaniale się pan zachował, doceniając publicznie odwagę Beth.

- Taką szczerą i odwagę trzeba chwalić.

- Zgadza się w zupełności, ale wątpię, czy pozostali podzielają nasze zdanie. Obawiam się, że Beth znów będzie obiektem plotek.

- To nieuniknione. Ze względu na dobro panny Casdeton mam nadzieję, że nie potrwa to jednak długo.

- Kilka dni?

- Może nawet krócej, jeśli ktoś inny wywoła skandal.

- Hmm. Czy zna pan jakieś młode damy, które zamierzają wkrótce uciec potajemnie ze służącym albo lokajem? Zrobię wszystko, żeby je przekonać do jak najszybszego opuszczenia Londynu.

Chwilę później znaleźli się przy wicehrabinie, Lydii i lady Blackburn. Po powitaniu, księżę uklonił się Karli.

- Mam nadzieję, że zatańczy pani dziś ze mną, panno Lane.

- Będę zaszczycona. Jeszcze raz dziękuję za pana uprzejmość.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem przekonany, że ma już pani partnera na taniec podczas kolacji. Może wobec tego kolejny?

- Jeszcze nie obiecałam nikomu tańca podczas kolacji, ale chętnie zatańczę z panem następnym. Pod warunkiem, że nie będzie to taniec ludowy - dodała, przypomniawszy sobie prośbę Blackburna.

- Czy wobec tego mogę prosić o taniec podczas kolacji?

Nieśmiałość, z jaką księżę zadał to pytanie, była zaskakująca, szczególnie po jego wcześniejszym odważnym wystąpieniu.

- Będę zaszczycona.

Fairfax uśmiechnął się, jeszcze raz uklonił i odszedł.

- Geoffrey nie poprosił cię o taniec podczas kolacji? - spytała szeptem lady Blackburn.

- Nie. Prosił o pierwszy taniec ludowy po kolacji. Niezadowolona hrabina zmarszczyła brwi, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo do rozmowy wtrąciła się lady Padbury.

- Ty idiotko! - syknęła wściekła wicehrabina i chwyciła Karłę za ramię. - Czy ty próbujesz zniszczyć sobie reputację?

- Jak rozmowa z księciem Fairfaxem może zaszkodzić mojemu dobremu imieniu? - zapytała zdziwiona Karła.

- Nie mówię o Fairfaxie!

Lady Padbury zacieśniła uścisk. Karła bała się, że jutro będzie miała posiniaczone ramię.

- Jak mogłaś wziąć udział w tym skandalu z panną Castleton?

- Przede wszystkim uważam, że w skandal jest zamieszana nie Beth, a...

- Oczywiście, że ona! Całkowicie zrujnowała sobie reputację, przyznając, że spędziła kilka dni w towarzystwie niespokrewnionych z nią mężczyzn.

- Miała przyzwoitkę.

- Pokojówka nie nadaje się do tej roli. I...

- Czy to wina Beth, że porywacze nie uprowadzili także lady Julii? - ironicznie spytała Karła. - Nie mogę uwierzyć, że Beth zarzuca się, iż zrobiła to, co najlepsze w tak trudnych okolicznościach.

- Wobec tego jesteś jeszcze głupsza, niż sądziłam!

- Ty jesteś głupia, Hortensjo. - Lady Blackburn chwyciła wicehrabinę za ramię i mocno ścisnęła. - Powinnaś pochwalić Karłę za jej lojalność wobec przyjaciółki. Poza tym twoja pasierbica znalazła się w centrum uwagi przypadkowo. Spacerowała przecież akurat z Dunnleyem, który jest dzisiejszym partnerem Beth.

- Caroline nie musiała robić przedstawienia i ścisnąć tej dziewczyny!

- Ciszej - obruszyła się hrabina. - Teraz to ty robisz przedstawienie.

Karła rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że rzeczywiście ich kłótnia zaczęła zwracać uwagę gości. Trudno było powiedzieć, czy to dobrze, czy źle, ale Karła wiedziała, że kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Zanim ucichły oklaski po ostatnim przemówieniu, u boku Roberta pojawił się George.

- Chodźmy stąd - zaproponował.

Robert chętnie wstał. Obaj pospiesznie pożegnali się i wyszli. Robert po drodze obserwował powożącego kabrioletem przyjaciela. Weymouth zmuszał konia do karkołomnego galopu.

- Milo spędziłeś czas u doktora? George wzruszył ramionami.

- Dosyć, chociaż trochę się wynudziłem. Szczególnie podczas przemówień. Jak takie gaduły znalazły się w wojsku?

- To samo pomyślałem sobie już po godzinie przyjęcia. Dlaczego chciałeś tak szybko wyjść?

George spojrział na Roberta z niedowierzaniem.

- Żeby iść na bal maskowy.

- Och, George, George - Robert żartobliwie pokiwał głową. - Mnie nie oszukasz. Powiedz prawdę. Martwisz się, jak zostanie przyjęta Beth po skandalu u Almacka?

- Trochę tak, ale myślę, że najgorsze jest już za nami.

- Jeśli jesteś tylko trochę zaniepokojony, dlaczego tak bardzo się spieszysz?

George zgarbił się.

- Muszę coś powiedzieć Beth - mruknął pod nosem.

Czyżby wreszcie uświadomił sobie, że ją kocha? ucieszył się Robert.

- Coś, o czym zapomniałeś wspomnieć dziś po południu?

Robert nie wiedział, czy przyjaciel odwiedził tego dnia rezydencję Castletonów, ale było to bardzo prawdopodobne.

- Nie. To coś, z czego zdałem sobie sprawę później.

Cudownie! Robert uśmiechnął się, wyobrażając sobie szczęśliwą przyszłość, jaką mieli przed sobą jego przyjaciele.

- A więc wreszcie uświadomiłeś sobie, że ją kochasz?

Przestraszony George spojrział szybko na Roberta.

- Wiedziałeś?

- Wiedziałem, że zakochujesz się w Beth, jeszcze zanim wyjechalibyśmy ze Stranraer.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Uwierzyłybyś mi? - Robert skrzyżował ramiona na piersi. - Nie. Odpowiedziałbyś, że czujesz jedynie wdzięczność. Albo przyjaźń. Ona też cię kocha - dodał łagodniejszym tonem.

- Tak mi się wydaje.

- Powiedz jej to więc i jeszcze raz się oświadcz. A potem będziecie żyli długo i szczęśliwie.

Robert stłumił westchnienie, zastanawiając się, czy i do niego uśmiechnie się los.

Przyjaciele dotarli do rezydencji St. Ivesów tuż po północy. Wszyscy goście byli już w środku, więc spokojnie stanęli w drzwiach sali balowej i rozejrzeli się w poszukiwaniu gospodyni. Księżna wkrótce ich dostrzegła i pospieszyła w ich kierunku tak szybko, na ile pozwalała jej sztywna krynolina. Gdy się spotkali, wyciągnęła rękę do George'a i odezwała się, zanim zdążyli ją przywitać:

- Weymouth, szkoda, że nie przyszedł pan wcześniej. George uklonił się.

- Przykro mi, ale miałem już inne zobowiązania na ten wieczór.

- Ja również - dodał Robert i złożył pełen szacunku ukłon.

- Nie chodzi mi o bal. Szkoda, że nie było was tu, gdy panna Castleton musiała stawić czoła lady Arabelli.

George zaklął pod nosem. Robert podał gospodyni ramię.

- Pozwoli pani, że ją odprowadzę do stolika. Tam opowie nam pani, co się wydarzyło.

Księżna nie wiedziała, od czego wszystko się zaczęło, ale stwierdziła, że Fairfax albo pani Kincaid będą mogli im opowiedzieć. Zakończenie incydentu przekazała im z wyraźną satysfakcją: wyprowadzenie Arabelli z sali przez sir Thomasa Hodge'a i taniec Beth z Fairfaxem.

George oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego ona to zrobiła? Castleton, mój brat i ja postanowiliśmy utrzymać całe wydarzenie w tajemnicy, żeby nie zniszczyć jej reputacji. Dlaczego...

- A co innego mogła zrobić? Stać bezczynnie i pozwolić tej bezczelnej Smalley kłamać w żywe oczy?

- Nie, ale...

- Czasem nie wolno się uginać pod żadną presją. Robert przytaknął.

- Jak bardzo to wyznanie wpłynęło na dobre imię Beth? - spytał świadomy, że to jest w tym momencie najistotniejsza kwestia. Księżna zastanowiła się.

- Nie wiem. Beth nie ukrywała, że Weymouth zachował się bardzo szlachetnie i oświadczył się jej, ale ona go odrzuciła. Na pewno są osoby, które gardzą Beth za to, że zgodziła się podróżować w towarzystwie mężczyzn z pokojówką jako przyzwoitką, ale czy miała inne wyjście? Chodźcie - lady St. Ives wstała - porozmawiacie z Fairfaxem i panią Kincaid.

Gdy odeszli kilka kroków od stolika, otoczyła ich grupka gości, którzy przekrzykując się nawzajem, zadawali George'owi pytania. Ten westchnął i poczekał, aż zapadnie cisza. Robert stanął obok niego. Był zdecydowany zrobić wszystko, by pomóc przyjaciołom.

Gdy goście umilkli, George wyjaśnił, na czym polegał spisek uknuty przez Arabelle i jakie były jego konsekwencje. Robert poszukał w tłumie Fairfaxesa, pani Kincaid i Karli. Zobaczył pannę Lane z księciem, jak torują sobie drogę wśród gości, by dostać się do nich.

George odważnie zapytał zebranych, jak chcieliby, żeby postąpiły ich córki i siostry, gdyby znalazły się w takiej sytuacji jak Beth, po czym mruknął pod nosem:

- Chętnie bym już opuścił to przyjęcie. O ile to możliwe z Fairfaxem. Co ty na to?

- Prowadź. Fairfax i panna Lane zaraz tu będą. Księżna i jej syn są z nimi.

Obaj przyjaciele odwrócili się na pięcie i po kilku chwilach kroczyli już w piątkę, bo dołączył do nich mężczyzna w szatach arabskiego księcia. Robert rozpoznał w nim perskiego ambasadora, Farhada Booeshaghi.

Po pożegnaniu z gospodarzami Robert zwrócił się do Karli:

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani, iż nie zatańczę z nią dzisiaj, ale...

- Nie musi mnie pan prosić o wybaczenie. Weymouth bardziej potrzebuje pańskiej pomocy.

- Czy mogę odwiedzić panią jutro? Karla uśmiechnęła się promiennie.

- Zawsze jest pan mile widziany w rezydencji Padburych.

Składając ukłon przed Karłą, Robert usłyszał, jak ambasador mówi do George'a:

- Panna Castleton ma serce lwa, a panna Lane odwagę lwicy, która broni swoich małych.

Karla zaczerwieniła się. Robert chętnie dowiedziałby się więcej szczegółów na ten temat, ale wykrzykujący pytania tłum był tuż - tuż.

- Do jutra w takim razie - szepnął, po czym razem z przyjacielem opuścił rezydencję St. Ivesów.

Szczęśliwe zakończenie historii miłosnej George'a i Beth niebezpiecznie się oddalało. Ale jego własne zbliżało się wielkimi krokami.

Rozdział 14

Jeszcze zanim kościelne dzwony wybiły południe, Karla zaczęła modlić się, żeby sobota skończyła się jak najszybciej. Zeszłej nocy po balu macocha była zbyt zmęczona, żeby wywoływać awanturę, ale tego ranka nadrobiła zaległości z nawiązką. Zgodnie ze słowami hrabiny Karla była skończoną idiotką, która w głowie miała tylko siano. Oczywiście nie było to jedyne wyzwisko, jakie Karla usłyszała tego ranka. Lady Padbury wymyślała jej przez prawie godzinę. Dziewczyna cały czas starała się zachować spokój, ale w końcu wypadła z pokoju macochy ze łzami w oczach.

U siebie wypłakała się i nieco uspokoiła. Napisała list do lady Blackburn, pytając ją o to, co sądzi o zachowaniu swojej protegowanej podczas wczorajszego balu. Gdy zeszła na dół do saloniku, w drzwiach pojawił się kamerdyner.

- Panno Karlo, czy życzy pani sobie zobaczyć się z księżną Greenwich i lady Christiną?

- Oczywiście. Zawsze cieszę się na spotkanie z nimi.

- Czy przyjmie je pani tu czy w salonie?

Karla rozejrzała się po lśniącem czystością pokoju.

- Tutaj.

Harris kiwnął głową i wyszedł. Po kilku chwilach wrócił z gośćmi.

Po powitaniu, gdy wszystkie trzy kobiety usiadły, Tina spytała:

- Czy ty wiedziałaś o uprowadzeniu Beth?

- Nie. I wątpię, żeby ktokolwiek znał tę historię z wyjątkiem samych zainteresowanych.

- Ale...

- Wyobraź sobie, jakie to musiało być straszne doświadczenie dla Beth! - Karla wzdrygnęła się na samą myśl o takim koszmarze. - A publiczne opowiedzenie tego, co się wydarzyło, wymagało jeszcze większej odwagi. Ja takiej nie posiadam.

- Podobnie jak większość kobiet - stwierdziła księżna. - Bałyby się, że stracą dobre imię. Ale pani chyba siebie nie docenia. Według mnie na miejscu panny Castleton postąpiłaby pani tak samo.

Karla zamyśliła się.

- Na pewno próbowałabym uratować tę dziewczynkę. I zgodziłabym się pomóc Weymouthowi. Nie wahałabym się wrócić z

nim do Londynu nawet bez pokojówki, ale chyba nie odważyłabym się otwarcie stawić czoła lady Arabelli na balu.

Księżna pokręciła głową, ale nic nie powiedziała. Być może dlatego, że w drzwiach pojawił się Harris.

- Panno Karlo, przybyła markiza Kesteven z córkami.

- Proszę je wprowadzić.

Debora nie posiadała się z radości, że Karla jest w domu i że towarzyszą jej księżna i Tina. Diana natomiast była wyraźnie zmieszana i Karla zastanawiała się, dlaczego w ogóle przyszła.

Temat do rozmowy był oczywiście jeden: dramat, który przeżyła Beth. Diana nie odzywała się prawie wcale. Żeby pozwolić jej włączyć się do dyskusji, Karla spytała bliźniaczki:

- A wy na miejscu Beth stawiałybyście czoła lady Arabelli?

- Nie wiem - odparła Debora. - Myślałam o tym wczoraj, ale nie jestem pewna, czy wystarczyłoby mi odwagi.

- A ja nigdy nie znalazłabym się w takiej sytuacji - wypaliła Diana.

- Nie próbowałabyś ratować tej dziewczynki? - Tina nie wierzyła, że można być tak obojętnym na los małego dziecka.

- Może. - Diana wzruszyła ramionami. - Gdybym ją знаła, może zdecydowałabym się jej pomóc.

Markiza spojrzała na córkę z ukosa.

- Lord David Winterbrook powinien być wdzięczny losowi, że to Beth Castleton, a nie ty zauważyłaś porwanie jego córki.

- Gdyby nie ratowała tej dziewczynki, nie wplątałaby się w skandal.

Wszystkie pięć dam z niedowierzaniem spojrzało na Dianę. Pierwsza odzyskała głos księżna.

- Panna Castleton nie wiedziała, jakie konsekwencje będzie miał jej szlachetny uczynek. Ale nawet gdyby była ich świadoma, prawdopodobnie postąpiłaby tak samo.

Karla, Tina, Debora i lady Kesteven przytaknęły z przekonaniem.

- Skoro lady Arabella uparła się, żeby zmusić Weymoutha do małżeństwa, pewnie i tak rozpowiadałaby kłamliwe plotki o Beth - zauważyła Karla.

- Słusznie, panno Lane - powiedziała księżna. - Tym bardziej że książkę najczęściej widywany jest właśnie w towarzystwie panny Castleton.

- Może w ten sposób próbuje jej okazać wdzięczność - argumentowała Diana.

- Być może - przyznała księżna - ale nie sądzę.

- Ja też się z tym nie zgadzam - stwierdziła markiza. Karla miała nadzieję, że damy się nie mylą.

- Beth Castleton dużo czasu spędza z lordem Dunnleyem - nie poddawała się Diana. - A markiz Elston nie odstępował jej ani na krok w tym tygodniu.

Dlaczego Diana nie potrafiła przyznać im racji?

- Elston jest jedyną osobą, oprócz Weymoutha, która mogła udowodnić, że krążące o Beth plotki są nieprawdziwe. Jako człowiek szlachetny nie pozwolił, by oczerniano jego przyjaciół. Rzeczywiście - dodała, by zakończyć ten temat - Elston pokazywał się w tym tygodniu z Beth, ale wcześniej poświęcał sporo czasu innym młodym damom, w tym twojej siostrze.

- I tobie - odezwały się jednocześnie Tina i Debora.

- W tym tygodniu i Elston, i Dunnley okazali swoje wsparcie pannie Castleton - przyznała księżna. - Co więcej, Dunnley towarzyszył pannie Castleton i lady Julii na kilku przyjęciach w tym sezonie. Ale mnie chodziło nie o to, że Beth Castleton okazywała szczególną sympatię Weymouthowi, tylko on jej.

- Wszystko jedno, i tak będzie musiał się z nią ożenić. Pogardliwa uwaga Diany sprawiła, że Jady Kesteven zerwała się na równe nogi.

- Obawiam się, że musimy już iść.

Ona i Debora uśmiechnęły się z przymusem. Diana natomiast nawet się nie zmieszała. Po wyjściu pań Woodhurst zapadła cisza, którą przerwała Tina.

- Cóż, bardzo interesujące spostrzeżenie. Ciekawe, czy Diana kłóciłyby się też, że niebo nie jest błękitne.

- Tino! - oburzyła się księżna.

- Przepraszam. Musiało to zabrzmieć równie złośliwie jak uwagi Diany. Mnie po prostu trudno uwierzyć, że dwie tak podobne do siebie dziewczyny mają tak różne charaktery.

- Mnie także - przyznała Karla.

- Tak zwykle bywa z bliźniakami, identyczny wygląd i zupełnie różne osobowości. - Księżna wstała i odwróciła się do córki. - Na nas też już czas.

Karla wzięła Tinę pod rękę i odprowadziła gości do wyjścia. Wzrok księżnej przykuła srebrna taca na stoliku przy lustrze.

- Wygląda na to, że miała pani gości i rano, panno Lane.

Karla spojrzała pytająco na kamerdynera.

- Dostarczył to lokaj lady Sefton - wyjaśnił Harris. - Z pozdrowieniami.

- Twój karnet! To musi być twój karnet! - Tina cieszyła się jak dziecko. - Och, proszę, otwórz wreszcie tę kopertę.

- Proszę wybaczyć ciekawość mojej córki, panno Lane. I dla mojego dobra - księżna usiadła na krześle - proszę ją zaspokoić. Inaczej Tina nie da mi dziś spokoju.

Karla uśmiechnęła się i wzięła kopertę do ręki. Miała nadzieję, że Tina się nie myli, ale z drugiej strony karnet zostałby wysłany raczej do lady Padbury, a nie bezpośrednio do niej.

Gdy otworzyła list, wypadł z niego upragniony kartonik. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak tańczy u Almacka z Elstonem. W miarę jednak, jak czytała wiadomość od lady Sefton, wyraz jej twarzy zmienił się nie do poznania.

Księżna dotknęła jej dłoni.

- Co się stało, moja droga?

Karla bez słowa wręczyła księżnej list. Ta szybko przebiegła wzrokiem po zapisanych drobnym pismem linijkach. Objęła Karłę ramieniem i wstała.

- Wróćmy do saloniku i przedyskutujmy to. Może będę mogła pomóc.

Karla uśmiechnęła się z przymusem.

- Dziękuję, księżno. Jestem pani bardzo wdzięczna, ale tę bitwę muszę stoczyć sama.

Przez cały ranek Robert nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wałęsał się z pokoju do pokoju w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia, ale bezskutecznie. Wziął więc do ręki altówkę z nadzieją, iż muzyka umili mu czas oczekiwania na wieści od George'a, który wcześniej rano miał złożyć wizytę w rezydencji Castletonów. Po południu i Robert zamierzał odwiedzić kilkoro znajomych. Przede wszystkim Karłę, ale także lady Deborę i Harriett Broughton. Nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie małżeństwa.

Nie był na razie gotowy, żeby się oświadczyć, ale chciał poprosić Karłę, żeby wybrała się z nim na przejażdżkę do parku. Jeśli będzie

się zachowywała swobodniej niż ostatnim razem, postanowił dowiedzieć się, kto jest jej prawnym opiekunem. Lady Blackburn prawdopodobnie wiedziała, ale Robert nie chciał jej zbyt wcześnie zdradzać swoich zamiarów. Syn hrabiny pewnie też mógłby mu pomóc, ale Robert wahał się, bo nie wiedział, czy serdeczność Blackburna wobec Karli wynika z jego uprzejmości, czy też ma inne podłoże. Gdy wybiła pierwsza, Robert zamknął książkę i wstał.

- Ciociu, jadę odwiedzić pannę Lane, a potem kilka innych dam. Chcesz mi towarzyszyć?

Lavinia zerknęła na zegar.

- Chyba jest trochę za wcześnie na wizytę?

- Być może, ale panna Lane nie będzie miała nic przeciwko naszym odwiedzinom.

- W przeciwieństwie do swojej macochy. Robert potrząsnął głową.

- Lady Padbury nic nie powiedziała, gdy odwiedziłem je kilka dni temu o podobnej porze.

- Poznałam wczoraj panie Lane. Lady Blackburn nas sobie przedstawiła.

Lavinia była na balu u St. Ivesów z lady Blackburn i jej synem. Robert miał odprowadzić ją do domu po przyjęciu, ale zupełnie zapomniał o tym obowiązku, gdy gospodyni opowiedziała jemu i George'owi o konfrontacji Beth z lady Arabellą. Przepełniony poczuciem winy przeprosił ciotkę podczas śniadania. Na szczęście Lavinia wybaczyła mu i powiedziała, że postąpił słusznie, wychodząc z przyjacielem.

- Zamierzasz pogłębić tę znajomość? - spytał, bo choć chętnie poznałby zdanie ciotki o Karli, nie chciał jeszcze zdradzać jej swojego zainteresowania dziewczyną.

- Panna Lane - Karolina Lane - jest jedyną osobą w tej rodzinie, którą warto bliżej poznać, a ona raczej nie będzie życzyła sobie przyjaźnić się ze starą panną.

- Chyba nie doceniasz siebie, ciociu. Ani panny Lane.

- Być może. - Liwy wzruszyła ramionami. - Ona wygląda na osobę raczej zamkniętą w sobie, a mimo to jako jedyna pożegnała się wczoraj z panną Castleton.

Nawet ją uścisnęła. Na pewno wiedziała, że jej macosze - tej irytującej, bezczelnej kobiecie - się to nie spodoba, ale jednak okazała publicznie lojalność wobec przyjaciółki.

- Tak, lojalność Karli jest godna pochwały.

Robert nie wątpił, że panna Lane dostała od macochy za swoje za wczorajszy skandal. Atmosfera w rezydencji Padburych musiała dziś być bardzo nieprzyjemna.

- Skoro nie dajesz się namówić, by mi towarzyszyć, ciociu, chciałbym cię prosić o przysługę. Jeśli przyjdzie Weymouth, proszę przyjmij go i porozmawiaj z nim. - Robert uśmiechnął się. - George wreszcie uświadomił sobie, że kocha Beth. Zamierzał dziś rano oświadczyć się jej.

- Oczywiście, że go przyjmę. Mam nadzieję, że przyniesie dobre wieści. Według mnie oboje bardzo do siebie pasują.

- Zgadzam się. - Robert pochylił się i pocałował ciotkę w policzek. - Wrócę przed kolacją.

Załóżył kapelusz i rękawiczki i z laską w dłoni skierował się do wyjścia. W progu przystanął.

- Baxterze, jeśli przyjdzie lord Weymouth, przyjmie go lady Lavinia. Nawet jeśli będzie chciał się widzieć ze mną, zaprowadź go do salonu.

Kamerdyner kiwnął głową.

- Oczywiście, lordzie. Czy lady Lavinia będzie również przyjmowała innych gości?

- O to musisz zapytać ją.

- Dobrze.

Droga z ulicy Upper Brook na Curzon nie była długa, ale Roberta i tak zdążył ogarnąć niepokój. Ciągłe zastanawiał się, czy Karla nie będzie się czuła nieswojo w jego obecności i czy lady Padbury miała jej za złe wczorajsze zachowanie na balu. Gdy jednak dotarł do rezydencji Padburych, okazało się, że zupełnie nie był przygotowany na obejrzenie scen, które się tam właśnie rozgrywały.

Wystarczyło, by kamerdyner uchylił drzwi, żeby dało się słyszeć wrzaski wicehrabiny. Robert pchnął drzwi szerzej i wszedł do środka.

- Co się tu, u licha, dzieje, Harrisie? Służący nie odpowiedział od razu.

- Lady Padbury znowu złości się na pannę Karłę. - W głosie kamerdynera wyraźnie słychać było zaniepokojenie. - Rano nie było jeszcze tak źle, ale teraz...

Najwyraźniej brakowało mu słów, żeby opisać piekło, które rozpętało się w rezydencji. Robert zdjął rękawiczki i spytał:

- Czy mam rację, sądząc, że panna Lane została zbesztana za okazanie swojej lojalności wobec panny Castleton wczoraj na balu?

- Tak mi się wydaje.

- A teraz?

Robert zdjął kapelusz, włożył do niego rękawiczki i razem z laską oddał kamerdynerowi. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, wyjaśnił:

- Nie mogę pomóc Karli, jeśli nie rozumiem, na czym polega problem.

- Czyżby zamierzał pan pomóc panience, lordzie Elston?

- Tak, Harrisie, zamierzam. A jeśli sam sobie nie poradzę, poproszę o wsparcie innych.

Kamerdyner z ulgą kiwnął głową.

- Panna Karla otrzymała karnet do Almacka dziś rano. Natomiast lady Padbury i panna Lydia nie.

Robert przypomniał sobie swoją rozmowę z lady Blackburn na przyjęciu u Throckmortonów. Wówczas sądził, że hrabina przesadza, ale najwyraźniej się pomylił.

- Czy Karli ma towarzyszyć lady Blackburn?

- Tak, lordzie. Księżna Greenwich także ofiarowała swoją pomoc.

- A więc jeśli sam nie rozwiążę tego problemu, będę miał potężnych sojuszników.

Wrzask wicehrabiny stawał się coraz donośniejszy, a obelgi coraz złośliwsze, więc Robert, nie zwlekając, ruszył na górę.

- Najlepiej będzie, jeśli mnie nie będziesz anonsował, Harrisie.

Robert z progu pokoju ocenił panującą w środku sytuację. Czerwona ze złości lady Padbury wygłaszała kąśliwą tyradę, której nie powstydziałaby się rozeźlona przekupka na targu. Lydia siedziała skulona w kącie pokoju, a Karla - blada i ze spuszczoną głową - na sofie. Gdy wicehrabina ruszyła w stronę pasierbicy, Robert wkroczył do pokoju.

- Co się tu, u licha, dzieje?

Na dźwięk rozkazującego głosu majora w stanie spoczynku wszystkie trzy damy odwróciły się do drzwi. Gdy lady Padbury uświadomiła sobie, że musiał słyszeć przynajmniej część jej tyrady, zbladła. Kilka chwil milczała, po czym wykrztusiła:

- Nic szczególnego, lordzie. Mała kłótnia rodzinna.

- Nie sądzę - odparł Robert, podchodząc do niej. - Tę małą kłótnię słyszać aż na ulicy.

Większość kobiet taka uwaga zbiłaby z tropu, ale nie wicehrabinę.

- Po co pan właściwie przyszedł?

- Żeby zaprosić pannę Lane na przejażdżkę. - Spojrzał przez ramię na Karłę i uśmiechnął się z nadzieją, że dziewczyna domyśli się, iż chodzi mu tylko o to, by zabrać ją choć na trochę z domu. - Ale najpierw chętnie wysłucham wyjaśnień.

- Nie muszę się tłumaczyć przed panem.

- Może i nie. - W głosie Elstona zabrzmiała stal. - Ale albo wyjaśni mi pani przyczyny tej scysji, albo podzielę się ze znajomymi informacją o tym, co tu zastałem.

Lydia sapnęła przerażona. Wicehrabina zaczerwieniła się, po czym zaczęła:

- Żaden szanujący się dżentelmen...

- Ależ właśnie honor nakazuje mi opowiedzieć wszystkim o tym, jak traktuje pani swoją pasierbicę.

Lady Padbury przez chwilę rozważała obie możliwości, po czym opadła ciężko na krzesło. Robert, mimo że nikt go nie zaprosił, usiadł na sofie obok Karli.

Ku jego zaskoczeniu odezwała się Lydia.

- Mama jest zła, bo Caroline... Karla dostała karnet do Almacka, a ja nie.

Znacznie łagodniejszym tonem, niż zwracał się do wicehrabiny, Robert wyjaśnił:

- Nie mogła pani go otrzymać, Lydio. Zgodnie z regulaminem Almacka tylko dwie damy z rodziny mogą otrzymać karnet.

- Nie wiedziałam o tym. Mama na pewno też nie.

- Być może, ale wiedziałyby, gdyby sama otrzymała karnet podczas swojego debiutu albo gdy poślubiła pani ojca.

Lydia zgarbiła się przygnębiona, gdy zrozumiała aluzję Elstona. Jeśli matka nigdy nie miała karnetu do Almacka, ona też raczej go nie

dostanie. Dziewczyna zerknęła na lady Padbury, ale ta wydawała się całkowicie pograżona we własnych myślach.

- To wina mamy, a nie Karli, prawda? - spytała w końcu.

Robert taktownie nie odpowiedział na to pytanie. Wzruszył ramionami, po czym odwrócił się do Karli.

- Jeśli istnieje groźba, że pani macocha będzie na pani wyładowywać swoją złość za moją dzisiejszą wizytę, uważam, że powinna pani przenieść się na kilka dni do lady Blackburn.

- Zrobiłabym to z największą przyjemnością, ale nie zostałam zaproszona.

- Wstąpimy do rezydencji Blackburnów w drodze powrotnej z parku. Wystarczy jeden rzut oka na panią, by została pani przyjęta z otwartymi ramionami. Jeśli chodzi o pani macochę, nie zamierzam jej pytać o zdanie.

- Poproszę Mary... nie, Collinsa, żeby cię spakował - zaproponowała Lydia. - A Harris zanieś rzeczy do rezydencji Blackburnów.

Przygnębiona Karla skapitulowała.

- Dobrze.

Lydia skoczyła na równe nogi i uścisnęła siostrę.

- Przyniosę ci spencer i kapelusz - powiedziała. - Czy mogę panu zadać pytanie, lordzie Elston?

- Tak.

- Czy pan naprawdę opowiedziałby znajomym o tej awanturze?

- Tak, ale nie wspominałbym ani o Karli, ani o pani. Kilka minut później, gdy Lydia wróciła z ubraniem Karli, lady Padbury wciąż siedziała nieruchomo. Robert był ciekaw, o czym myśli wicehrabina, ale przede wszystkim skupiał się na Karli. Chciał jak najszybciej zabrać pannę Lane z tego domu i obronić ją przed kolejnymi awanturami. Stwierdził jednak, że lady Padbury powinna być świadoma tego, co zamierzał zrobić. Stłumił westchnienie i zbliżył się do krzesła wicehrabiny.

- Lordzie, lepiej będzie, jeśli ja porozmawiam z mamą - odezwała się Lydia.

- Jest pani pewna, że chce się podjąć tego zadania?

- Tak - zdecydowanym tonem odparła Lydia.

- Dobrze, ale jeśli zmieni pani zdanie i uzna, że potrzebuje mojej pomocy, proszę przesłać wiadomość do rezydencji Symingtonów. Lady Blackburn także na pewno napisze do pani matki. Pani...

- Poproszę Harrisa, żeby nic jej nie przekazywał, dopóki z nią nie porozmawiam.

Choć do tej pory Lydia nie wykazała się stanowczością charakteru właściwą jej przyrodniej siostrze i bratu, Robert musiał jej zaufać. Miał tylko nadzieję, że nie będzie tego żałował.

Przerażona i zawstydzona tym, że Elston usłyszał część wymówek macochy, Karłą zeszła na dół ze spuszczoną głową. Powiedziała Harrisowi, że kilka następnych dni spędzi u lady Blackburn. Gdy jednak wsiedli do kabrioletu, nie mogła dłużej unikać wzroku markiza.

- Czy pani macocha często urządza takie awantury? Karła westchnęła.

- Zbyt często jak dla mnie.

- Już jeden raz to za dużo - odparł Elston. - Jak często musi pani wysłuchiwać takich złorzeczeń?

- W Londynie czy w Paddington Court?

- A jest jakaś różnica?

- Tak. W domu było trochę spokojniej, szczególnie po tym, jak zabroniła mi pokazywać się na dole.

Robert zaklął pod nosem.

- Jak często, Karlo?

- Pierwszy raz w Londynie zdarzyło się po tym, jak uciekłam od modystki. Potem była awantura przed przyjęciem u Beth i jeszcze jedna wczoraj rano po wizycie lady Blackburn, księżnej Greenwich i lady Kesteven. Aha, no i dzisiaj ostatnia, ta, którą pan przerwał.

- Boże!

Przestraszona wybuchem lorda Karła zaczęła się jękać.

- Ja... ja myślę, że z - zasłużyłam sobie tylko n - na tę pierwszą.

Robert pogłodził Karłę po policzku. Dziewczyna zadrżała.

- A ja uważam, że nie zasłużyła pani na żadną. Elston naprawdę był jej bohaterem! Dziś uratował ją dokładnie tak, jak wyobrażała to sobie w marzeniach.

- Dziękuję panu.

- Za co?

- Za to, że pan wierzy we mnie. I za to, że mnie pan dziś ocalił. Nie wiem, jak długo mogłabym jeszcze znosić awantury macochy.

- Kiedy zaczęła się ta dzisiejsza?

- Nie pamiętam. Chyba godzinę przed pana przyjazdem.

Robert skrzywił się i ściągnął lejce. Powóz ruszył.

- Czy sądzi pani, że lady Padbury pozwoli pani spędzić resztę sezonu u lady Blackburn?

- Nie. Bardzo bym tego chciała, ale to niemożliwe.

- Skąd ta pewność?

- Przed naszym przyjazdem do Londynu hrabina sama to zaproponowała, ale macocha stanowczo odmówiła.

Elston nie odpowiedział.

- Czy Lydia czasem pani broni? - spytał po kilku krokach.

- Próbowала kilka razy, ale macochę to jeszcze bardziej złości. Zdziwiłam się, gdy dziś stanęła po mojej stronie. Na pewno jest rozczarowana, że nie dostała karnetu.

- Mimo to jest na tyle inteligentna, żeby wiedzieć, iż to nie pani wina. Chociaż muszę przyznać, że obawiam się, w jaki sposób przedstawi matce to, co się wydarzyło dziś po południu.

- Lydia nie zawsze jest szczerą, ale dziś była naprawdę zaskoczona oskarżeniami matki.

- Nic dziwnego - mruknął Elston.

Karla spojrzała na niego, zastanawiając się, co właściwie zdążył usłyszeć w salonie.

- Myślę, że Lydia powie prawdę.

- Ale nie jest pani pewna?

- Nie, niezupełnie, ale w tym konkretnym przypadku szczerą się jej opląci.

- Jak to?

- Lydia mnie nie zatrzymała. Pozwoliła mi wyjść. Lady Padbury będzie wściekła, chyba że stwierdzi, iż istniał przekonujący powód, by mnie wypuścić.

Elston uśmiechnął się.

- Czy ja jestem takim powodem?

- Oczywiście. Według wicehrabiny porządni kawalerowie nie mogliby nikomu wyrządzić krzywdy.

- Pani chyba tak nie myśli!

- Ja nie, ale wicehrabina tak. Robert skrzywił się i zapytał:

- Mówiła pani, że lady Padbury będzie miała za złe córce, że pozwoliła pani wyjść. A ona sama? Też nie zaprotestowała. Chyba nawet nie zorientowała się, co się stało.

- Jej o wiele łatwiej jest winić innych niż siebie.

- A jak często pani obrywała za nie swoje przewinienia?

Karla zaczęła się niespokojnie wiercić. Wolałaby porozmawiać na inny temat.

- Dość często.

- Ale konkretnie - wycodził Elston.

- Często. - Karla zamrugnęła, żeby powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy. - Proszę, czy możemy porozmawiać o czymś innym?

Robert przełożył lejce do jednej ręki, drugą przykrył zaciśnięte dłonie Karli.

- Proszę o wybaczenie. Nie chciałem sprawić pani przykrości.

Troska i skrucha, które wyraźnie słyhać było w głosie Elstona, omal nie doprowadziły Karli do łez. Dziewczyna przygryzła wargi, bo nie ufała własnemu głosowi.

- Może powinna pani pojechać do lady Blackburn już teraz. Na przejażdżkę po parku wybierzemy się po południu.

- Dobrze - wykrztusiła Karla i wybuchnęła płaczem. Chwyła torebkę, ale nie była w stanie rozplątać wstążeczek. Elston kolejny raz przyszedł jej na ratunek, podając swoją chusteczkę.

Kilka minut później znaleźli się przed rezydencją Blackburnów. Karla odetchnęła z ulgą i otarła mokre policzki.

- Karlo? - Tak?

Nie podniosła głowy, żeby nie pokazywać Elstonowi zaczerwienionych oczu.

- Mam trzydzieści lat i nieraz widziałem płaczące kobiety. A pani miała więcej od nich powodów do rozpacz.

- Trzydzieści? - Karla spróbowała odwrócić uwagę Roberta od swoich spuchniętych powiek. - Myślałam, że ma pan dwadzieścia dziewięć lat.

Elston westchnął.

- Rzeczywiście. Moje urodziny wypadają pod koniec miesiąca. - Robert delikatnie ujął ją pod brodę. - Widzi pani ten dom z zielonymi drzwiami i okiennicami po drugiej stronie ulicy w połowie drogi do placu Grosvenor?

- Tak.

Był to największy budynek na tej ulicy.

- To rezydencja Symingtonów. Jeśli będzie pani potrzebowała mojej pomocy w jakiegokolwiek sprawie, proszę mi przesłać wiadomość.

Poruszona troską Roberta Karła przymknęła oczy, żeby powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy. Kochała go od tylu lat! On, choć nie odwzajemniał jej uczuć, martwił się o nią. Na razie będzie musiało jej to wystarczyć.

- Do Londynu przyjechała ze mną ciotka. O ile wiem, poznała ją pani wczoraj.

Karla przytaknęła.

- Tak. Wyjątkowo miła osoba.

- Ona to samo mówi o pani. - Zawahał się, po czym dodał: - Stwierdziła nawet, że jest pani jedyną wartościową osobą w rodzinie Padburych.

Karla spojrzała na niego zaskoczona.

- Zrobiła pani na niej ogromne wrażenie, tak otwarcie wspierając Beth.

- Czy sądzi pan, że lady Lavinia mogłaby wpłynąć na macochę i sprawić, żeby zmieniła zdanie w tej kwestii?

Elston uśmiechnął się cierpko.

- Jeśli ją poprosimy, na pewno spróbuje, ale lady Padbury jest bardzo uparta.

Karla westchnęła zrezygnowana.

- Rzeczywiście.

- Jeśli lady Blackburn nie ma w domu, pojedziemy do mnie. Napije się pani herbaty z moją ciotką, a ja napiszę list do hrabiny i wyjaśnię jej, co się stało.

Karla nie czuła się na siłach, żeby spotkać się z ciotką Roberta, której prawie wcale nie знаła, ale wolała wizytę w rezydencji Symingtonów niż powrót do macochy.

- Dobrze.

Robert wysiadł z powozu i pomógł jej zejść na dół. Na szczęście lady Blackburn była w domu. Parks, kamerdyner hrabiny, spojrzał uważnie na Karłę i bez słowa zaprowadził gości do salonu. Po kilku minutach dołączyła do nich gospodyni.

Popatrzyła na mokre policzki Karli, potem na ponurą minę Elstona.

- Co się stało? - spytała.

Gdy Robert wszystko jej opowiedział, hrabina oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Karlo, resztę sezonu spędzisz ze mną. Dziewczyna nie marzyła o niczym innym, ale nie chciała ukrywać prawdy przed lady Blackburn.

- Wicehrabina się na to nie zgodzi.

- Owszem, zgodzi się - twardo odparła hrabina. Elston uśmiechnął się.

- Nie da jej pani wyboru, prawda?

- Właśnie.

- To dobrze, ja postąpiłem tak samo. Wyczerpana Karla przymknęła oczy. Kilka minut później Robert wstał, żeby się pożegnać.

- Karlo, miała pani dziś ciężki dzień. Mam nadzieję, że jutro poczuje się pani lepiej i będzie mogła wybrać się ze mną na przejażdżkę do parku.

Dziewczyna uśmiechnęła się z trudem.

- Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Z przyjemnością spotkam się z panem jutro.

Po wyjściu z rezydencji Blackburnów Robert wrócił do domu. Gdy dowiedział się, że George nie przyszedł z wizytą, zaniepokojony udał się do rezydencji Bellinghamów. Hargrave, zwykle opanowany i beznamiętny, powitał go z widoczną ulgą. W drzwiach salonu służący zdążył mu jeszcze szepnąć do ucha: „Proszę coś z tym zrobić”.

George siedział w fotelu przy kominku wpatrzony w kartkę papieru, którą ścisnął w dłoni.

- Witaj - przywitał przyjaciela zatroskany Robert. George wyprostował się i spojrzał na Elstona nieobecny wzrokiem.

- Od rana czekałem w rezydencji na twoją wizytę.

- Czyżbyśmy się umówili? Wybacz, zupełnie zapomniałem.

Nie czekając na zaproszenie, Robert usiadł na krześle. Zastanawiał się, jakie złe wieści znajdowały się w liście, który czytał przyjaciel.

- Powiedziałeś, że odwiedzisz mnie po wizycie w rezydencji Castletonów. Miałem nadzieję, że jako pierwszy będę mógł złożyć ci gratulacje. George ukrył twarz w dłoniach.

- Ona wyjechała.

- Kto?

- Beth.

- Dokąd?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Robert nachylił się do przodu.

- Czyżby Beth opuściła Londyn bez pożegnania się z kimkolwiek?

- Zostawiła wiadomość wujowi i lady Julii. Do mnie też napisała, ale ani słowem nie wspomniała, dokąd się wybiera. - George spojrział na kartkę i zacytował: - „Ponieważ straciłam dobre imię i przyniosłam wstyd swoim najbliższym, wyjeżdżam na jakiś czas z Londynu z nadzieją, że moja nieobecność zmniejszy niechęć okazywaną z mojego powodu panu, wujowi Charlesowi i cioci Julii”.

- Tak po prostu wyjechała? - spytał Robert z niedowierzaniem. - Sama?

- Nie. Z pokojówką.

George opadł bezsilnie na oparcie fotela.

- Czy Castleton albo ty zamierzacie jej szukać?

- Tak. Castleton sprawdza wszystkie swoje posiadłości. Ja posłałem służących, żeby szukali jej w gospodach i portach, ale na razie są to bezskuteczne wysiłki. Jeden ze stajennych, co prawda, jeszcze nie wrócił i liczę, że znalazł jakiś ślad Beth i podąży za nią. Nie jestem jednak pewien i do rana nic więcej nie będę wiedział.

- W razie czego rano pošlesz kogoś za nim.

- Tak. I będę się modlił, żebyśmy odnaleźli Beth.

- Czy Castleton albo lady Julia podejrzewają, dokąd mogła się udać?

- Castleton uważa, i ja się z nim zgadzam, że Beth nie pojedzie do Castleton Abbey. Buckinghamshire jest zbyt blisko Londynu. Plotki pewnie tam dotrą za dzień lub dwa. Beth jest osobą rozsądną i inteligentną. Według mnie w normalnych okolicznościach - choć te takie nie były - z pewnością wzięłaby pod uwagę odległość od stolicy.

- W takim razie inna posiadłość. Która leży najdalej od Londynu?

- Castleton powiedział, że Beth była tylko w Buckinghamshire.

- Może pojechała odwiedzić jakąś przyjaciółkę? George pokręcił głową.

- Wszystkie są w stolicy.

- Myślisz, że którejś zwierzyła się, co zamierza zrobić?

- Kiedy? Wczoraj wyszła z balu wcześniej niż inni, a z rezydencji zniknęła przed szóstą rano.

Pośpiech był rzeczywiście konieczny, ale Robert mimo wszystko uważał, że dobrze byłoby porozmawiać z przyjaciółkami Beth.

- Czy wysłała list do kogoś spoza rodziny?

- Nie spytałem o to dziś rano, ale zaraz napiszę do Castletona.

- Jeśli Beth komukolwiek zdradziła swój plan, to tylko pannie Lane. Co prawda, Karolina nie wspomniała nic o Beth, gdy się z nią widziałem, ale miała inne sprawy na głowie. Odwiedzę ją po drodze do domu i spytam o to.

Przy okazji zamierzał również sprawdzić, czy Karla czuje się lepiej po porannej awanturze.

- Dziękuję, Robercie. Daj mi znać, jeśli okaże się, że panna Lane coś wie.

- Oczywiście. Wrócę do ciebie i powiem, czego się dowiedziałem. Potem przy kolacji zastanowimy się, co dalej.

Rozdział 15

Robert zdawał sobie sprawę, że nie wypada mu tak szybko zjawiać się ponownie w rezydencji Blackburnów, ale dla dobra przyjaciół był gotów narazić się na śmieszność. Tymczasem okazało się, że hrabina wydała dyspozycje, by wpuszczać go bez względu na porę odwiedzin. Kamerdyner od razu zaprowadził go do salonu i zaanonsował.

Lady Blackburn odłożyła książkę i wstała, by przywitać gościa.

- Dwie wizyty jednego dnia? - zdziwiła się. - Założę się, że to nie mój urok skłonił pana do ponownego przyjścia.

- Tak i nie, hrabino - ukłonił się Elston. - Według mnie mało która dama może się z panią równać, jeśli chodzi o kobiecy urok, ale przyszedłem ze względu na kłopoty, które dotknęły moich przyjaciół.

Hrabina wskazała mu krzesło, a sama wróciła na miejsce na sofie.

- Karla odpoczywa, ale chyba... doszła do siebie po przeżyciach dzisiejszego dnia. Gdy zaprowadziłam ją do jej pokoju, wydawała się naprawdę szczęśliwa.

- Cieszę się, ale nie o nią martwię się w tej chwili. To znaczy - poprawił się - nie tylko o nią.

- Coś się stało?

Robert zdenerwował się, widząc, że zaniepokoił gospodynię.

- Nic co bezpośrednio dotyczyłoby Karli.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

- Przede wszystkim muszę panią poprosić, aby ta rozmowa pozostała między nami.

Robert stwierdził, że ani Castletonowie, ani George nie będą mieli nic przeciwko temu, by wtajemniczył lady Blackburn i Karłę w sprawę zniknięcia Beth. Obie damy przyjaźniły się z Amerykanką i nie zniżyłyby się do plotkowania.

Hrabina przyjrzała mu się uważnie. Robert o mało nie zaczął się wić pod jej przenikliwym wzrokiem.

- Nie wolno mi nic zdradzić nawet Karli?

- Myślę, że Karla ma wystarczająco dużo własnych zmartwień, ale jej akurat może pani się zwierzyć.

- Dobrze. Obiecuję, że nic nikomu nie powiem z wyjątkiem Karli, jeśli uznam za stosowne podzielić się z nią pańskimi rewelacjami.

- Dziękuję, hrabino. Gdy usłyszysz pani, co mam do powiedzenia, zrozumie pani, dlaczego proszę o dyskrecję.

Do salonu wszedł Parks z herbatą. Gdy zniknął za drzwiami, lady Blackburn podniosła czajniczek z tacy, ale zaraz go odstawiła.

- Czy wolałby pan kieliszek wina?

Robert uśmiechnął się. Mężczyźni w przeciwieństwie do kobiet nie przepadali za herbatą. Lady Blackburn najwidoczniej sądziła, że podobnie jest w jego przypadku.

- Nie, dziękuję - odparł.

Gdy gospodyni napełniała filiżanki i częstowała go ciastkami, starał się zebrać myśli.

- Właśnie dowiedziałem się od Weymoutha, że dziś rano Beth Castleton wyjechała z Londynu. George razem z lady Julią i jej bratem starają się odnaleźć dziewczynę, bo w listach, które do nich napisała, nie zdradziła, dokąd się wybiera. Przyznam, że liczymy na to, iż zwierzyła się Karli.

- Lady Julia i Castleton na pewno odchodzą od zmysłów! Dlaczego Beth to zrobiła?

- Weymouthowi napisała, że po wczorajszej konfrontacji z lady Arabellą bezpowrotnie zrujnowała sobie reputację.

- Biedne dziecko! - Hrabina zmarszczyła czoło. - I nikt nie wie, dokąd pojechała?

- Nie, chyba że zwierzyła się przyjaciółce. Pomyślałem, że jeśli tak, to właśnie Karli.

- Postaram się ją dyskretnie wypytać i dam panu znać, gdy się czegoś dowiem. Na razie nie zdradzę jej, o czym rozmawialiśmy, bo nie chcę jej bardziej przygnębiać.

- Proszę zrobić to, co pani uważa za słuszne. Robert odstawił filiżankę i wstał.

- Proszę wybaczyć mi to nagle najście, ale muszę jeszcze zobaczyć się z Weymouthem.

- Tu jest pan zawsze mile widzianym gościem.

- Dziękuję - ukłonił się. - W takim razie do jutra, hrabino.

W niedzielę rano Robert obudził się z bólem głowy. Był to nieunikniony rezultat spożycia wyjątkowo dużej ilości brandy poprzedniego wieczoru, gdy próbował rozweselić George'a przygnębionego zniknięciem Beth.

Z zamkniętymi oczami sięgnął po sznurek od dzwonka. Kilka chwil później w pokoju zjawił się Higgins. Spojrzał na swego pana i oznajmił:

- Zaraz wrócę z lekarstwem i kawą.

Lekarstwo - ohydna mikstura, którą kamerdyner przygotowywał według receptury swojego dziadka - dawała świetne rezultaty w walce z dolegliwościami związanymi z nadużyciem alkoholu. Kilka lat temu Robert dość często sprawdzał jej skuteczność. Teraz skrzywił się i usiadł na łóżku. Pomyślał, że o ile istnieje na tym świecie sprawiedliwość, George powinien czuć się jeszcze gorzej, bo wypił dwa razy więcej.

Godzinę później wyleczony, umyty, ogolony i ubrany zszedł na dół. Na śniadanie nie miał ochoty, ale posiedział z ciotką przy kawie. Na szczęście Liwy nie lubiła dyskusji przy śniadaniu. Robert przeprosił, że nie zjadł z nią wczoraj kolacji, i zajął się czytaniem gazety.

Potem udał się do gabinetu, gdzie zamierzał popracować nad przemówieniem w Izbie Lordów, ale jego uwagę zwrócił leżący na środku biurka list.

- Baxterze!

Służący zjawił się niemal natychmiast.

- Tak?

- Kiedy to - Robert machnął kartką papieru - zostało doręczone?

- Wczoraj po południu, lordzie.

Robert zacisnął zęby. Wiedział, że nie powinien swojej złości kierować przeciwko służącym.

- I dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił?

- Czy nie zobaczył pan listu, kiedy przyszedł pan wczoraj do gabinetu?

- Nie przychodziłem tu wczoraj. Poszedłem prosto spać.

- Ale pan zawsze zachodzi tu na kieliszek brandy.

- Wczoraj jednak tego nie zrobiłem.

- Lordzie, proszę mi wybaczyć, jeśli z powodu niedoręczenia listu wyniknęły jakieś niedogodności. Każę lokajowi informować pana natychmiast po pana powrocie o wszelkich wiadomościach, które zostały dostarczone w czasie pana nieobecności.

Robert potarł palcami skronie. Odezwał się ból głowy.

- To ja jestem ci winien przeprosiny, Baxterze. Wczoraj i tak nie byłbym w stanie zareagować na ten list.

- Co mogę teraz dla pana zrobić?

- Powiedz stajennym, żeby zaprzęgli konie do powozu. Za godzinę wyjeżdżam. I przyślij do mnie Higginsa, będziemy się pakować.

- Tak, lordzie - odparł Baxter i ruszył do wyjścia. Robert zatrzymał go.

- Jadę... zająć się problemem, który powstał w jednej z północnych posiadłości. Nie będzie mnie około dwóch tygodni albo dłużej, jeśli pogoda będzie niesprzyjająca.

Służący kiwnął głową.

- Lady Lavinia będzie niepokieszona, że musi pan znowu wyjeżdżać.

Robert zdenerwował się. Rzeczywiście nie pomyślał o ciotce.

- Zanim wyjadę, dam ci kilka listów do wysłania.

- Tak, lordzie.

Gdy służący wyszedł, Robert zaczął spacerować po pokoju i układać w myślach listy do znajomych. Musiały być lakoniczne, żeby nie zdradzić celu jego podróży. Gdy pisał czwarty i ostatni, do pokoju wszedł kamerdyner.

- Lordzie, właśnie dostarczono tę wiadomość z rezydencji Bellinghamów.

Boże, co teraz? przeraził się Robert.

- Dziękuję, Baxterze.

List był od George'a. Wiedział już, z której gospody Beth wczoraj wyjechała, i zamierzał czym prędzej wyruszyć w drogę. Prosił Roberta, żeby spotkał się z nim w Biggleswade, skąd rozpoczęliby poszukiwania.

Elston wstał i chciał sięgnąć po sznurek od dzwonka, ale zorientował się, że Baxter jeszcze nie wyszedł z pokoju.

- Potrzebuję dwunastu mężczyzn, stajennych i lokajów, którzy potrafią jeździć konno. Będą mi towarzyszyć do Biggleswade. Tam zostaną z lordem Weymouthem. Niech zabiorą ubrania na kilka dni. Ja zapłacę za noclegi i wyżywienie.

- Oczywiście, lordzie.

Robert zebrał książki i dokumenty, które zamierzał zabrać ze sobą. Jego wzrok padł na niedokończony list leżący na biurku. Zaklął i

zmiał kartkę, po czym wrzucił ją do kominka. Postanowił, że przekaże przyjacielowi wiadomość, gdy zobaczy się z nim wieczorem.

Schował do kieszeni list, który otrzymał rano, wziął trzy kartki, które zdążył zapisać, i wyszedł na korytarz. Wiadomości były przeznaczone dla Karli, lady Blackburn i lady Julii.

Karla cieszyła się każdą chwilą spędzoną w rezydencji Blackburnów. Uprzejmość hrabiny i serdeczność, z jaką przyjęła swoją protegowaną, sprawiły, że dziewczyna szybko dochodziła do siebie po trudnych przeżyciach w domu. Blackburn także wydawał się zadowolony z obecności gościa. Wyraził nawet nadzieję, że Karla zostanie z nimi do końca sezonu, a potem wróci do Yorkshire razem z hrabiną.

Karla spieszyła się tego ranka, gdy w jadalni zastała księcia czytającego gazetę. On jednak na jej widok odłożył dziennik i rozpoczął zajmującą rozmowę o literaturze i aktualnych wydarzeniach. Gdy okazało się, że Karla niewiele wie o polityce, objaśnił jej zasady działania parlamentu i opisał kilka ustaw, nad którymi obecnie debatowano w Izbie Lordów. Dziewczyna dowiedziała się przy okazji, że Elston zajął miejsce po ojcu i regularnie uczęszczał na posiedzenia, choć nie miał jeszcze okazji wygłosić swojej pierwszej przemowy.

Teraz Karla siedziała w pokoju z lady Blackburn. Hrabina przeglądała zaproszenia na nadchodzący tydzień, a Karla myślała o mężczyźnie, dzięki któremu mogła wreszcie przyjechać do Londynu. Tym razem kategorycznie postanowiła wyznać Elstonowi prawdę i modliła się, by zrozumiał motywy jej postępowania. Zasługiwał przecież na szczerą i zaufanie z jej strony. Była gotowa przyznać się do kłamstwa, mimo że nie wiedziała, czy Robert jej wybaczy.

Gdy do salonu wszedł Parks, omal nie zerwała się na równe nogi. Zauważyła, że miał w ręku srebrną tacę, którą podał lady Blackburn. Kiedy niespodziewanie uklonił się przed Karłą, dziewczyna drgnęła niespokojnie. Służący cofnął się zaskoczony.

- Nie chciałam cię przestraszyć, Parksie.
- Przepraszam, panno Lane.

Kamerdyner pochylił się i podniósł list, który upadł na podłogę. Podał go Karli. Dziewczyna wzięła papier z wahaniem, zastanawiając się, czy łatwiej jej będzie czytać wyrzuty macochy, niż ich wysłuchiwać.

Zdziwiła się jednak, gdy zamiast bazgrołów lady Padbury zobaczyła wyraźne męskie pismo. Odwróciła złożoną kartkę i przyjrzała się pieczęci. Dlaczego Elston napisał do niej list, skoro mieli się spotkać tego popołudnia? Odłożyła pismo, nie spodziewając się dobrych wiadomości, i spytała:

- Hrabino, czy nie dziwi pani, że do tej pory nie odezwała się ani moja macocha, ani Lydia?

Lady Blackburn odłożyła wiadomość, którą przed chwilą otrzymała, i przez moment zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie wiem, moja droga. Rzeczywiście dziwię się, że Hortensja jeszcze nas nie odwiedziła, choć na szczęście Lydia przesłała dwa kufry twoich ubrań.

- Obawiam się, że rozpowiada o mnie straszne plotki

- Lydia? - spytała z niedowierzaniem hrabina. - Dlaczego?

- Nie, lady Padbury.

- Och, kochanie. - Lady Blackburn usiadła na sofie obok Karli i objęła ją. - Z tego, czego dowiedziałam się od ciebie i Elstona, wynika, że Hortensja raczej będzie się obawiała, żeby markiz nie spełnił swojej groźby. Gdyby poinformował znajomych o tym, co zobaczył u was, wiele osób nie chciałoby mieć z twoją macochą nic wspólnego. Myślę, że lady Padbury zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić.

- Nie jestem pewna, czy macocha wzięła Elstona poważnie.

- Może źle was zrozumiałam, ale sądziłam, że Hortensja przestała się odzywać dopiero po tym, jak Elston zagroził, że rozpowie wszystkim o awanturze.

Karla podniosła głowę z ramienia hrabiny.

- To prawda, ale co...

- Nie zamartwiaj się, moje dziecko. Nie ma sensu rozpamiętywać spraw, na które nie mamy wpływu.

- Dobrze.

- Przeczytaj swój list, a potem zajmiemy się planami na przyszły tydzień - powiedziała lady Blackburn i wróciła do swojej korespondencji.

Ogarnięta złymi przeczuciami Karla złamała pieczęć i zaczęła czytać.

Droga Karlo,

Bardzo żałuję, ale nie będę mógł dziś zabrać pani na przejażdżkę do parku. Otrzymałem właśnie wiadomość, że powstał pewien problem, którym będę musiał się zająć. Dlatego właśnie wyjeżdżam z Londynu.

Mam nadzieję, że moja nieobecność nie przysporzy pani kłopotów. Jeśli macocha będzie się pani naprzykrzać, proszę poprosić o pomoc lady Blackburn, jej syna, księżną Greenwich i lady Kesteven. Wszystkie damy zdają sobie sprawę z pani sytuacji i na pewno chętnie zrobią wszystko co w ich mocy, by pani ulżyć. Także Weymouth i Dunnley są do pani usług.

Spytałem lady Blackburn, czy pozwoli, by moja ciotka towarzyszyła wam na spotkaniach towarzyskich i przyjęciach. Liwy nie ma wielu przyjaciół w Londynie.

Przepraszam, że muszę odwołać nasze dzisiejsze spotkanie i że robię to listownie, ale w tej sytuacji liczy się każda minuta. Planuję wrócić do Londynu za dwa tygodnie. Liczę na to, że wówczas wybierzemy się wspólnie na przejażdżkę.

Elston

11 kwietnia 1813

Karla z cichym jękiem wypuściła list z palców. Elstona nie będzie w Londynie przez dwa tygodnie! Nie tylko nie wyzna mu dziś prawdy, ale nie może też liczyć na jego wsparcie w walce z macochą. Ponownie wzięła do ręki list, żeby sprawdzić, czy nie pomyliła się co do okresu nieobecności Roberta w stolicy. Nie, wróci za dwa tygodnie.

Na szczęście dał jej wskazówki, co ma robić, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. Miał rację, twierdząc, że lady Blackburn na pewno w razie potrzeby stanie w jej obronie. Podobnie księżna i lady Kesteven.

Przy odrobinie szczęścia nie powinno być żadnych kłopotów. Ale Karla nie czuła się szczęśliwa.

Rozdział 16

Robert gardził ludźmi, którzy dopuszczali się kłamstwa. Nawet takie drobiazgi jak nieszczerzy komplement dla brzydko ubranej kobiety sprawiały, że w towarzystwie czuł się nieswojo. Całą drogę z Londynu do Biggleswade bił się z myślami, co powinien zrobić, ale nie potrafił podjąć decyzji. Miał do wyboru albo złamać obietnicę dochowania tajemnicy daną przyjaciółce, albo skłamać przyjacielowi. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia.

Dojechał na miejsce spotkania z George'em nieszczęśliwy. Kabriolet Dunnleya stał już przed gospodą. Stajenni wyprzęgali siwki i odprowadzali je do stajni. Elston poczekał na wicehrabiego przed drzwiami.

- Witaj, Robercie. Widzę, że George nie zawahał się poprosić o pomoc.

Robert uścisnął wyciągniętą dłoń Dunnleya.

- Zdziwiłbym się, gdyby zwrócił się do kogoś jeszcze poza nami.

- Masz rację. Ja w jego sytuacji postąpiłbym podobnie.

W gospodzie powitał ich właściciel, z którym ustalili cenę za nocleg, po czym razem ze służącymi udali się do salonu, który wynajął dla nich Weymouth.

Księżę siedział przy stole przykrytym rozłożonymi mapami i wydawał polecenia grupie zebranych w pomieszczeniu mężczyzn. Nie zauważył przybycia przyjaciół, dopóki Robert go nie przywitał.

- Jakie masz wieści? - spytał od progu Elston.

- Zgłaszam się do pomocy - odezwał się Dunnley. George podziękował im obu i skinął, aby podeszli do stołu.

- Theo, ty zajmiesz się poszukiwaniami między Biggleswade i Cambridge. Robercie, tobie pozostanie okolica Wolverton. Wuj Beth powiadomił mnie, że nie ma jej w Castleton Abbey, ale może zmierzać w tamtą stronę.

- Żałuję, ale nie będę mógł przyłączyć się do poszukiwań. Muszę pilnie wyruszyć na północ. - Robert wziął pióro i napisał kilka zdań na kartce. - Jeśli będziesz potrzebował więcej ludzi, poślij tę wiadomość do Elston Abbey.

Wy tłumaczenie brzmiało dość wiarygodnie i nie do końca nawet mijalo się z prawdą. Elston miał nadzieję, że George nie będzie pytał o szczegóły. Przyjaciel jednak spojrzał tylko na niego z urazą i po kilku sekundach odparł:

- Dziękuję, Robercie.

- Jadę na północ aż do Darlington i będę pytał o Beth na każdym postoju. Jeśli się czegoś dowiem, pošę do ciebie Higginsa z wiadomością.

- Byłbym ci za to bardzo wdzięczny.

Gdy wszyscy słuźący znali już swoje zadania, Weymouth odesłał ich, żeby wypoczęli przed jutrzejszymi poszukiwaniami. Wkrótce i trzech przyjaciele udali się na spoczynek.

Następnego ranka po wczesnym śniadaniu z George'em i Dunnleyem Robert ruszył na północ. W każdym mieście pytał o Beth i jej pokojówkę, ale poza Biggleswade nigdzie ich nie widziano. W Darlington wynajął więc posłańca, który miał tę wiadomość dostarczyć Weymouthowi. W ten sposób uspokoił sumienie i udał się do Hawthorn Lodge. Zaczynał kolejną kampanię tego sezonu.

Siedząc w powozie, zastanawiał się, dlaczego Beth postanowiła się schronić właśnie w Stranraer. Być może dlatego, że wioska znajdowała się daleko od Londynu. Plotki ze stolicy mogły tu wcale nie dotrzeć, a nawet gdyby stało się inaczej, miejscowi raczej by się nimi nie zainteresowali.

Robert nie miał pojęcia, co powinien zrobić, gdy już odnajdzie Beth. Raczej nie uda mu się namówić jej, by wróciła do Londynu, gdzie George mógłby się oświadczyć. Beth postanowiła wyjść za mąż z miłości i za nic nie pozwoliłaby Weymouthowi ożenić się z nią z poczucia winy. Robert nie wątpił, że Amerykanka kocha George'a, ale nie wierzyła, że księżę odwzajemnia jej uczucie. Mimo wszystko zdecydował, że spróbuje ją przekonać, iż ślub z Weymouthem będzie spełnieniem marzeń ich obojga.

Trzeba było także uświadomić Beth, że wcale nie zrujnowała sobie reputacji na zawsze. Być może nadszarpnęła ją nieco, ale po ślubie z George'em wszystko wróciłoby do normy.

Małżeństwo z Robertem dałoby ten sam rezultat, bo przecież podróżowali wówczas we troje. Nie byłby to jednak związek z miłości ani ze strony Beth, ani jego. Robert bardzo lubił i szanował Amerykankę, ale nic więcej. Mimo to, jeśli nie uda mu się przekonać Beth, że George ją kocha, honor wymagał, by sam się jej oświadczył.

Te rozważania i wnioski, które z nich wyciągnął, sprawiły, że wcale nie chciał już odnaleźć przyjaciółki.

W liście napisała jednoznacznie, że jedzie do Stranraer. Prosiła o zachowanie dyskrecji i wybaczenie za nadużycie ich przyjaźni. Wkrótce los Beth znajdzie się w jego rękach. A jego przyszłość, z kolei, równie dobrze może być uzależniona od Beth, mimo że panna Castleton nie została wymieniona w testamencie ojca.

W poniedziałek rano Karla wybrała się do rezydencji Castletonów. Chciała upewnić się, że Beth doszła do siebie po wydarzeniach na balu maskowym, i przekazać przyjaciółce, iż przeprowadziła się do lady Blackburn. Dziewczęta nie widziały się dwa dni, bo od piątku Karla nie uczestniczyła w żadnym przyjęciu ani wieczorku. W sobotę czuła się jeszcze roztrzęsiona po awanturze z macochą, więc niedzielę razem z lady Blackburn i jej synem spędzili spokojnie w rezydencji.

North otworzył drzwi niemal natychmiast po tym, jak Karla zastukała kołatką.

- Dzień dobry, panno Lane.

- Dzień dobry. Czy zastałam pannę Castleton? Kamerdyner zawahał się, ale po chwili zaprowadził gościa do saloniku.

- Powiem państwu, że pani przyszła, panno Lane. Karla nie bardzo miała ochotę zobaczyć się z lady

Julią i księciem. Obawiała się, że w obecności krewnych nie będą mogły swobodnie rozmawiać z Beth, ale ponieważ zjawiała się u Castletonów znacznie wcześniej niż wypadało, nie mogła narzekać. Ciotka Beth zawsze była uprzejma w stosunku do Karli i dziewczyna z wdzięcznością przyjmowała jej rady na temat dobrych manier przedstawiane w formie opowieści na temat gaf popełnionych w minionych sezonach.

Tymczasem kilka minut później w saloniku zamiast Beth albo lady Julii zjawił się książę. Karla zerwała się na równe nogi, gdy, utykając bardziej niż zwykle, próg przestąpił wuj Beth.

- Panno Lane - odezwał się, zasiadłszy w fotelu - wiem, że nie przyszła pani zobaczyć się ze mną, ale obawiam się, że tylko ja będę mógł dziś dotrzymać pani towarzystwa. Lady Julia nie czuje się dobrze.

Według Karli to samo można było powiedzieć o księciu.

- Czy Beth także nie jest w dobrym nastroju?

- Na pewno nie zachowuje się rozsądnie. - Castleton westchnął ciężko. - Prawdę mówiąc, panno Lane, nie wiem, jak czuje się Beth. Wyjechała z Londynu w sobotę rano.

Bez pożegnania? Zaskoczona Karla kilka sekund wpatrywała się w księcia z niedowierzaniem.

- Ona nie... nie powiedziała mi, że wyjeżdża. - Karla wstała. - W takim razie przepraszam, że niepokoiłam pana.

- Beth nikogo nie poinformowała o swoim wyjeździe - odparł Castleton. - Uciekła, bo bała się, że konfrontacja z lady Arabellą zrujnowała jej reputację.

W głosie księcia zabrzmiała taka rozpacz i udręka, że Karla uklękła przy jego fotelu.

- Co mogę dla pana zrobić, lordzie? Czy lady Julii poprawiłaby humor wizyta znajomych?

W poniedziałek wieczorem Karla, lady Blackburn, jej syn i lady Lavinia wybrali się do opery, by posłuchać sławnej sopranistki, Theresy Nardo, w „Weselu Figara”. We wtorek lady Lavinia towarzyszyła im na balu, na którym debiutowały bliźniaczki Woodhurst.

Karla spędziła tam przemiły wieczór. Partnerów do tańca jej nie brakowało, chociaż przyjęcie wydawało się trochę smutne bez Elstona i Dunnleya. Blackburn i księżę Fairfax prześcigali się w prawieniu komplementów i któryś z nich zawsze był u jej boku.

Nieobecność Beth zauważyli i komentowali wszyscy: i ciekawskie matrony, i przyjaciółki Karli. Martwiła się szczególnie Debora, która bała się, że swoim zachowaniem uraziła Beth. Karla bardzo chciała ją pocieszyć i wyprowadzić z błędu, ale nie mogła tego zrobić, nie tracąc zaufania księcia Castletona.

Lydia i wicehrabina również nie zjawily się na balu. Karli wydało się to podejrzane, ale oprócz niej nikt chyba nie zwrócił uwagi na brak pań Padbury. W miarę upływu czasu malała groźba spotkania macochy i dziewczyna powoli się uspokajała. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy zaproszenie dla wicehrabiny zostało cofnięte, czy też ona sama postanowiła z niego nie korzystać.

Jedna i druga możliwość wydawały się mało prawdopodobne. Chociaż lady Kesteven nie darzyła lady Padbury szacunkiem, raczej nie karałaby Lydii za grzechy jej matki. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę popularność, jaką cieszyły się bliźniaczki, wysoką rangę ich

ojca, a także niezachwianą pozycję lady Kesteven jako jednej z najbardziej wpływowych dam w towarzystwie, Karla wątpiła, by macocha dobrowolnie zrezygnowała z udziału w balu. Poza tym na przyjęcie zostało zaproszonych wielu dżentelmenów, którzy mogli zainteresować się Lydią.

Ponieważ Karla nie mogła poprosić gospodyni balu o wyjaśnienie tych wątpliwości, postanowiła jutro odwiedzić rezydencję Padburych i zapytać macochę, co się stało. Liczyła też, że spotkanie w cztery oczy rozwieje jej obawy na temat planowanej przez lady Padbury zemsty.

W środę wieczorem u Almacka Karla przypadkiem usłyszała fragment rozmowy, który zwrócił jej myśli ku Elstonowi i Beth. Czy to możliwe, żeby markiz pojechał szukać Beth, by się jej oświadczyć? List Roberta nie wyjaśniał przyczyn nagłego wyjazdu, choć podkreślał, że jest to pilna sprawa. Elston podróżował z Beth i Weymouthem ze Szkocji, czy więc czuł się w obowiązku zaproponować Beth małżeństwo, aby zachowała dobre imię? Karla wiedziała, że przyjaciółka odrzuciła Weymoutha, a przecież ślub z Elstonem tak samo uratowałby jej reputację.

Skoro Castletonowie i Weymouth nie wiedzieli, dokąd udała się Beth, skąd cel jej podróży znał Elston? Czyżby Beth zwierzyła mu się ze swoich planów? A może umówili się w jakimś konkretnym miejscu i teraz pędzili w kierunku wiejskiego kościółka, by wziąć ślub? Gdyby Karla myślała rozsądnie, przypominałaby sobie, że Beth wyjechała z Londynu dzień przed Elstonem i że nie było powodu, by tych dwoje zawierało małżeństwo w Szkocji.

Serce jednak rządzi się swoimi prawami. Karla zupełnie straciła humor i przestała się cieszyć balami i przyjęciami. Teraz potrafiła już tylko martwić się dwiema sprawami: tym, że mężczyzna, którego pokochała, ożeni się z jej przyjaciółką, i ewentualną zemstą macochy za to, że wyprowadziła się z rezydencji Padburych.

Po siedmiu dniach jazdy i siedmiu nocach wypełnionych sennymi koszmarami Robert przybył do Stranraer. Nie zastał tam jednak Beth. Teoretycznie mógł przybyć tu przed nią, ale we wszystkich gospodach po drodze pytał o nią i nigdzie jej nie widziano. Robert nie wiedział, czy George'owi udało się odnaleźć Amerykankę, i postanowił poczekać dzień lub dwa, żeby upewnić się, czy Beth mimo wszystko nie zjawi się w Stranraer.

Jego myśli skupiły się tymczasem wokół Karli i panny Lindquist. Aby położyć kres nocnym udrękom, zdecydował się wstąpić w drodze powrotnej do Londynu do Paddington Court. Spotkanie z Catherine Lindquist wreszcie rozwieje jego wątpliwości co do tożsamości pojawiającej się w jego snach kobiety.

Minęły dwa dni, a Beth nie pojawiła się w Hawthorne Lodge. Roberta martwił jej los, ale nie był w stanie sprawdzić, czy Amerykanka zmieniła plany i co się z nią dzieje. Zostawił więc zarządcy instrukcje, by przyjąć pannę Castleton, jeśli przyjedzie, i natychmiast go o tym powiadomić, po czym wyruszył do Londynu.

Cztery dni później przybył do Paddington Court. Chociaż pogoda dopisała i podróżowali po czternaście godzin dziennie, Robert wyraźnie odczuwał zmęczenie. Siedząc w powozie, studiował dokumentację posiadłości, książki rolnicze i informacje, które udało mu się zebrać na temat losu zatrudnianych w fabrykach dzieci. Wieczorem w gospodzie powstała nawet wstępna wersja przemowy do członków Izby Lordów. Mimo tak produktywnego spędzenia czasu Robertowi brakowało spotkań z przyjaciółmi.

W Paddington Court przywitał go Briggs.

- Dzień dobry, lordzie. Niestety cała rodzina wyjechała do Londynu.

- Wiem, że lady Padbury, panna Lane i panna Lydia są w stolicy. Chciałbym jednak zobaczyć się z guwernantką.

Służący spojrział na Elstona zaskoczony i odezwał się dopiero w korytarzu.

- Chce się pan zobaczyć z panną Langhurst?

Langhurst? Przez chwilę Robert zwątpił w swoją pamięć - i słuch. Potem jednak przypomniał sobie, że kobieta, którą spotkał na tarasie była krewną pierwszej żony wicehrabiego, a więc nosiła nazwisko Lindquist.

- Chcę porozmawiać z guwernantką - powiedział stanowczo.

Briggs posłał lokaja po nauczycielkę i zaprowadził Roberta do salonu. Poczęstował gościa szklaneczką sherry i wyszedł.

Robert stanął przy kominku i czekał na pojawienie się kobiety, która była - albo nie - obiektem jego pożądanego.

Osoba, która pojawiła się w salonie kilka minut później, nie miała nic wspólnego ze snami Roberta. Była wysoka, szczupła, miała około czterdziestu lat i wyglądała na zaskoczoną jego przybyciem.

- Nazywam się Sophia Langhurst - przedstawiła się i dygnęła. - Życzył pan sobie ze mną rozmawiać, lordzie?

- Pani jest tu guwernantką?

- Tak.

Kobieta wskazała Robertowi krzesło, po czym usiadła.

- Od jak dawna?

- Około sześciu tygodni. Dokładnie od piętnastego marca.

Robert odwiedził Paddington Court wcześniej.

- Czy wie pani, gdzie obecnie przebywa panna Lindquist?

Na widok zdziwionej miny swojej rozmówczyni, dodał:

- Pani poprzedniczka.

- Poprzednią guwernantką w Paddington Court była panna Meadows, lordzie. Została zwolniona zeszłej jesieni w październiku albo listopadzie. Nie wiem, gdzie obecnie jest zatrudniona, ale zarządca posiadłości może mieć takie informacje.

- Panna Lindquist uczyła dzieci po odejściu panny Meadows przed pani przybyciem.

- Być może, lordzie, ale gdy ja tu przyjechałam, dzieci uczyła najstarsza panna Lane.

- Karolina? - spytał z niedowierzaniem Robert.

- Chyba ma na imię Caroline. Tak nazywa ją cała rodzina. Tylko wicehrabia mówił na nią Karla.

- Czy pani podopieczni kiedykolwiek wspominali o panie Lindquist? Catherine Lindquist?

- Nie, lordzie.

Przecież nie rozplynęła się w powietrzu, pomyślał Robert.

- Panno Langhurst, czy panna Lane wspomniała pani o swojej krewnej, która uczyła dzieci przed panią?

- Nie, lordzie. Panna Lane nie powiedziała mi tego wprost, ale odniosłam wrażenie, że pełniła obowiązki guwernantki od dłuższego czasu.

Robert podziękował nauczycielce i pozwolił jej odejść. Kilka minut później, gdy do salonu wszedł Briggs, Elston poprosił, żeby zaprowadzić go do biblioteki. Chciał odnaleźć księgę genealogiczną parów i znaleźć w niej Catherine Lindquist. Matka Karli, Ingrid Lindquist, była córką księcia i wyszła za mąż również za księcia. Jeśli panna Lindquist była jej krewną, jej nazwisko powinno być w księdze.

Nie było go jednak.

Zirytowany Robert poszedł szukać kamerdynera.

- Briggs, podczas mojej poprzedniej wizyty kto pracował tu jako guwernantka?

Służący niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, unikając wzroku Roberta.

- Nie było tu w zasadzie guwernantki przed panną Langhurst.

- Wobec tego kto uczył dzieci?

- Panna Karolina, lordzie.

Zaskoczony Robert kiwnął głową i podziękował kamerdynerowi. Zacisnął zęby, żeby nie zakląć na głos, po czym odwrócił się na pięcie i wypadł na zewnątrz.

Karla oszukała go! A na domiar złego nie wyznała swojego kłamstwa, gdy się bliżej poznali!

Rozdział 17

Człowiek zdeterminowany, który nie oszczędza koni, może podróżować bardzo szybko. A Robert był nie tylko zdeterminowany - był wściekły. W pierwszej napotkanej gospodzie zostawił swój powóz i w dalszą drogę ruszył wierzchem, a Higginsowi zlecił powrót zaprzęgiem. Mniej więcej dwadzieścia siedem godzin później był już w Londynie, a złość mu wcale nie przeszła. Mężczyzna, który przez dwadzieścia siedem godzin podróżuje samotnie, ma możliwość zastanowić się nad wieloma sprawami. Robert skorzystał z tej okazji i ostatecznie jego złość skierowała się wcale nie przeciwko Karli. Wciąż chciał z nią porozmawiać i dowiedzieć się, co skłoniło ją do kłamstwa, ale uświadomił sobie, że to, co powiedziała mu o sytuacji panny Lindquist, było w pełni prawdziwe, tylko że dotyczyło jej samej.

Robert był wściekły na lady Padbury za to, że traktowała swoją pasierbicę jak darmową służącą. Nie mógł sobie darować, iż podczas zesłomiesięcznej wizyty w Paddington Court nie zorientował się, co się dzieje z Karłą. Zrozumiał także, iż w Londynie dziewczyna nie miała okazji, by wyjaśnić mu pobudki, które nią kierowały. Nie wątpił, że zamierzała to zrobić, ale on już nie znajdował cierpliwości, żeby czekać na ten moment.

Kochał ją. Chciał ją zabrać z domu macochy, kochać ją i troszczyć się o nią tak, jak na to zasługiwała.

Przed wyjazdem z Londynu udało mu się osiągnąć pierwszy z tych celów: Karla przeprowadziła się do lady Blackburn. Miał nadzieję, że wciąż tam przebywała, choć lady Padbury mogła pomyśleć, że jego wyjazd oznacza, iż zapomniał o swojej obietnicy. Tak jednak nie było i jeśli wicehrabina znów zaczęła urządzać Karli awantury, pożałuje tego.

Osiągnięcie drugiego celu było trudniejsze. Dla uczciwego i honorowego mężczyzny fakt, że kobieta potrafiła dopuścić się oszustwa, stanowił poważny problem. Poza tym nie wiedział, czy Karla odwzajemnia jego uczucie. Ucieszyła się, że odnowili przyjaźń z lat dziecińczych, ale on pragnął więcej. O wiele więcej.

Pragnął jej miłości. Pragnął, by opromieniała jego życie. Pragnął, by spełniły się jego marzenia. Obawiał się także, że podczas jego nieobecności Karla oddała swe serce i rękę innemu.

W pierwszej chwili pod wpływem impulsu chciał udać się prosto do rezydencji Blackburnów. Zmienił jednak zdanie. Przyzwoitość wymagała, by pojawił się u lady Blackburn czysty i porządnie ubrany. W domu ciotka przywitała go okrzykami radości, po czym poinformowała, że tego wieczoru urządza małe przyjęcie. Robert stłumił westchnienie i po kilku minutach udał się na górę. Zamierzał się zdrzemnąć i wziąć kąpiel - w tej właśnie kolejności.

Dwie i pół godziny później wypoczęty i przebrany zszedł na dół. Nie wiedział, kogo Liwy zaprosiła na wieczór, ale miał nadzieję, że goście szybko się pożegnają, by udać się na jakiś ważny bal. Jeśli będzie miał szczęście, ciotka powie mu, jakie plany na ten dzień mają Karla i lady Blackburn.

Gdy stanął w progu salonu, rozległo się kołatanie do drzwi. Zanim zdążył zapytać ciotkę, kogo się spodziewa, Baxter wprowadził do pokoju lady Blackburn, jej syna i Karłę. Robert uśmiechnął się szeroko i poczuł, jak jego zmęczenie znika bez śladu. Na jego widok Karla wykrzyknęła:

- Robercie! Jak miło znów pana widzieć! Nie wiedziałam, że wrócił pan do Londynu.

Elston uklonił się.

- Wróciłem zaledwie kilka godzin temu. Czy zgodzi się pani towarzyszyć mi jutro podczas przejażdżki do parku?

- Bardzo bym chciała, ale jestem już umówiona z Fair - faxem. - Karla uśmiechnęła się ponuro.

- W takim razie we środę? Czy ma już pani zajęty cały tydzień?

Dziewczyna roześmiała się wesoło.

- Oczywiście, że nie.

Karla odwróciła się do lady Blackburn, by spytać ją o pozwolenie. Robert szybko szepnął jej do ucha:

- Karlo, muszę z panią porozmawiać w cztery oczy.

Dziewczyna spojrzała na niego z ukosa, zastanawiając się, co tak ważnego miał jej do powiedzenia, że nie obawiał się złamać norm dobrego wychowania.

- Ja też muszę panu coś wyznać - szepnęła, po czym dodała normalnym tonem: - Z przyjemnością pojedę z panem do parku we środę, lordzie.

- Czy mogę przyjechać po panią o czwartej?

- Tak, Robercie - odparła lady Blackburn.

Elston podszedł z Karłą do sofy i usiadł obok dziewczyny. Nie chciał czekać do środy z poważną rozmową, ale mógł nie mieć innego wyjścia.

- Może po kolacji pokazałby mi pan ogród... i portret ojca? - zaproponowała nieśmiało Karła.

Uradowany Elston kiwnął głową.

- Czy podróż się udała? - spytała Karła.

- Nie załatwiłem tego, co chciałem, ale dowiedziałem się ważnej rzeczy.

Dziewczyna czekała, by rozwinął tę myśl, ale Robert zapytał:

- Czy nie wie pani, kogo jeszcze moja ciotka zaprosiła na dzisiejszy wieczór?

- Nie. - Po chwili wahania dodała: - To przyjęcie z okazji pana urodzin.

- A niech mnie - mruknął. Ciotka zawsze przywiązywała uwagę do dat. - Ale moje urodziny są dopiero dwudziestego szóstego.

- Dziś jest dwudziesty szósty. Poniedziałek. Robert uśmiechnął się rozbawiony.

- Jestem jeszcze zmęczony po podróży. Rozmowę przerwało im przybycie kolejnej grupy gości. Robert, co prawda, ucieszył się na widok Dunnleya, Fairfaxa, Howe'a, Randora i Brewstera, ale wolałby spędzić więcej czasu sam na sam z Karłą. Liczył na to, że po kolacji uda im się kontynuować rozmowę.

Od Dunnleya dowiedział się, że wicehrabia wrócił do Londynu w zeszłym tygodniu razem z George'em, ale Weymouth został w stolicy tylko dwa dni. Nie udało się odnaleźć Beth, więc ponownie wyruszył na poszukiwania.

Kolacja upłynęła w spokojnej, przyjaznej atmosferze. Robert miło pogawędził z przyjaciółmi, ale wcale się nie zmartwił, gdy wszyscy mniej więcej godzinę po posiłku zebrali się do wyjścia.

Ciotka zaproponowała partyjkę wista, ale Robert miał inne plany.

- Może później, ciociu. Chciałbym teraz pokazać Karli portrety rodziców.

Lady Lavinia i lady Blackburn spojrzały na niego zdziwione.

- Och, pamiętał pan o mojej prośbie! - odezwała się na szczęście Karła.

Lady Blackburn uśmiechnęła się i kiwnęła przyzwalająco głową.

W gabinecie Robert pokazał Karli obrazy, po czym usiedli w fotelach przed kominkiem. Między nimi stał pokryty książkami i dokumentami stół.

- Powiedziała pani, że chciała ze mną porozmawiać. Czyżby macocha znowu zaczęła panią nękać?

- Nie. - Karla spuściła wzrok.

- Cieszę się.

- Robercie, nie widziałam się z macochą ani Lydią od dnia, gdy się od nich wyprowadziłam! Za każdym razem, gdy przychodzę - nawet rano - nie ma ich w domu.

- Trzeba przyznać, że to niezwykle.

- Właśnie. Tym bardziej że wicehrabina i Lydia w zasadzie nie wstają z łóżek przed południem.

- A czy chodzą na przyjęcia?

- Ja ich nigdzie nie widziałam. Harris twierdzi, że wychodzą każdego wieczoru, ale... - Karla wzruszyła ramionami bezradnie.

- Odwiedzę je jutro. Jeśli ich nie zastanę, zapytam kamerdynera, na jakie przyjęcie się wybierają.

- Mnie nie przyszło do głowy, żeby o to pytać. Zawsze myślę, że spotkam się z nimi następnego dnia.

- Rozsądny wniosek, jeśli odwiedza je pani rano.

- Tak, ale...

- Ale martwi panią, że nie jest w stanie się z nimi zobaczyć.

Roberta niepokoiło to w takim samym stopniu.

- Właśnie - westchnęła Karla. - Może to naiwne, ale wydaje mi się, że poczułabym się lepiej, gdybym mogła się spotkać z macochą w rezydencji. Ciągłe się boję, że gdy tylko mnie zobaczy, urządzi mi awanturę bez względu na to, gdzie akurat będziemy. Wolałabym, żeby wydarzyło się to w domu.

- Miejmy nadzieję, że do kolejnej awantury nie dojdzie już nigdy. Moja wizyta z pewnością uświadomiła lady Padbury, że powinna liczyć się ze słowami.

Karla wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Robert nie miał serca robić jej wyrzutów z powodu panny Lind - quist. Westchnął i postanowił poczekać z konfrontacją przynajmniej jeden dzień. Na widok spuszczonej głowy Karli spytał:

- Co jeszcze panią martwi, Karlo?

- Robercie, ja... postąpiłam bardzo nierozważnie.

Zaniepokojony Elston pochylił się nad nią.

- Co się stało?

- Fałszywa duma sprawiła, że zachowałam się bardzo nierozsądnie i niegrzecznie. Podczas pana ostatniej wizyty w Paddington Court udawałam, że jestem Catherine Lindquist i pracuję jako guwernantka. Nie chciałam, żeby dowiedział się pan, iż macocha traktuje mnie jak służącą.

Roberta uradowało wyznanie Karli, ale nie wiedział, jak powinien zareagować.

- A więc pani to Catherine Lindquist?

Miał nadzieję, że jego pytanie zabrzmiało wiarygodnie i nie zdradzało, że odkrył już prawdę. Przygnębiona Karla przytaknęła.

- Niemal od razu żałowałam, że dopuściłam się tego kłamstwa, ale nie potrafiłam przyznać się do błędu.

Zapadła cisza. Przerwał ją Elston.

- Dlaczego nie chciała pani, żebym wiedział, w jakiej znalazła się pani sytuacji? - spytał spokojnie, ale z nieukrywaną ciekawością.

- Bo... - Karla zacisnęła pięści. - Bo odkąd byłam małą dziewczynką, zawsze gdy w domu działo się coś złego, marzyłam, że pan przyjedzie do Paddington Court i mnie uratuje. Wyobrażałam sobie pana jako rycerza z bajki. - Wstydliwie odwróciła wzrok. - Żadna dama nie życzyłaby sobie, by litował się nad nią jej bohater.

Zaskoczony Robert opadł na oparcie krzesła. Ciche wyznanie Karli bardzo go wzruszyło. Po długiej chwili milczenia powiedział:

- Wyznaczyła pani swojemu bohaterowi trudne zadanie. Czekala pani na ratunek, ale nie przyznała, że go potrzebuje.

- Tak, teraz to widzę.

- A ja sądziłem, że fakt, iż się przyjaźnimy, wystarczy, by szczerze wyznała mi pani prawdę o swoim położeniu.

Karla spojrzała na niego, po czym szybko odwróciła wzrok.

- Przecież nie widzieliśmy się od siedemnastu lat.

- Czy przyjaciele muszą się widywać codziennie, żeby ich przyjaźń przetrwała? - spytał Robert i podniósł się. - Pani pamiętała o mnie przez te wszystkie lata i ja także nie zapomniałem o pani.

- Ale... - wybąkała zaskoczona Karla, gdy Elston chwycił ją za rękę i pociągnął, żeby wstała.

- W Londynie z radością odnowiłem naszą znajomość. Prawdę mówiąc, z niecierpliwością czekałem na ten moment od mojej wizyty w Paddington Court. Myślałem, że pani również.

- Och, oczywiście, Robercie. Dlatego właśnie tak trudno było mi wyznać, iż pana oszukałam. Wszyscy wiedzą, że jest pan uczciwym, honorowym mężczyzną i obawiałam się, że poznawszy prawdę, zacznie pan mną gardzić.

- Wciąż jestem pani przyjacielem i szanuję panią. Robert uniósł rękę Karli do ust i ucałował obie dłonie. Karla zamarła.

- Co jeszcze sprawiło, że trudno było pani wyznać prawdę?

- Chciałam, żeby ta rozmowa odbyła się w cztery oczy, a zawsze spotykaliśmy się w towarzystwie. Bałam się powiedzieć panu o wszystkim w rezydencji i jednocześnie byłam przerażona, że spyta pan o pannę Lind - quist przy mojej rodzinie.

- Biedactwo. Nic dziwnego, że była pani speszona podczas moich wizyt.

Robert objął Karłę ramieniem i zaprowadził ją na sofę.

- A ja jednego razu wspomniałem jej nazwisko. Dziewczyna zmarszczyła czoło i usiadła.

- Kiedy?

- Podczas naszej przejażdżki po Hyde Parku.

- Nie przypominam sobie.

Elston usiadł obok Karli i wziął ją za rękę.

- Spacerowaliśmy wtedy.

- Pamiętam tylko, że byłam bardzo zdenerwowana, bo macocha nie wpuściła do mnie gości poprzedniego dnia.

- Rzeczywiście, był to ważniejszy problem.

- Jak pan może pamiętać rozmowę, która odbyła się tak dawno temu? - spytała zaciekawiona Karla.

- Pamiętam, bo wtedy zaczęła pani się jąkać. Obawiałem się, że to oznacza, iż nie czuje się pani swobodnie w moim towarzystwie.

- Ależ skąd, Robercie. Wprost przeciwnie.

- Czy chce pani wyznać mi coś jeszcze? Jakieś inne mroczne tajemnice?

- Nie - odparła, ale po chwili dodała odważnie: - Tylko tyle, że tęskniłam za panem podczas pana nieobecności w stolicy.

- Ja za panią również.

Ucieszona wyznaniem Roberta Karla oparła mu głowę na ramieniu. Na dźwięk jego głosu wyprostowała się gwałtownie.

- Ja natomiast mam pani do powiedzenia wiele rzeczy. I o coś chciałbym panią prosić.

Elston odetchnął głęboko, jakby przygotowywał się do trudnego zadania.

- Kto jest pani prawnym opiekunem?

- Wuj James, księżę Maitland.

Karla była ciekawa, po co Robertowi ta informacja, ale jedno spojrzenie na jego twarz wystarczyło, by zrozumieć, że teraz nie powinna go o to pytać.

- Ja też marzyłem o pani, Karlo. Śniła mi się pani każdej nocy od balu u Throckmortonów. Ale nie wiedziałem, czy kobieta ze snów to Karla Lane czy Catherine Lindquist. Być może powinienem był odgadnąć, że to ta sama osoba, ale nie domyśliłem się. W drodze powrotnej do Londynu wstąpiłem do Paddington Court, żeby spotkać się z panną Lindquist.

- A więc pan wiedział o moim kłamstwie - raczej stwierdziła, niż zapytała Karla.

- Tak, ale lepiej dla nas obojga, że pani sama wyznała prawdę.

- Ja rzeczywiście czuję się teraz znacznie lepiej. To kłamstwo ciążyło mi od dawna. Dlaczego natomiast ma to znaczenie dla pana? Czyżby... - Karla zerknęła na Roberta spod przymkniętych powiek. - Czy moje wyznanie złagodziło pana gniew? Na pewno był pan wściekły.

- Byłem, gdy wczoraj wyjeżdżałem z Paddington Court.

- Przecież nie przyjechał pan z Selby do Londynu w ciągu jednego dnia!

- Owszem, przyjechałem. Podróżowałem całą noc i miałem czas zastanowić się nad wieloma sprawami. Uświadomiłem sobie, że Catherine Lindquist szczerze opowiedziała mi o sytuacji Karli Lane.

- Tak, rzeczywiście.

- Gdy to zrozumiałem, moja złość skierowała się przeciwko komu innemu.

- Komu? - zdziwiła się Karla. - Przecież to ja skłamałam.

- Tak, ale gdyby macocha odpowiednio panią traktowała, nie musiałaby pani niczego ukrywać. Poza tym byłem wściekły na siebie,

że sam podczas wizyty w Paddington Court nie zorientowałem się, jak trudny jest pani los.

- Nie zgadzam się. Właśnie dzięki pana przenikliwości macocha zgodziła się zabrać mnie do Londynu i wprowadzić mnie w towarzystwo. A tutaj pomógł mi pan wyprowadzić się z rezydencji Padburych. Proszę winić mnie, wicehrabinę, ale nie siebie.

Elston uśmiechnął się.

- Wobec tego będziemy oboje winić pani macochę, bo to jej zachowanie wpłynęło na pani i moje postępowanie. Z drzeniem w głosie Karla zadała pytanie, które dręczyło ją od tygodni:

- Czy z czasem będzie pan mógł mi wybaczyć?

Elston nie odpowiedział od razu i Karla zaczęła się martwić, że jej obawy się spełnią.

- Karlo, chcę prosić pani wuja o pozwolenie poślubienia pani. O ile nie ma pani nic przeciwko temu - dodał z pewnym wahaniem.

Serce o mało nie wyskoczyło Karli z piersi. Dziewczyna nie wierzyła własnym uszom.

- Słucham?

- Chcę prosić pani wuja o błogosławieństwo dla naszego małżeństwa.

Karla miała wrażenie, że śni.

- Dlaczego chce się pan ze mną ożenić? Dlatego, że...

- Bo kocham panią. - Robert znów podniósł do ust jej dłonie i złożył na nich czuły pocałunek. - Bo uwielbiam, podziwiam i szanuję panią.

O takiej odpowiedzi Karla marzyła, ale mimo to czuła się nieswojo i niepewnie.

- Ja też pana kocham, Robercie. Od lat, ale... - Przygryzła wargi, bojąc się dokończyć.

Elston zamarł.

- Ale co, najdroższa?

- Wiem, że ceni mnie pan jako przyjaciółkę, ale ja chcę, żeby mój mąż widział we mnie kobietę.

- Kocham panią i jako przyjaciółkę, i jako kobietę. Karla wyglądała tak uroczo w różowej wykończonej

koronką sukni z krepy, że Robert z trudem powstrzymał się, żeby nie chwycić ukochanej w ramiona i nie pokazać jej, co do niej w tej chwili czuje.

Karla przyglądała mu się w skupieniu, jakby rozważała, czy mówić prawdę.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby poprosił pan wujka o moją rękę. Będę zaszczycona, mogąc zostać pańską żoną.

Robert ucieszył się, ale wyczuł, że to jeszcze nie koniec rozmowy.

- Czy zrobi pan coś dla mnie?

- Oczywiście. Jeśli tylko potrafię.

- Nawet jeśli będzie pan rozmawiał z moim wujem jutro, proszę nie oświadczać się jeszcze przez dwa tygodnie. - Karla położyła Robertowi palec na ustach, żeby powstrzymać pytania. - Musi pan być pewien, że potrafi wybaczyć mi kłamstwo, którego się dopuściłam. A ja chcę się przekonać, że pragnie się pan ożenić ze mną z miłości, a nie z litości ani poczucia obowiązku. Czy spełni pan moją prośbę?

Robert był rozczarowany, ale rozumiał pobudki Karli.

- Oczywiście, najdroższa. Mam jedynie nadzieję, że nie oznacza to, iż nie będziemy mogli widywać się przez te dwa tygodnie.

- Nie zabraniam panu nas odwiedzać, ale uważam, że powinien pan także widywać się z innymi młodymi damami, żeby przekonać się, jak silne są pana uczucia do mnie.

Elston wstał i pociągnął Karłę za sobą.

- Ja od dawna wiem, co do pani czuję - szepnął, przytulając dziewczynę - ale spełnię pani prośbę, by i pani upewniła się, czy rzeczywiście mnie kocha.

Powiedziawszy to, pochylił się i pocałował Karłę, mając nadzieję, że w ten sposób łatwiej przekona ją o swojej miłości.

Rozdział 18

We wtorek rano Robert posłał Karli bukiet róż i udał się do jej wuja, księcia Maitland. Księżę z radością dał im swoje błogosławieństwo. Robert najchętniej oświadczyłby się od razu, ale nie zamierzał łamać obietnicy danej Karli. Stwierdził, że poczeka dwa tygodnie, choć nie potrzebował tej zwłoki. Przebaczył dziewczynie kłamstwo od razu, gdy tylko poznał jej pobudki. W Londynie nigdy nie bala się mówić prawdy, więc nie mogła być osobą nieszczerą czy zepsutą.

Robert nie wierzył własnemu szczęściu. Mimo przeciwności losu udało mu się odnaleźć miłość. Jeśli Karla przyjmie jego oświadczyzny, spełni także ostatnią wolę ojca. Ten sezon Robert rozpoczął od nieprzyjemnego przeczucia, że będzie musiał ożenić się z kobietą, której będzie bardziej zależało na jego tytule i majątku niż na nim samym. Rozumiał więc potrzebę Karli, by upewnić się, że on oświadcza się z miłości, a nie litości.

Dlatego poczeka i dowiedzie ukochanej, że jest wart jej uczucia.

Wczesnym popołudniem pojechał do rezydencji Padburych, by odwiedzić macochę Karli i Lydię, ale nie zastał ich. Według Harrisa obie damy rzadko przebywały w domu przy Curzon. Ponieważ jednak wicehrabina nie miała wielu przyjaciół w stolicy, Robert zastanawiał się, gdzie znikają razem z córką na całe dni. Gdy wspomniał kamerdynerowi o zmartwieniu Karli i o tym, że chciała spotkać się z macochą w domu, by uniknąć publicznej konfrontacji, Harris zaprosił go do siebie na szklaneczkę wina.

Robert wyszedł po półgodzinie. W ręku miał listę spotkań towarzyskich, na które wybierały się panie Padbury. Kamerdyner ostrzegł go także dyskretnie, że wicehrabina knuje coś złego przeciwko pasierbicy.

Elston wstąpił do rezydencji Blackburnów, żeby przekazać Karli zdobyte informacje, ale ani jej, ani hrabiny nie zastał w domu. Jego rozczarowanie musiało rzucać się w oczy, bo Parks pocieszającym tonem powiedział mu, że będzie mógł zobaczyć się z damami na wieczorku muzycznym u Greenwichów. Robert miał nadzieję, że ciotka Liwy także przyjęła to zaproszenie i że będzie mógł jej towarzyszyć.

Z Upper Brook udał się do rezydencji Castletonów, chociaż wtorek nie był dniem przyjęć lady Julii. Rzeczywiście nie zastał jej w

domu, ale do Roberta zszedł książę. Wylewnie podziękował Elstonowi za pomoc w jak dotąd bezowocnych poszukiwaniach Beth. Była też dobra wiadomość: w zeszłym tygodniu Beth przysłała list z Northumberland, w którym zapewniła rodzinę, że jest cała i zdrowa. Robert ucieszył się i wcale nie zdziwiło go, że Weymouth natychmiast po otrzymaniu listu ruszył na północ.

Robert postanowił przychylić się do prośby Karli i odwiedzić jeszcze kilkoro znajomych. Najpierw pojechał do rezydencji Broughtonów, która znajdowała się najbliżej. Nie zastał pani Broughton ani jej córki, zostawił więc tylko wizytówkę. Gdy jednak wychodził, damy akurat wróciły.

- Dzień dobry, lordzie - nieśmiało odezwała się panna Broughton.

- Lordzie Elston, jak to miło, że pan nas odwiedził. Czy wypije pan z nami filiżankę herbaty?

- Z przyjemnością - odparł i razem z paniami wrócił do rezydencji.

Gdy podano herbatę i ciasteczka, panna Broughton spytała:

- Czy będzie pan występował dziś na wieczorku muzycznym u księżnej Greenwich?

- Nie - odpowiedział i uśmiechnął się. - Chyba że Bellingham i Weymouth coś zaplanowali i zapomnieli mnie o tym powiadomić.

- Z tego, co wiem, lord Weymouth wyjechał z miasta.

Wymowne spojrzenie Harriett świadczyło o tym, że według niej Robert wiedział coś więcej na ten temat.

- Córka ma rację - odezwała się pani Broughton. - Ja też o tym słyszałam. Od pana ciotki wiem również, że i pan opuszczał Londyn.

- Tak, wróciłem dopiero wczoraj. Czy będę miał przyjemność posłuchać pani gry dziś wieczorem? - zwrócił się do Harriett.

- Tak. - Dziewczyna zaczerwieniła się. - Mam nadzieję, że to rzeczywiście będzie przyjemność.

- Nie wątpię, że pani występ będzie równie udany jak ten sprzed kilku tygodni.

- Dziękuję, lordzie.

Przed pożegnaniem się Robert poprosił pannę Broughton o taniec następnego wieczoru na balu u Almacka i zaprosił ją na przejażdżkę do parku w piątek.

W rezydencji Kestevenów było tylu gości, że Elston obawiał się, iż nie uda mu się nawet przywitać z bliźniaczkami. Został jednak dłużej, niż nakazywały dobre maniere, i zamienił kilka zdań z Deborą. Zamówił u niej taniec na jutrzejszym balu i wyraził chęć wybrania się z nią na przejażdżkę w czwartek. Obie prośby spotkały się z pełnym aprobaty uśmiechem lady Keste - ven. Wokół lady Diany zgromadził się taki tłum wielbicieli, że Robert nie zdołał z nią porozmawiać. Na szczęście księżna zgodziła się przekazać córce jego prośbę o taniec u Almacka. Robert nie miał wcale ochoty bawić się z Dianą, ale nie wypadało mu okazać zainteresowania tylko jedną siostrą.

Do Tregaronów wybrał się na próżno, bo Sary i jej matki nie było w domu. Nie zmartwił się jednak takim obrotem rzeczy, bo wiedział, że jutro obie przyjdą do Almacka, a Sara prawdopodobnie będzie występowała na dzisiejszym wieczorku muzycznym. Oddalając się od rezydencji, zastanawiał się, czy piękna Sara nabrała śmiałości w obcowaniu z nieznajomymi.

W drodze do domu Robert zapragnął odwiedzić Blackburnów, ale rozmyślił się. Nie chciał, żeby Karla poczuła się osaczona albo zmuszana przez niego do podjęcia decyzji. Harriett Broughton zdradziła mu, że ona, Karla i jeszcze trzy młode damy będą śpiewały na dzisiejszym wieczorku, więc i tak będzie miał okazję porozmawiać z ukochaną.

Nie udało mu się zatańczyć z Karłą podczas kolacji - ubiegł go Blackburn - ale i tak wieczór należał do udanych. Spędził kilka minut z Karłą, Harriett, Deborą i Sarą, które razem z Christiną dały wspaniały występ. W ostatniej chwili dziewczęta musiały zmienić repertuar, bo nie mogła z nimi zaśpiewać Beth.

Pozostałe dni tygodnia wyglądały podobnie. Wczesnym popołudniem składał wizyty, potem odbywał przejażdżki z młodymi damami, brał udział w debatach w Izbie Lordów i uczestniczył w wielu spotkaniach towarzyskich. We środę u Almacka tańczył z Karłą, Deborą, Dianą, Harriett, Sarą, Christiną i wieloma innymi dziewczętami. W czwartek na wieczorku u lady Moreton porozmawiał z całą piątką i rodzicami panien (w przypadku Karli z lady Blackburn). W piątek natomiast wygłosił swoją pierwszą przemowę w parlamencie i została ona przyjęta gromkimi brawami. Tego dnia na balu u Sherworthów tańczył ze wszystkimi pięcioma dziewczętami, a przy kolacji siedział obok Karli. Okazało się, że Karla i Debora były

w Izbie Lordów tego ranka i z zachwytem wysłuchały jego przemówienia.

W sobotę po południu w końcu udało mu się zastać lady Padbury. Poszedł na ulicę Curzon z przyzwyczajenia i bardzo zdziwił się, gdy Harris poinformował go, że obie panie są w domu, i zaprowadził go do salonu.

- Dzień dobry, lordzie - przywitała go wicehrabina. - Przepraszam, że nie mógł nas pan zastać wcześniej, ale . byłyśmy bardzo zajęte przygotowaniem do debiutanckiego balu Lydii. Mamy nadzieję, że zaszczyci nas pan swoją obecnością na nim.

Robert spojrział zdziwiony na swoją rozmówczynię.

- Debiutancki bal Lydii? Chyba Karli i Lydii.

- Nie. Caroline wyprowadziła się z domu. Jeśli chce mieć swój bal, niech Jane Blackburn jej go zorganizuje.

- Mamo - zaprotestowała Lydia. - Przecież tyle razy ci mówiłam, że chcę mieć wspólny bal z Karłą.

Wicehrabina spojrzała groźnie na córkę.

- Później o tym podyskutujemy.

- Uważam - wtrącił Robert - że powinniśmy zrobić to teraz. Ja dobrze pamiętam, dlaczego Karolina opuściła ten dom. To nie był jej wybór, tylko pani.

- Mój? - Wicehrabina pokręciła głową. - Nie, myli się pan.

- Czyżby tak szybko zapomniała pani tę upokarzającą scenę, której byłem świadkiem?

- Scenę? - Lady Padbury sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, o czym Robert mówi.

Elston spojrział na Lydię, ale dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

- Zdaję sobie sprawę, wicehrabino - Robert zmienił temat - że większość swojego życia spędziła pani w Yorkshire i nie zna pani obowiązujących wśród arystokracji norm towarzyskich.

Lady Padbury przyznała Elstonowi rację.

- Jeśli wyda pani bal dla Lydii i zignoruje Karolinę, nikt nie zjawi się na tym przyjęciu. Taka sytuacja może nawet doprowadzić do tego, że zostaną panie obie odrzucone przez londyńską arystokrację i nikt nie zechce się z wami przyjaźnić. Lady Blackburn i Karla tłumaczyły do tej pory wszystkim, że pani pasierbica jest protegowaną hrabiny i że pani uprzejmie zgodziła się, by na jakiś czas zamieszkała

u lady Blackburn. Jeśli ludzie dowiedzą się, jakie były prawdziwe przyczyny tej przeprowadzki, nikt już nigdy nie przyjmie was w swoim domu. Ponieważ, jak sądzę, nie o to pani chodzi, radziłbym pogodzić się z Karłą i pozwolić jej wziąć udział w balu.

- Ale zaproszenia są już gotowe i będą dostarczone w poniedziałek!

- Moim zdaniem należy je poprawić, bo inaczej... - Robert wzruszył ramionami.

Lady Padbury nie odpowiedziała, więc ukłonił się i wyszedł z salonu.

Wieczorem dziesiątego maja Karla weszła do rezydencji Padburych z Elstonem. Właśnie rozpoczynał się debiutancki bal jej i Lydii, ale Karla czuła się bardziej jak skazaniec prowadzony na szubienicę niż jak młoda dama, która ma być przedstawiona towarzystwu. Ten wieczór powinien być jednym z najpiękniejszych w jej życiu, jednak i Karla, i Elston, i lady Blackburn obawiali się, że wicehrabina może starać się zepsuć pasierbicy to wyjątkowe przyjęcie.

Karla zerknęła na swojego partnera. W ciągu ostatnich trzynastu dni jej miłość do Roberta jeszcze się pogłębiła. Przekonała się także, że Elston odwzajemnia jej uczucie. Zaczęła nawet żałować, że wyznaczyła tak odległy termin. Gdyby była zaręczona, ze spokojem mogłaby stawić czoła macosze. Tymczasem trzęsła się ze strachu jak osika.

Elston wręczył Harrisowi kapelusz i laskę. Kamerdyner szepnął mu coś na ucho. Markiz zmarszczył brwi i przyciszonym głosem zamienił kilka słów z lady Blackburn. Karłę zaczęła ogarniać coraz większa trwoga. Elston położył jej dłoń na plecach.

- Czy chce pani porozmawiać z macochą przed balem? Lydia poprosiła Harrisa, by przekazał pani, że według niej powinna pani to zrobić.

- Nie wiem - odparła Karla.

I rzeczywiście nie wiedziała. Dowiedziała się o balu dopiero, gdy otrzymała zaproszenie. Wicehrabina przygotowała nowe zaproszenia i uwzględniła ją na nich, ale nie zamierzała pogodzić się ani nawet zobaczyć z pasierbicą. Lydia dwukrotnie odwiedziła rezydencję Blackburnów w zeszłym tygodniu, natomiast lady Padbury Karla nie

widziała od dnia, gdy otrzymała karnet do Almacka, czyli dokładnie od miesiąca.

Elston musiał wyczuć wahanie dziewczyny, bo skierował się w stronę saloniku. Gdy razem z lady Blackburn znaleźli się w środku, zamknął drzwi. Hrabina usiadła na krześle przy wejściu, a Karla zajęła miejsce na sofie. Robert kilka chwil przechadzał się nerwowym krokiem po pokoju, po czym przycupnął obok Karli i ujął jej dłonie w swoje ręce.

- Najdroższa, wiem, że ten wieczór będzie dla pani trudny. Zrobiłbym wszystko, żeby było pani łatwiej go przetrwać.

Mógłby pan oświadczyć mi się. Teraz. Świadoma pańskiej miłości nie bałabym się nikogo... i niczego. Oczywiście młoda dama nie mogła takich słów wypowiedzieć na głos, nawet do mężczyzny, którego kochała z całego serca.

Karla pochyliła głowę i oparła ją na ramieniu Elstona. Po chwili poczuła, jak markiz obejmuje ją. Odniosła nawet wrażenie, że musnął wargami jej włosy. Nie wiedziała, jak długo siedzieli w takiej pozycji, ale w końcu Robert uniósł jej brodę do góry i spojrzał w oczy.

- Kocham cię, Karlo. Będę dziś przy tobie, będę twoim rycerzem i obronię cię przed każdym niebezpieczeństwem. - Po chwili dodał: - A jeśli uczynisz mnie najszcześliwszym mężczyzną na świecie, będę u twojego boku zawsze, do końca życia.

- Ja też cię kocham, Robercie.

Robert chwycił jej dłoń i uniósł do ust. Karla zadrżała.

Na dźwięk dochodzących z korytarza głosów Elston wstał i pociągnął Karłę za sobą. Nie puszczając jej rąk, przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował. Dla Karli ta pieszczota znaczyła więcej niż tysiące słów.

- Ehm.

Elston uniósł głowę i spojrzał na lady Blackburn.

- Myślę, że twoja niezrównana przyzwoitka daje nam do zrozumienia, że czas iść na salę balową - powiedział z uśmiechem.

- Chyba tak - odparła wesoło Karla.

- Kochanie, te dwa tygodnie, które ci obiecałem, liczą się od dnia naszej rozmowy czy mojej wizyty u twojego wuja?

- Od dnia naszej rozmowy - szybko odrzekła Karla.

- W takim razie później zadam ci bardzo ważne pytanie.

- Zadaj je teraz.

Karla zorientowała się, że wypowiedziała te słowa na głos, dopiero gdy Elston ukląkł u jej stóp.

- Kocham cię, Karolino. Czy przyjmiesz moją miłość i zechcesz zostać moją żoną?

- To dla mnie zaszczyt, lordzie Elston - oficjalnym tonem odpowiedziała Karla.

Robert błyskawicznie zerwał się na równe nogi i chwycił dziewczynę w ramiona. Karla najchętniej pozostałaby w nich na zawsze, ale rozległo się pukanie do drzwi, a potem szmer głosów w pokoju.

Oboje spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli promienne uśmiechy lady Blackburn, lady Lavinii, Charlesa i Lydii.

- Wreszcie! - zawołał Charles i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Z całego balu Karla zapamiętała tylko jedno: walc z Robertem.

Epilog

Gloucestershire 17 grudnia 1813

W rocznicę śmierci ojca i sześć miesięcy po ślubie z Karłą Robert spotkał się z adwokatem w bibliotece w Elston Abbey. Pan Waring wypełnił ostatnie zobowiązanie, jakie miał wobec zmarłego markiza, i dostarczył list jego synowi. Pogrążony w lekturze Robert nie zauważył nawet, jak starszy pan opuścił pokój. Dopiero przybycie Karli wyrwało go z zamyślenia.

- Wszystko w porządku? Pan Waring wyszedł tak szybko.

- Tak, wszystko w porządku - odparł Robert, pociągając żonę do siebie na kolana. - Nawet wyśmienicie - dodał i podał jej list.

Mój drogi synu,

Mam nadzieję, że obowiązki markiza, które musiałeś wypełniać przez ostatni rok, nie były dla ciebie zbyt uciążliwe i że znalazłeś młodą damę, z którą możesz dzielić radości i smutki swojego życia. Życzę tobie i twojej żonie tyle szczęścia, ile spotkało mnie w związku z twoją matką. Ty byłeś naszym największym błogosławieństwem, Robertcie, i dowodem naszej wzajemnej miłości. Żaden mężczyzna nie mógłby sobie życzyć lepszego syna i żaden nie mógłby być z niego bardziej dumny niż ja z ciebie.

Twój kochający ojciec

Edmond Symington

IV Markiz Elston

12 października 1808

Karla wiedziała o warunku postawionym w testamencie przez świętej pamięci markiza Elstona od dnia ślubu. Teraz pogładziła męża po głowie.

- Miałeś rację. Ten warunek wynikał z miłości.

- Tak. - Robert pocałował ją. - Nasza miłość jest piękniejsza w rzeczywistości, niż była w moich snach.

- I w moich.

- A jeśli chodzi o to błogosławieństwo, o którym wspomniał twój ojciec...

- Tak?

- My będziemy mogli się nim cieszyć już w lipcu. Karla położyła sobie dłoń na jeszcze płaskim brzuchu.

- Naprawdę?

Z okrzykiem radości Robert chwycił żonę w ramiona i obsypał pocałunkami.